

KAZIMIERZ ORŁOŚ

HISTORIA «CUDOWNEJ MELINY»

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1987

HISTORIA «CUDOWNEJ MELINY»

KAZIMIERZ ORŁOŚ

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 429

HISTORIA « CUDOWNEJ MELINY »

ISBN 2-7168-0095-2

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI

1987

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Cudowna melina, 1973 (wyczerpane)
Trzecie kłamstwo, 1980

ROZDZIAŁ I

O siódmej rano w moim mieszkaniu przy ulicy Juliana Bruna w Warszawie zadzwonił telefon. Jeszcze byłem w łóżku — do redakcji słuchowisk Polskiego Radia chodziłem na dziewiątą. Usłyszałem obcy męski głos. Ten mężczyzna przedstawił się, ale nazwiska zapomniałem zaraz. Wymienił także stopień — chyba kapitana. — Z MSW — wyjaśnił. Chcieliśmy porozmawiać z panem.

Był rok 1973 — początek marca. Minęły dwa lata od przewrotu grudniowego i objęcia rządów przez Edwarda Gierka. Kiedy myślę o tamtych latach — wydają się okresem spokoju i ciszy. Żyliśmy jakby pogodzeni z losem. Zdawało się, że niewiele brakuje, abyśmy przywykli do uległości wobec tej władzy, która rządziła krajem od bez mała trzydziestu lat. Pewno dlatego nie przyszło mi do głowy, że takie „wezwanie”, przekazane przez telefon o siódmej rano, jest z punktu widzenia prawa nieformalne i że należy odłożyć słuchawkę. Potulnie, jak posłuszny obywatel PRL, zapytałem o której godzinie mam się zgłosić.

— Powiedzmy o dziewiątej — powiedział człowiek z MSW i podał numer wewnętrzny, pod jaki mam zadzwonić.

Domyśliłem się, o co chodzi funkcjonariuszom z ulicy Rakowieckiej. W lutym lub pod koniec stycznia ukazała się nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu moja powieść „Cudowna melina”. Wieczorem poprzedniego dnia zadzwonił do mnie teść i powiedział o tym. Dostał list od kuzyna z Paryża — emigranta, oficera armii polskiej na Zachodzie, Konstantego Bebbe. „Niepokoję się o Kasia — pisał bodajże kuzyn mego teścia — tutaj Giedroyc wydał jego książkę”. Był to zapewne sygnał do prowadzących dochodzenie w tej sprawie. Czekali, skąd przyjdzie wiadomość. Dłużej nie mieli na co czekać.

Moją pierwszą powieść zobaczyłem o dziewiątej rano na

biurku funkcjonariusza MSW w wielkim gmachu przy ulicy Rakowieckiej.

„Cudowną melinę” pisałem przez cały rok 1971, jakby pod presją wydarzeń grudniowych. Opisałem zjawiska, które między innymi doprowadziły do protestów robotniczych: całkowitą samowolę władzy, bezkarność jej przedstawicieli, korupcję, alkoholizm i tak dalej. Była to historia małego miasteczka, którym rządził gang przestępców na wysokich stanowiskach. Na czele stał sekretarz Komitetu Powiatowego. Opisałem to wszystko w naiwnej wierze, że książka zostanie wydana „z pocałowaniem ręki”, że nie będzie żadnych trudności. Przeciwnie: opisywałem przecież „miniony okres”, dawne błędy, ludzi którzy odeszli wraz z ekipą Władysława Gomułki. W takim świetle przedstawiała tamten okres prasa — w reportażach, dyskusjach, ankietach. Jednocześnie czytałem narzekania na brak tematu współczesnego w literaturze, na ucieczkę w historię, fantastykę, itd. A to była prosta powieść realistyczna: ludzi, których opisywałem, poznałem naprawdę, wszystko co się tam zdarzyło — zdarzyło się naprawdę lub mogło się zdarzyć. Wypełniałem więc lukę, puste miejsce, pisałem na zamówienie społeczne. W oczach miałem jeszcze ekran telewizyjny i Edwarda Gierka czytającego w grudniowy wieczór odezwę do narodu. Wydał mi się wtedy szczerze przejęty misją naprawiania zła. Kartka, z której czytał dygotała mu w palcach. I głos jakby drżał ze wzruszenia.

Oczywiście żyłem złudzeniami.

Przed dziewiątą wyszedłem z domu. W MSW rozmawiało ze mną dwóch funkcjonariuszy. Przede wszystkim rozmawiał jeden. Drugi — szczupły brunet w niebieskim garniturze — przysłuchiwał się raczej, nie zadając pytań. Był chyba ważniejszy.

Tego, który zszedł po mnie, kiedy zadzwoniłem z biura przepustek, w narzuconym na ramiona płaszczu z popielatym futrzanym kołnierzem, w średnim wieku, średniego wzrostu — pamiętam jak przez mgłę. A przecież ta rozmowa na czwartym lub piątym piętrze gmachu przy ulicy Rakowieckiej była zwrotnym punktem w moim spokojnym życiu w Warszawie — z pracą „starszego redaktora” w Naczelnej Redakcji Literackiej Polskiego Radia, półetatem w redakcji *Literatury* (dział reportażu) i ryczałtem w zespole filmowym. Czułem się, można powiedzieć, pewnie — byłem na prostej drodze do zdobycia solidnego miejsca w peerelowskim *establishment*’cie. Żaden z przedstawicieli tego *establishment*’u nie uwierzyłby, że przed dwoma miesiącami wysłałem umówioną kartkę do Francji, w momencie gdy zorientowałem się, że „Cudownej meliny” na pewno tu nie wydadzą.

Rozmowa w MSW była skutkiem wysłania tamtej kartki, po której życzliwy mi człowiek napisał (zwlękając z oddaniem maszynopisu), czy aby na pewno zdecydowałem się na ten niebezpieczny krok. Wysłałem jeszcze jedną kartkę z potwierdzeniem decyzji.

Wjechaliśmy windą i funkcjonariusz w płaszczu na ramionach zaprowadził mnie do pokoju, w którym zastałem tego w niebieskim garniturze. Kiedy usiadłem na krześle przed biurkiem, ten w płaszczu szybkim ruchem wyjął z szuflady książkę w szarej okładce i rzucił na biurko przede mną. Pamiętam krótki moment wzruszenia w chwili, kiedy przeczytałem na szarej okładce swoje nazwisko i tytuł powieści. Obaj funkcjonariusze patrzyli na mnie badawczo. W książce nie było formuły „Wydano bez zgody i wiedzy autora”. Zapewne dlatego obserwowali moją reakcję. Chcieli może usłyszeć: „nic o tym nie wiem”. Powiedziałem, że o wydaniu zdecydowałem ja sam. Wydałem, aby zaprotestować przeciwko odmowie wydania książki w kraju. Przez blisko rok ponawiałem próby wydania książki w kraju. Pisałem odwołania, prowadziłem rozmowy. Ale okazało się, że „Melina” jest zbyt niebezpieczna. Napotkałem na mur, ścianę. — Chciałem zaprotestować — powtórzyłem.

Ten w niebieskim garniturze wyszedł po upływie pół godziny. Jak później domyśliłem się, pojechał do KC — zapewne do Wydziału Kultury lub do samego Jana Szydłaka, który w Biurze Politycznym pełnił funkcję „opiekuna” literatów. Zorientowałem się wkrótce, że władza przywiązuje do całej sprawy dużą wagę. Nie przewidziałem, mimo wszystko, że reakcja będzie tak mocna. W końcu mało znany autor trzech niewielkich tomów opowiadań, wydanych nakładem wydawnictw państwowych, napisał krótką powieść o sytuacji w powiatowym miasteczku. Usiłował wydać książkę w kraju, a kiedy odmówiono mu, wydał w Paryżu. Można było sprawę zbagatelizować, tak jak można było książkę wydać tu i także zbagatelizować. Tymczasem stało się inaczej.

Z funkcjonariuszem z popielatym kołnierzem rozmawiałem około dwóch godzin (chyba w pokoju było chłodno i on tego płaszcza nie zdejmował). Dziś moja ówczesna nieumiejętność odmowy — po co w ogóle rozmawiałem? — wydać się może przejawem uległości lub strachu. Czy warto było dyskutować? Starałem się wytłumaczyć urzędnikowi z MSW moje motywy, moje racje. Kiwał głową, ale interesowały go inne sprawy: kto przewiózł maszynopis na Zachód? Czy byłem w Maisons-Laffitte? Ponieważ maszynopis przewiozłem sam, w walizce, lecąc do Genewy pod odbiór nagrody Fundacji Kościelskich — i w tym wypadku nie miałem nic do ukrycia.

— Na lotnisku miałem rewizję osobistą — powiedziałem — ale na dno walizki nikt nie zajrzał.

Ten w płaszczu uśmiechnął się. Nagle zapytał, jakie to miasteczko opisałem w Bieszczadach. Kiedy powiedziałem, że Lesko, choć Lesko — zastrzegłem — jest tylko tłem akcji, bo ludzie i sprawy są jakby z wielu miast, z całej Polski — pokiwał głową: — Byłem tam w czterdziestym siódmym...

Potem długo mówił o moim „sprzedaniu się” ludziom powiązanym z CIA, Wolną Europą, wywiadami itd. Czy wierzył w to, co mówił? Wydawał się na swój sposób sympatyczny. Spytał, czy nie napiłbym się herbaty? Piłem herbatę w szklance przyniesionej przez starszą kobietę-sprzątaczkę i patrzyłem w okno. Wiedziałem już, że moje życie zmieni się, że to punkt zwrotny, ale nie żałowałem niczego.

Wiele osób pytało mnie później, czy warto było dla wydania tej jednej książki ryzykować tak wiele i tracić tak wiele? Istotnie: straciłem pracę w radio i *Literaturze*, zakazano publikowania jakichkolwiek moich tekstów, wykreślano moje nazwisko nawet z krytycznych rozpraw literackich. Przez wiele lat (właściwie do dziś) musiałem i muszę liczyć się z „opieką” policji — z podsłuchami telefonicznymi, kontrolą korespondencji, rozmowami ostrzegawczymi, rewizjami, zakazem wyjazdów za granicę... Ale tam, na krześle przed biurkiem urzędnika z MSW, czułem przede wszystkim radość: oto udało mi się przełamać te wszystkie uprzedzenia, opory, strach. Moja książka nie zginęła, żyje. Kiedyś — może za lat dziesięć, dwadzieścia lub pięćdziesiąt nawet — wróci do kraju. Trochę to było egzaltowane, ale szczere.

Jak dalece jednak czułem się człowiekiem zniewolonym i stan ten uważałem za normalny, świadczy pytanie, jakie zadałem urzędnikowi z MSW. Chciałem na kilka dni wyjechać z Warszawy. Spytałem, czy można? Odpowiedział chyba zaskoczony: — Na razie nie mamy zamiaru ograniczać zakazami pańskiego życia...

Był rok 1973, marzec. O wystąpieniach studenckich sprzed pięciu lat jakby zapomniano. W 1968 byłem w Solinie, w Bieszczadach. W ogóle wszystko zaczęło się od Soliny. „Cudowna melina” była odbitką tamtych lat spędzonych na budowie zapory wodnej.

Z wykształcenia jestem prawnikiem. Po ukończeniu studiów w 1960 roku wyjechałem na krótko do Turoszowa, później — w 1963 do Soliny. Pracowałem w biurach prawnych, zajmując się głównie sprawami gospodarstw położonych na terenach zagarniętych przez budowy. Dochodziły sprawy arbitrażowe — spory między przedsiębiorstwami, sprawy pracownicze, czasem sąd. Najczęściej jednak przesiedlenia — umowy notarialne, kon-

takty z biegłymi, z rejentami, z urzędnikami w okolicznych miasteczkach. Mnóstwo spraw — wszystkie do załatwienia „na wczoraj”, ciągle nowe nieprzewidziane problemy. I tempo życia, tempo, którego tłem była Solina — wielka budowa rozłożona w dolinie Sanu, naokoło zielone wzgórza, pastelowe na wiosnę, żółtoczerwone jesienią. Dalekie, jakby otulone sinoniebiską mgłą pasmo połonin. Czarny Otryt.

Odpowiadało mi tempo życia i praca: to swobodne poruszanie się po terenie, załatwianie spraw „na wczoraj”, kontakty z ludźmi. Wsie były stare, chałupy kryte strzechami, prymitywne. I ludzie jeszcze jakby z innej epoki — takie często sprawiali wrażenie — wielu niepiśmiennych, bezradnych wobec nadchodzącej nieubłaganej zmiany.

I ten inny od warszawskiego świat: ludzie z różnych stron kraju. Mikrośrodkowisko. Małe zdarzenia roztrząsane długo. Zajmowaliśmy z żoną i synkiem segment w domkach zbudowanych nad potokiem wpadającym do Sanu. Dobrze pamiętam pierwszą zimę na budowie, mroźną i ciężką, długie tygodnie zmagania z rzeką. Na wiosnę ogłoszono alarm przeciwpowodziowy — groziło zatopienie budowy, zerwanie nowego mostu. W mieszkaniu pachniało świeżym tynkiem, za oknami służbowe ogródki leżały przykryte śniegiem. Gdzieś dalej, na stokach Jaworu nad budową, można było brodzić po pas w wielkich zaspach. Chodziliśmy tam czasem z nartami, z termosem gorącej herbaty w chlebaku. W niedzielę szliśmy na spacer po okolicznych drogach. Ciągnąłem sanki z trzyletnim Maćkiem.

Ale przede wszystkim było życie wśród tych pośpiesznie poznawanych ludzi, stale nowe kontakty, twarze. Na wielkiej betonowej podstawie dźwigu linowego nad budową wymalowano postać robotnika przy kole sterowym. Symbolizował władzę klasy robotniczej. A przecież wkrótce po przyjeździe zorientowałem się, jak głęboki i rażący jest podział między „klasą rządzącą” a niewielką grupą urzędników i inżynierów kierujących budową. To były dwa inne światy. Właściwie do końca pracy w Solinie nie udało mi się zbliżyć do środowiska robotniczego i poznać go naprawdę. Może trochę tak zwanych chłopo-robotników — wysiedleńców z okolicznych wsi, z których wielu pracowało na budowie? My, urzędnicy, mieszkaliśmy w schludnych parterowych domkach. Do pracy dowożono nas ogrzewanym autobusem, pracowaliśmy w wygodnych pokojach biurowca na osiedlu składającym się z kilku bloków zbudowanych nad przyszlą zaporą. Robotnicy — ci, którzy przyjechali na budowę z dalszych stron, nietutejsi — mieszkali w prymitywnych barakach w Uhercach (po latach, jak domyśliłem się, w roku 1982 — to osiedle

„barakowe”, jak mówiono wtedy, wykorzystano na obóz internowanych działaczy „Solidarności” z regionów południowej Polski). Nieliczni mieszkali w blokach koło budowy. Wszyscy w ciasnocie, tłoku, z prymitywnymi urządzeniami sanitarnymi, jedząc w źle prowadzonych stołówkach. Wożono ich zimą w ciężarowych samochodach, stłoczonych ciasno na drewnianych ławkach. Pamiętam, jak wiele razy patrzyłem z okna ciepłego autobusu na tych ludzi, jak jechali „Starami”. Waciaki tych z pierwszego rzędu były białe od śniegu.

Tak, mój świat był inny. Na wielu spotkaniach, naradach i konferencjach, poznawałem ludzi odpowiedzialnych za życie powiatowej Polski — przewodniczących prezydiów Rad Narodowych, sekretarzy, kierowników wydziałów. Życie małych miast było w rękach tych ludzi. Chłopi z terenów budowy, którzy nie chcieli pogodzić się z naszymi ofertami odszkodowawczymi, wydeptywali ścieżki w gabinetach powiatowych towarzyszy szukając u nich pomocy. Ja chodziłem w ślad za nimi — wyjaśniając, prostując i broniąc interesów budowy. Byliśmy silniejsi — budowa opatrzona priorytetem państwowym była jedną z czołowych inwestycji w kraju. To wobec nas ci powiatowi towarzysze byli uprzejmi, często nadskakujący. Chłopów traktowano pogardliwie. Pamiętam, jak jeden z miejscowych urzędników huknął na człowieka, który nie zdążył zdjąć czapki po wejściu do pokoju: — Czapkę zdejm, ośle! Stoisz przed godłem państwowym!

I chłop potulnie zdjął czapkę.

W biurze, w czasie częstych wyjazdów w teren, w Lesku i Ustrzykach Dolnych, stałe spotykałem ludzi, którzy mieli mnóstwo do opowiedzenia. Ponieważ lubię słuchać (nie tylko mówić) — byłem po prostu zasypywany opowieściami. Pan Ulan z Uherzec, stary urzędnik pamiętający jeszcze czasy c.k. Franciszka Józefa, z którym pracowaliśmy biurko w biurko, póki nie poszedł na emeryturę — opowiedział mi tych historii niemało. Inspektor Grygiel — człowiek związany z budową od początku (pracował jeszcze w Myczkowcach) — były dyrektor z Katowic. Stary portier — ułomny pan Brygider, palący papierosa za papierosem w szklanej fifce (w czasie wojny przeżył okupację sowiecką i niemiecką Lwowa). Rozmawialiśmy, kiedy czekałem na połączenia telefoniczne z Warszawą. Rejent z Leska, magister Kowalski — jakby z epoki „jaśniepańskiej” Polski. Geodeta Jan Maślanka, pani Gabriela — energiczna kobieta zajmująca się organizacyjną stroną przesiedleń. I chłopci, chłopci z okolicznych wsi, których korowód przesuwiał się codziennie przez nasz pokój z tabliczką „Biuro Prawne” na drzwiach.

To chyba pan Ulan opowiedział mi, jak po zakończeniu budowy w Myczkowcach (pierwszego stopnia, jak mówiono) przyjechał Władysław Gomułka. A może było to w czasie obchodów Dnia Energetyka — pierwszego września? Spodziewano się odwiedzin i przygotowywano długo. Hotel „Energetyk” nad zaporą lśnił po prostu. W restauracji na parterze czekały zastawione stoły. Podobno góry jedzenia, skrzynki z wódką, wina, ciasta, torty. A Gomułka patrzył na to wszystko niezadowolony, skrzywiony — nie chciał jeść ani pić. Nastrój przy stołach sztywny, ludzie bali się odezwać — rozmawiano szeptem. Pierwszy sekretarz posiedział kilka minut, porozglądał się i wyszedł. Za nim świta — obstawa. Czarne wołgi odjechały z wymiecionego parkingu. Dopiero wtedy zaczęła się zabawa.

Trochę później dowiedziałem się, że w czasie uroczystości pierwszomajowych w 1962 roku zawałiła się trybuna w Lesku. Było tak, jak to opisałem w „Cudownej melinie” — zbyt słaba konstrukcja w kształcie wielkiego pudła opasanego czerwonym płótnem. W czasie przemówienia sekretarza KP deski nie wytrzymały — za dużo osób weszło na pudło. Ci co stali przed trybuną usłyszeli głośny trzask i zobaczyli, że tamci nad nimi nagle zniknęli. Pospadały wielkie kartonowe litery z napisu „Niech żyje Święto Pracy!”. Spadła ogromna jedynka. Później zobaczyli ręce czepiające się brzegów czerwonego pudła. Podobno ludzie śmieli się tak głośno, że słyszać było za rzeką. Czerwony ze zdenerwowania sekretarz — tęgi mężczyzna w garniturze z przekrzywionym krawatem — wygramolił się pierwszy.

Tego sekretarza widziałem później kilkakrotnie z okazji różnych narad. Także przelotnie w gmachu Prezydium Rady Narodowej w Lesku. Kiedyś niespodziewanie wszedł na naradę zorganizowaną przez kierownika Wydziału Rolnictwa. Siedzieliśmy w sali konferencyjnej lub w gabinecie przewodniczącego Prezydium. Rozpatrywany był problem kilku gospodarstw, których przeniesienie nastąpiło w pierwszej fazie budowy — zbyt szybko, bez dopełnienia formalności prawnych. Później okazało się, że budynki, które zajęli, należą do Funduszu Ziemi i przeznaczone są na inny cel. Rada Narodowa domagała się zwrotu, ale tych chłopów nie było dokąd po raz drugi przesiedlać. Broniełem stanowiska budowy. Kiedy wszedł sekretarz, wszyscy wstali. Jak uczniowie na widok nauczyciela. Do dziś odczuwam pewne zadowolenie wspominając tę scenę: ja jeden nie wstałem i dalej siedziałem przy stole przykrytym zielonym sukniem. Zresztą sekretarz (przyszły Miedza z „Cudownej meliny”) z nikim się nie przywitał. W płaszczu, z ogromną żółtą teczką pod pachą, postąpił chwilę wykrzykując, co myśli o tej sprawie. Był przeciwnikiem

ustępstw wobec budowy. Ci chłopci siedzą tam bezprawnie — trzeba ich usunąć. Powiatu nic nie obchodzi, że budowa nie ma ich dokąd przenieść. Także fakt, że oni tam już gospodarują od kilku lat.

— Nawarzyliście piwa — powiedział do mnie — teraz sami wypijcie.

I wyszedł. Wszyscy przy stole milczeli. Dziś już nie pamiętam, jak ta sprawa została załatwiona. Chyba jednak przesiedleńcy zostali. Nasz dyrektor-poseł, któremu opowiedziałem o zajściu, tylko uśmiechnął się: — Niech mi lepiej odda harmonię...

Sekretarz, jak dowiedziałem się, pożyczył od dyrektora harmonię, której później nie oddawał. — Pewnie zgubił, lub przepił. — Historia tej pożyczonej i nie oddanej harmonii jest także w „Cudownej melinie”.

Tam, w Lesku, jedyny raz szedłem w pochodzie pierwszomajowym. Może miałem nadzieję, że trybuna znów nie wytrzyma? Ale w roku 1965 lub 1966 wytrzymała. Wysłuchaliśmy przemówień sekretarza i przewodniczącego Rady Narodowej. Stałymi na placu przed gmachem Prezydium. Delegacja budowy na honorowym miejscu — naprzeciw trybuny. Naokoło szkoły — dziewczynki w białych bluzeczkach, chłopcy w granatowych ubrankach. Orkiestra straży pożarnej. Był słoneczny dzień — tak jak to opisałem w książce. Ciepły wiatr, czyste niebo, świeża zieleń drzew naokoło placu. I czerwień transparentów, szturmówek, proporczyków. Ktoś wetknął mi do ręki czerwoną szturmówkę — może drzewce transparentu. Odezwały się trąby, błysnęły srebrne kaski strażackiej orkiestry. Ze szturmówkami, pod transparentem „Pracownicy budowy w pierwszym szeregu budowniczych Polski Ludowej” — poszliśmy ulicami Leska, koło kościoła, naokoło parku z pomnikiem Tadeusza Kościuszki, aż pod budynek Komitetu Powiatowego partii. Tam, chyba z okien na pierwszym piętrze, a może ze schodów, pozdrawiali nas, zgromadzeni poprzednio na trybunie, przedstawiciele władzy ludowej.

Po latach, kiedy czytałem soliński dziennik, wydaje mi się, że dzięki tamtej możliwości kontaktów z różnymi ludźmi, obserwowania i słuchania, napisałem później to wszystko, co być może miało pewną wartość i tę wartość zachowało do dziś. Przytoczę kilka fragmentów z dziennika, pisanego w latach 1963-1967.

„Październik 64 rok. Historia opowiedziana przez starego kierowcę Z. W roku 1951 jeździł z Leska do Ustrzyk Dolnych dowożąc gazety i jedzenie robotnikom polskim, którzy tam pracowali przy usuwaniu kompromitujących Związek Radziecki śladów. To było przed tak zwaną wymianą odcinków granicznych (te ślady:

zwały nie wywiezionych śmieci, domy, w których palono drzwiami i futrynami, szalety zalane nie wywiezionym szambem itd.). Pewnego dnia, kiedy wrócił do Leska, zastał czekających w domu milicjanta i dwóch Rosjan z NKWD. Pod zarzutem potrącenia w Ustrzykach przechodnia zaaresztowali go i wywieźli do Ustrzyk. Tam przesłuchanie. Z miejsca podsuwają mu gotowy protokół. Kapitan, który prowadzi to przesłuchanie, jest greczny, częstuje papierosem, namawia, żeby podpisał. Z. odmawia. Wychodzą, zostawiając go samego, aby przemyślał sprawę, ale Z. nadal nie podpisuje. Kiedy wracają — ponownie odmawia. Doskonale wyobrażam sobie tę scenę — wystarczy spojrzeć na Z.: ma twarz jakby wyciosaną z kamienia. Wtedy zaczynają go bić. Cios stołkiem w głowę — traci przytomność. Tak zaczyna się wielomiesięczny pobyt Z. w więzieniach u „przyjaciół”. Formalnie obywatel suwerennego państwa, uprowadzony przez obywateli sąsiedniego państwa (przy pomocy policji tego pierwszego) — zostaje poddany najrozmaitszym torturom. Później wożą go z więzienia do więzienia, skutego, śpi w małych celach, w których z nim razem śpi kilkadziesiąt osób (wszyscy jednocześnie muszą się obracać z boku na bok), jest bez końca przesłuchiwany, ciągle bity.

— Dlaczego? — pytam. — O co im chodziło? Czego chcieli? — Przecież nie chodziło o tego przechodnia, którego nigdy nie potrącił. Podstawiony człowiek zeznał wprawdzie, że Z. potrącił go, ale potem, gdzieś na korytarzu, przeproszał mówiąc: „Nic podobnego, musiałem tak zeznać — kazali mi”.

Z. twierdzi, że potrzebowali dobrych kierowców. Chcieli go wywieźć gdzieś w głąb Rosji i tam zatrudnić na budowie. Mnie wydało się raczej, że chcieli unieszkodliwić człowieka, który zobaczył zbyt wiele kompromitujących śladów. Był niewygodnym świadkiem. Z. do końca niczego nie podpisał. Mimo to zostałby wywieziony. Cudowne ocalenie przypisuje spotkaniu ze znajomym komisarzem. Ten człowiek, poznany w czasie wojny, uratował mu życie. Z. wrócił do Leska. I zaraz rzucił pracę kierowcy — poszedł do lasu, na drwala. W lesie doczekał 56 roku.

Inne dwie historie. M., pijany, podczas biwaku na polowaniu, wyszedł na brzeg Sanu i zaczął kłąć. Chwiał się na nogach i kłął najgorszymi słowami, a echo od skał po drugiej stronie odpowiadało mu. Była noc, nie rozumiał, co się dzieje, myślał, że ktoś go przedrzeźnia po tamtej stronie. Kłął jeszcze głośniejszymi, wygrażał pięściami, w końcu porwał dubeltówkę i zaczął strzelać. Ledwo go uspokoił.

Druga historia o tych dwóch, którzy w gospodzie, po pijanemu, pobili się o czapki. Mieli takie same, duże futrzane czapki i wmówiono im, że jeden drugiemu zabrał.

Styczeń 65. Od czasu do czasu w rozmowach z ludźmi z Soliny (wioski) zadźwięczy niespodziewana nuta. Na ogół wydają się prymitywni, niewiele umie podpisać się. Są zaniepokojeni zmianą, jaka ich czeka, choć mieszkają w starych domach bielonych

wapnem i krytych strzechą, z klepiskami zamiast podłóg i błotem na podwórkach. I oto nagle jedna z kobiet opowiada mi zapamiętaną rozmowę z Niemcem — dobrym Niemcem, podkreśla. W roku 1940 szła ze swoim nieżyjącym już mężem brzegiem Sanu. Po tej stronie byli Niemcy — po drugiej Rosjanie. W pewnej chwili zobaczyli idącego na tamtym brzegu starego Żyda. Szedł powoli, podpierając się laską, w chałacie, z siwą brodą. To wtedy stojący na brzegu żołnierz niemiecki zaczepił ich, pytając po polsku (zapewne ślżak lub Mazur): — Jak się pan nazywa? — zwrócił się do męża kobiety.

— Orłowski.

— Kto tam idzie, panie Orłowski?

— Żyd.

— Ale człowiek, prawda, panie Orłowski?

— Człowiek — powiedział mąż tej kobiety.

Był rok 1940 — zapewne po upadku Francji. Początek zwycięstw Rzeszy. Początek nocy. Ten niemiecki żołnierz chciał usłyszeć po polsku to, o czym po niemiecku mógł już tylko pomyśleć: wszyscy jesteście ludźmi.

Inna rozmowa. T. — chłop z Soliny, który jakby chciał swego nieszczęścia: nie godzi się na żadne warunki, a wtedy grozi przymusowe wywłaszczenie. Wiele razy próbowaliśmy wytłumaczyć mu, wyperswadować. Jego pomarszczona, szeroka twarz, milczenie, upór i krople potu spływające po skroniach. Zapamiętałem te krople, spływające jedna po drugiej — po skroniach i policzkach.

Październik 65. Podróż pociągiem z Przeworska do Warszawy. Wsiadłem do przedziału, w którym jechało kilka osób: gruba kobieta, niesłychanie gadatliwa i wesoła. Jakieś małżeństwo — starsi ludzie, chłopci. Ona drzemała, on — pewny siebie i zasadniczy — rozmawiał przeważnie z grubą spod okna. Był jeszcze inny mężczyzna, zdaje się też chłop i staruszka spod Sambora, z dawnych ziem wschodnich. Jechała do siostry pod Olsztyn. Raczej milczała, choć gadatliwa kobieta i pewny siebie chłop zagadywali do niej często. Pytali: „Jak tam jest? Opowiadaj, babko”. Staruszka była trochę speszona i zażenowana ich natręctwami. Niewiele umiała (a może nie chciała) opowiedzieć. Mąż jej — stróż w kołchozie — ma emeryturę 12 rubli (gadatliwi przeliczyli zaraz sto osiemdziesiąt złotych, orzekli: „bardzo mało”). Jajko kosztuje kopiejkę, kilo masła — trzy ruble itd. Staruszka pochodziła spod Ciechanowa, z mężem poznała się jeszcze przed wojną — na robotach we Francji. Wyjechała z nim potem na wschód — pod Sambor i tam już została. Dziś mówi z trudem po polsku, wtrącając ukraińskie słowa. „A czy tam u was są Polacy?” — pytają gadatliwi. „U nas ni. Ale gdzie indziej są”.

Gadatliwa opowiada mnóstwo historii ze swego życia. Mieszkają z mężem pod Przemyślem, w jakiejś osadzie, czy wsi nieda-

leko miasta. Mąż jest milicjantem, ona pracuje w rozlewni win. Opowiada na przykład o jakichś staruszkach. Stara kobieta żyła ze starym mężczyzną bez ślubu. On był właścicielem dużego gospodarstwa i murowanego domu („kamienicy”, mówi gadatliwa). Żyli trochę na uboczu, obgadywani i nielubiani przez ludzi. Pewnego dnia stary zaniemógł: poczuł się źle, groziło, że umrze. Stara zdecydowała się szybko: na oczach całej wsi posadziła starego na mały drewniany wózek (do wożenia trawy, czy szczap drzewa) i powiozła (pociągnęła sama) pod Urząd Cywilny w Gromadzkiej Radzie. Ludzie śmieli się. Dzieci za nimi szły. Staremu chwiała się bezwładnie głowa. W Gromadzkiej Radzie wzięli ślub. Gadatliwa zanosí się śmiechem: „Na pośmiewisko ludzi!”. W sześć dni później stary zmarł. „Jeszcze były kłopoty z księdzem: nie chciał go chować. Nie zdążyli wziąć kościelnego ślubu”. W końcu ludzie ubłagali.

Potem, także śmiejąc się, opowiada historię ojca żony swego brata. Także stary chłop — umarła mu żona, a on związał się z kobietą, która przedtem już trzech takich miała. Rodzony syn ją opuścił, bo wstydził się z nią mieszkać. Stary zabrał ze swego domu wszystko (w tym domu mieszkali z nim córka i zięć) i przeniósł się do tamtej kobiety. Po roku ona wyrzuciła go — stary wrócił do córki. Ta, jako warunek wpuszczenia do domu, zażądała rozwodu z tamtą kobietą. „Słusznie — mówi gadatliwa, a wszyscy w przedziale potakują. — Stary lada chwila umrze, a wtedy ta kobieta (z którą oficjalnie wzięli cywilny ślub) przyjdzie do nich po swoją część spadku. I za co, za co?”. Ojciec jednak nie zgodził się. Córka go nie wpuściła, stary tułał się po wsi — mieszkał gdzie się dało, po kątach. „I dobrze zrobiła — mówi gadatliwa spod okna. — Minęło pół roku i tej jego niby żonie odmieniło się: znów mieszkają razem”.

Patrzę z niechęcią na grubą: ma — wydaje mi się — zbyt uproszczony sąd o ludziach i życiu. Jej mentalność jest starą, tak dobrze znaną mentalnością ludzi z małych miasteczek i wsi — pełną obłudy i fałszu. Ale oto gruba wyciąga owiniętą w papier dużą bułkę z kiełbasą i kładzie na kolanach staruszki spod Sambora. „Jedzcie, babciu, jedzcie!”. Staruszka wzbrania się: „Dziękuję, ja mam swoje jedzenie. Nie trzeba”. Ale po chwili rozwija papier, wyjmując bułkę i zaczyna jeść.

Gdzieś za Lublinem do przedziału wsiada mężczyzna (około czterdziestki), siada koło grubej i natychmiast zaczyna się rozmowa o przeszłości — o czasach powojennych i walkach z UPA. On tam był wtedy w wojsku, pod Przemyślem i brał udział w akcjach. Oboje z kobietą prześcigają się w opowiadaniu makabrycznych historii. Kobieta z nienawiścią mówi o Ukraińcach: „Pan wie, co robili, jak złapali młodą kobietę: żywcem obcinali jej piersi. Pan wie, co to znaczy, czy pan wie?”. Ze względu na obecność staruszki mówią ścisłymi głosami.

Zapamiętałem historię, jaką gruba opowiadała o swoim mężu:

także był wtedy w wojsku. Raz z dwoma kolegami poszli do lasu na patrol. Jeden z tych kolegów został ranny. Oni z drugim próbowali go ciągnąć z powrotem — wlekli przez chaszcze. Była noc, ciemno. Postanowili w końcu ukryć rannego w krzakach i rano wrócić. Tak się stało. Rano, kiedy przyszli (pewno już cały oddział był z nimi) — znaleźli kolegę posiwiąłego zupełnie. Zył, ale zrobił się biały jak śnieg.

Dojeżdżamy do Warszawy. Oni wszyscy zaczynają się zbierać — mają przesiadkę na dworcu Wschodnim. Zapalili światło — przedtem w przedziale był mrok. Popatrzyłem na staruszkę spod Sambora i ścisnęło mi się serce. Wymizerowana, pomarszczona twarz, stary, prawie po kostki płaszcz, pewno po mężu, bo zbyt obszerny. Jakaś chusteczyna na głowie. Miała dużą tekturową walizkę. Co tam wiozła? Może prezenty dla rodziny siostry, kupione za uciulanie kopiejki? Patrzy na nas trochę zażawionymi oczami ściskając uchwyt tekturowej walizki.

Październik 66. Historia, którą dawno chciałem zanotować. Opowiadała pani Stefa z Działu Administracyjnego. Ona tu mieszkała w czasie walk z UPA. Raz, mówi, już kiedy zaczęli przegrywać, przyszedł z lasu duży oddział i rozłożył się we wsi, między chałupami. Nie robili nic — wydawali się tylko bardzo zmęczeni. Byli brudni, zarośnięci. Siedzieli na podwórkach przed domami — broń poustawiali w koźły. Jakby nabierali sił, tchu i czekali na coś. Potem nagle zaczęli śpiewać. Pani Stefa dobrze zapamiętała tę pieśń, bo śpiewali długo, naokoło jej domu i naokoło domów sąsiednich. Jej rodzice, ona sama, wszyscy byli przerażeni — spodziewali się najgorszego. A Ukraińcy śpiewali swoją pieśń, w której powracał refren: „Śmert', smert' Lacham, bolszewikam i Żydam...”. Był rok 46 lub 47 i doprawdy niewiele mogli wskórać z takim programem. A potem nagle — opowiada pani Stefa — wstali, zabrali broń i odeszli łakami w stronę lasów. Pamiętam jak odchodzili śpiewając — mówi i zamyślona patrzy w okno. A za oknem huczy nasza budowa.

Listopad 66. Przyszedł do nas chłop. Piotr P. Zawsze przychodził zadowolony, uśmiechnięty. Załatwiał sprawy krótko i wychodził. Dostali nowy dom w sąsiedniej wsi — przyszedł z prośbą o pomoc w przeprowadzce. Nikogo nie było w pokoju, rozmawialiśmy cicho — tylko nas dwóch. Opowiadał, że sam nie da rady przenieść się — przejechać z tego przysiółka zza rzeki dziką, nieuczęszczaną drogą. Ma tylko jednego starego konia, którym po trochę przewozi rzeczy, ale koń ma dwadzieścia lat, słabnie. „Gdyby pan go widział — skóra i kości”. I nagle zobaczyłem, że ten spokojny, małomówny mężczyzna płacze. Wstrząsnął nim krótki silny szloch, stał łzy z policzków. Byłem zaskoczony: nigdy, nigdy nie przewidziałbym, że właśnie ten mężczyzna może płakać. Dlaczego? Ta nieodwołalna zmiana w życiu, przeprowadzka, stary koń?

Grudzień 67. Śmierć cieśli na budowie. Spadł na lód z wy-

sokości trzydziestu metrów. Rozmawiałem ze świadkami wypadku. Cieśla był na rusztowaniach, kiedy z koleby zawieszanej nad nim coś spadło (deska, pręt?). Uderzony w głowę spadł na filar działowy na sekcjach przelewowych, a potem dalej — w trzydziestometrową przepaść, na lód. Upadek trwał ze cztery sekundy. Zabił się na miejscu. Dwóch kolegów zjechało kolebą na dół. Ci na górze widzieli, jak podeszli do leżącego i jak zdjęli czapki z nausznikami”.

Koniec dziennika.

O aferze czosnkowej, która stanowi wątek sensacyjny „Cu-downej meliny”, dowiedziałem się pod koniec mojej pracy w Solinie — w roku 1968 lub 1969. Opowiadali znajomi z Sanoka. Było dokładnie tak, jak to opisałem w książce: sekretarz KP, dyrektor szpitala i kilku innych miejscowych notabli zajmowało się przemysłem czosnku z Czechosłowacji. Do „naszych południowych przyjaciół” przetrucano słoninę i wódkę. Ponieważ w Polsce czosnek był dość drogi — przemysłnicy oficjalnie zawierali umowy kontraktacji z odpowiednimi wydziałami rolnictwa rad narodowych. Później, na podstawie tych umów, dostarczali przemyczony czosnek. Towar przewożono w szpitalnych karetkach. Prawdopodobnie wszyscy prominenci czerpali z procederu zyski. Także opłacani pomocnicy: kierowcy, celnicy, wojsko — cały gang. Wszystko funkcjonowało bez zakłóceń do czasu, kiedy niespodziewanie zmieniono komendanta miejscowej jednostki WOP-u. Nowy, nie „zblatowany”, zatrzymał kolejną partię towaru. Towarzysze spóźnili się o jeden czy dwa dni. Zwyczajne przeoczenie. I potoczyła się lawina: aresztowania, dochodzenia, zwolnienia, sankcje. Ze śmiechem opowiadano o aferze sanockiej. Echo dotarło, oczywiście, do Soliny. Jeszcze po latach — w 1981 roku — kiedy to w Sanockim Klubie Inteligencji Katolickiej miałem wieczór autorski, ta sprawa była żywa. Ci, którzy słyszeli „Melinę” w radio (nadawała Wolna Europa) lub czytali — nie mieli wątpliwości: opisałem Sanok i ludzi zamieszanych w aferę czosnkową.

Później życie często potwierdzało moje różne obserwacje wykorzystane w „Melinie”. Poznawałem nowe małomiasteczkowe układy, słyszałem o sekretarzach KP — sprawcach wypadków drogowych. Najczęściej pijani, ranili lub zabijali kogoś na drodze za szybko prowadząc samochód. Dowiadywałem się, jak sprawy były ukrywane, gmatwane, jak ofiary wypadków stawały się ofiarami sykan. A polowania prominentów? Te setki hektarów ogrodzonych lasów w różnych regionach kraju? Pałacyki myśliwskie, zwierzyna naganiana na ambony. Rytuał tych polowań... Osobny rozdział.

Czytając prasę prowincjonalną — rozmaite „Nowiny Rzeszowskie”, „Gazety Współczesne”, „Głosy” — zawsze przeglądałem wiadomości z rubryki „Z miasta” lub „Z dnia na dzień”. I znalazłem w końcu notatkę, z której wynikało, że w jakimś małym miasteczku ludność protestowała przeciwko radiofonizowaniu ulic i placów. Przez cały dzień mieszkańcy miasteczka — chcąc nie chcąc — musieli słuchać radia. Zapewne był to pomysł miejscowego sekretarza lub komendanta MO. Tej jednej historii, wymyślonej przeze mnie i opisanej w „Melinie”, nie miałem w rejestrze opisanych, prawdziwych zdarzeń. „Melinę” jeszcze raz pisało życie.

ROZDZIAŁ II

Jesienią 1968 roku przeniosłem się z Soliny do Kozienic. W Świerżach Górnych, w lasach kozienickich nad Wisłą, zaczęto w tym czasie budowę kolejnej elektrowni. Pracowałem tam za ledwie kilka miesięcy, ale być może kilka zdarzeń z Kozienic było impulsem do napisania „Meliny”? Także moja osobista sytuacja — zagmatwanie życia, nieumiejętność znalezienia rozwiązania. Dużo opowiedziała mi Joanna. Rozmawialiśmy o ludziach, o zachowaniach ludzkich, o mentalności prowincjonalnych kacyków. W tych rozmowach powstał kształt przyszłej książki.

W roku 1971 pracowałem już w redakcji słuchowisk Polskiego Radia. Zostawiłem za sobą okres pracy na wielkich budowach. I powiatową Polskę, i poznanych ludzi, ale niespodziewanie znów zacząłem myśleć o książce o tamtych sprawach. Myślałem o tym, że kraj toczy trujący grzyb — jakby rakowa tkanka rozrastała się naokoło. Ten system niósł śmiertelną chorobę. Samowola ludzi z aparatu nieodpowiedzialnych przed nikim. Dwa systemy prawne: jeden obowiązujący zwykłych obywateli i drugi, a właściwie brak pierwszego — zupełna bezkarność prominentów. Fasadowość wszystkiego. Slogany i hasła, którymi ozdabiano płoty i mury w całym kraju („Dobro człowieka najwyższym celem partii!”). Słowa, w które nikt nie wierzył. Wódka, wódka — rosnąca z biegiem lat fala alkoholizmu zalewającego kraj. Wydawało się, że to równia pochyła, że nie ma ratunku, ale wierzyłem jeszcze wtedy, że można o tym napisać książkę. I zacząłem pisać: szybko, nigdy tak szybko żadnej książki nie pisałem. W ciągu dziesięciu-jedenastu miesięcy, przerywając co pewien czas, by po tygodniu-dwóch wracać. Żyłem wtedy życiem bohaterów „Meliny”.

Na początku 1972 roku skończyłem książkę i zaniósłem do

wydawnictwa. Jeszcze w 1969 podpisałem umowę. Przechowuję ten dokument do dziś: numer 158 z dnia 18 marca 1969. Złożyłem maszynopis i zapadła cisza. Powieść była krótka — 170 stron. Można było w ciągu dwóch dni przeczytać. A oni czytali prawie dwa miesiące. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca.

Każdy, kto pisze, zna ten ból: niecierpliwość, niepokój. Przyjęli — nie przyjęli? Spodobało się, a może odrzucił? Mijały tygodnie. Codziennie otwierałem pusty schowek na listy. Chyba niejasno przeczuwałem już odmowę, ale sam nie chciałem tam iść, dzwonić, pytać. Tak, odmowa już wtedy wisiała w powietrzu. Kilku przyjaciół, którzy przeczytali powieść, radziło zmiany. Nie wielu wierzyło, że z negatywnym sekretarzem KP „Czytelnik” będzie mógł wydać. Były to uzasadnione obawy. Sekretarz Miedza, rzucający sloganami w czasie wygłaszania przemówień, czerpał korzyści z przemytu czosnku, po pijanemu prowadził wóz — spowodował wypadek, który starannie zatuszowano. Biegał z siekierą za cudzym wieprzkiem podczas libacji w rybaczówce nad jeziorem. I chyba nie wierzył w komunizm — sekretarzowanie w KP traktował jako dobrą posadę. Był urządzony w życiu — mocno, pewnie. Ideologia, to był tylko dodatek, konieczność uczestniczenia w obrzędach, wygłaszania przemówień, służenia silniejszym towarzyszom. Świat był urządzony prosto: byli silni i słabi. On był po stronie silnych. Kiedy ktoś powiedział przy nim: „Robotnicy mówią, że chodzi o sprawiedliwość dla nich...”, spytał zaskoczony: „Kto? Co? Jacy robotnicy, jaka sprawiedliwość?”. Pojęcia „sprawiedliwości” i „robotnicy” były dla tego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej abstrakcją. Myślę, że takich sekretarzy było wówczas wielu. To był właśnie aparat: tępy, biurokratyczny, dbający wyłącznie o własne interesy. Była to reguła, którą wielu mieszkańców małych miast w Polsce potwierdziłoby przytaczając przykłady samowoli, korupcji i bezkarności, o jakich krytykom mojej książki zapewne nie śniło się.

Na początku marca otrzymałem z wydawnictwa pismo następujące: „Szanowny Panie, uprzejmie komunikujemy, że złożonego nam maszynopisu powieści Pana pt. 'Cudowna melina' z umowy nr 158/69 z dnia 18.3.69 r. w obecnej postaci przyjąć nie możemy. Prosimy o skontaktowanie się z naszą redakcją w celu omówienia powyższej sprawy”. Natychmiast pobiegłem na ulicę Wiejską. Tam moja redaktorka, Danuta Hrehorowicz, wyjaśniła (zastrzegając się, że jest całkowicie po mojej stronie), jakie są trudności. Wydawnictwo chciałoby książkę wydać, ale proszą o kilka zmian. Była tam, o ile pamiętam, cała lista ustępów,

zdań, słów budzących niepokój. Przede wszystkim jednak chodziło o rozdział pt. „Gdzie jest Lenka?”.

W powieści występował młody człowiek — cywil w ciemnych okularach — widywany na ogół w towarzystwie milicjantów. W pierwszej wersji, kiedy pod koniec powieści Muszyna szuka sekretarki — Lenka rozmawia z cywilem w ciemnych okularach, który namawia dziewczynę do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Lenka broni się, wymawia, ale jest szantażowana odebraniem mieszkania, może renty matce? Sprawa pozostaje chyba w zawieszeniu — Lenka płacze, nie wie, co robić. Ten rozdział, jak zorientowałem się, budził największe obawy i oporów. Wydawnictwo bało się posłać książkę do cenzury. Po namyśle zgodziłem się na zmiany. W wydanej później książce rozdział „Gdzie jest Lenka?” ma inną treść. Lenka bierze udział w uroczystym otwarciu miejskiego przedszkola. Zapomniała uprzedzić narzeczonego — a może mówiła, ale podpity Muszyna zapomniał? W rezultacie ten rozdział stał się najbardziej pozytywnym obrazkiem z małomiasteczkowej rzeczywistości: władza ludowa dba o budownictwo przedszkoli. Sekretarz Miedza, duży mężczyzna z ogromnym brzuchem, bawi się z dziećmi w „kółko graniaste”. Przedszkolaki śpiewają. Matki zapraszają obecnych na podwieczorek. I tak dalej. Panuje atmosfera ogólnej życzliwości, choć budynek przedszkola jest źle wykończony. Nie domykają się wypaczone drzwi, są dziury w ścianach, opada tynk — gołym okiem widać brakorobstwo. Mimo to jest ślad optymizmu. I ta wersja została — taką powiozłem w walizce do Szwajcarii.

Kiedy dziś myślę o tym swoim ustępie, o wprowadzonych do „Meliny” zmianach — zastanawiam się, która wersja bliższa była prawdy? Która przedstawia wierniejszy obraz polskiej rzeczywistości z tamtych lat? Zapewne — jeśli porównać aparat policyjny z końca lat sześćdziesiątych z aparatem z ostatnich lat — obraz UB z tamtych czasów wydaje się nieszkodliwy i łagodny. Byliśmy na etapie rozwoju. Dopiero Edward Gierek miał rozbudować i wzmocnić „siły bezpieczeństwa” oraz „siły porządkowe” do monstrualnych rozmiarów. Powstało państwo w państwie. Ale już wtedy widoczne były symptomy, wytyczono kierunek. Wydarzenia marcowe, procesy studentów, skazanie Kuronia i Modzelewskiego, represje wobec pisarzy. Powoli wzbierająca fala. „Cywil w ciemnych okularach” był prawdziwym elementem tej rzeczywistości. Opisałem zresztą człowieka, którego poznałem w czasie mojego pierwszego kontaktu z UB w roku 1970 — jeszcze przed wydarzeniami grudniowymi.

Tak jak trzy lata później — rano zadzwonił telefon. I tak

samo obcy męski głos zażądał zgłoszenia się w gmachu Komendy Stołecznej MO przy ulicy Nowotki. — W sprawie paszportowej — wyjaśnił. Nie protestowałem. Ale kiedy zgłosiłem się w wyznaczonym pokoju, obecny tam funkcjonariusz wyjaśnił od razu, że nie reprezentuje biura paszportów, ale Służbę Bezpieczeństwa, a rozmowa nie będzie dotyczyła spraw paszportowych, ale moich kontaktów za granicą. Tak zetknąłem się po raz pierwszy z metodą szantazu: wiemy o panu wszystko, mówił mój „cywil w ciemnych okularach”. Wiemy nawet kiedy i do której kieszeni wkłada pan rękę, żeby wyjąć chusteczkę... Chciał mnie nakłonić do współpracy. „Nie będzie to wyglądało tak, jak to sobie każdy wyobraża. Po prostu od czasu do czasu spotka się pan z kimś na kawce. Damy czasem coś do przeczytania. Poprosimy o opinię...”.

Ponieważ powtarzałem z uporem, że ta propozycja mnie nie interesuje i raczej czuję się nią obrażony — rozmowa ciągnęła się długo. „Cywil w ciemnych okularach” straszył odpowiedzialnością za rzekome przekazanie za granicę książeczek oszczędnościowych PKO kolegi z Soliny Berta S., który dopiero co wyjechał na Zachód nielegalnie (wyłamując samochodem barierę na przejściu granicznym między Jugosławią a Triestem). On rzeczywiście dzwonił do mnie z Berlina Zachodniego prosząc o przesłanie przez kogoś dyplomu i książeczek PKO. Po wyjaśnieniu sprawy w Urzędzie Celnym odmówiłem, wysyłając do Berta list. Ci z UB myśleli zapewne, że te moje telefoniczne rozmowy z Urzędem Celnym, to tylko pozory, a dokumenty przesłałem drogą nieoficjalną. Od czasu do czasu drzwi z korytarza za mną otwierały się z hukiem — do pokoju wbiegał ogromny mężczyzna, który czegoś szukał w szafie. Może chcieli mnie w ten sposób przestraszyć? Pod koniec przesłuchania pojawił się inny przedstawiciel organów bezpieczeństwa — dobrotliwy wujaszek. Zapytał, pamiętam: „Panie Kaziu, co się z panem dzieje? Jeszcze tu pana trzymają?”.

Wykorzystałem później tę rozmowę w „Cudownej melinie” — w rozdziale o przesłuchaniu stolarza Groszka po zawaleniu się trybuny w czasie uroczystości pierwszomajowych. Nawet tytuł rozdziału wzięłem od dobrotliwego wujaszka: „Panie Janku, co się z panem dzieje?”.

Puścili mnie niechętnie, jakby zawiedzeni. Może liczyli na łatwą zdobycz? W pewnej chwili jeden z nich powiedział (chyba wujaszek): „Pan nawet nie wie, ilu pana kolegów-literatów współpracuje z nami”. Mówił prawdę, czy blefował? Nie wiem. Tego młodszego rangą „cywila w ciemnych okularach” spotkałem później na Poczcie Głównej w Warszawie, już w czasie wy-

darzeń na wybrzeżu — w grudniu 1970 roku. Mam niezłą pamięć do twarzy — tego człowieka poznałem natychmiast. Minęliśmy się twarzą w twarz w przejściu — pamiętam, że spuścił głowę i zniknął.

Cywil w ciemnych okularach z „Cudownej meliny” zniknął w innych okolicznościach. Ustąpiłem pod naciskiem argumentów Wydawnictwa „Czytelnik”. Zwolennicy łagodniejszego obrazu naszej rzeczywistości, wyważonych sądów i opinii — uznaliby zapewne, że ta zmiana wyszła książce na dobre. Obraz z „cywilem w ciemnych okularach” byłby w ich oczach zbyt jednostronny. Ale mnie chodziło o to, że już wtedy, z końcem lat sześćdziesiątych, wszystko wskazywało na to, że kraj z powrotem opłatywany jest pajęczą siecią, jak w czasach stalinowskich. Zmieniły się metody, zmienił się charakter, przyszli nowi ludzie, ale kierunek rozwoju, zasada — pozostały niezmienione.

Wracam do książki. Zgodziłem się również na kilka innych zmian. Pracowałem szybko: po dwóch tygodniach maszynopis ponownie trafił do wydawnictwa. I znów oczekiwanie w niepewności, kilka tygodni w napięciu: przyjmą, nie przyjmą?

Był to okres moich „sukcesów” literackich, jeśli uznać to słowo za odpowiednie — sukcesów pozornych, bo w końcu jedynym realnym sukcesem może być sukces książki. Echo, rezonans czytelnicy. A ja takiego sukcesu nigdy nie przeżywałem. W latach 1971 i 1972 dostałem nagrody: Fundacji Kościelskich z Genewy za tom opowiadań „Ciemne drzewa”, II nagrodę w konkursie na słuchowisko, wyróżnienie w konkursie na sztukę współczesną (tę ostatnią pod koniec 1972 roku). Moje słuchowiska szły w radio, opowiadania chętnie były drukowane w prasie. Wszystko niby toczyło się w dobrą stronę, tylko nie mogłem doczekać się odpowiedzi z „Czytelnika”. Zniecierpliwiony rozesłałem fragmenty „Meliny” do kilku pism: *Twórczości*, *Miesięcznika Literackiego*, *Kultury*, *Kamenu*, *Tygodnika Kulturalnego*. Chciałem sprawdzić, jak tam to będzie przyjęte? Był już kwiecień lub maj — powieść leżała od kilku miesięcy i dalej schówek na listy był pusty.

Pamiętam moje wzrastające zdenerwowanie, napięcie w jakim zacząłem żyć. Powoli docierało do mnie, że przecież „oni” „Meliny” nie wydadzą, że to naprawdę przerasta możliwości tych wszystkich, którzy może i chcieliby wydać, ale boją się*.

* Recenzenci książki pisali (dwie recenzje, Sprusińskiego i Matuszewskiego, dostałem trochę później): „Koncepcję wątku fabularnego powieści 'Cudowna melina' nasunęły Orłowski — obok obserwacji naszej rzeczywisto-

Tak, to chyba był moment, kiedy zacząłem zdawać sobie sprawę, że oto rośnie przede mną mur nie do pokonania. Potwierdzały się przewidywania przyjaciół pesymistów: kolejno Główny Urząd Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk odrzucał fragmenty „Meliny”, które miały iść w pismach (wszystkie redakcje przyjęły maszynopisy). Wiem, że *Twórczość* i *Miesięcznik Literacki* chciały drukować. To samo *Kultura* i *Tygodnik Kulturalny*. W tych dwóch redakcjach zamieniłem fragmenty — dałem łagodniejsze, zabrałem ostrzejsze. I te dwa pisma, niespodziewanie, wydrukowały „Świetliki” i „Szalet w morelowych drzewkach”. Po dziewięciu latach, w roku 1981, kolejny rozdział udało się wydrukować w *Życiu Warszawy* redagowanym przez Jerzego Wójcika. „Ty nam błogosław”. To wszystko.

Pewnego dnia zadzwonił do redakcji słuchowisk instruktor z KC. Nazywał się Łowicki. Wtedy to po raz drugi i ostatni byłem w gmachu na rogu Nowego Świata i Alej Jerozolimskich (po raz pierwszy chodziłem tam w sprawie mego przyjaciela z Soliny, Michała Zębińskiego, któremu utrudniano powrót do kraju z Ameryki). Tę drugą rozmowę, w pewne słoneczne przedpołudnie, zapamiętałem dobrze. Jak zorientowałem się, do Wydziału Kultury napłynęły fragmenty „Meliny” zatrzymane przez cenzurę. Zdaje się, że taka była procedura: jeśli tego samego

tości w małomiasteczkowym wymiarze — dwa wzorce literackie: Żeromskiego i Gogola. Z Żeromskiego jest samotny bohater pozytywny, który przegrywa w walce z plugastwem — przewodniczący Henryk Turon, z Gogola — fingowany 'redaktor', bliski — jeśli chodzi o pełnioną w utworze funkcję — krewny gogolowskiego rewizora, pijacek Andrzej Muszyński. Umysłnie podkreślam te dwie filiacje literackie, bo przy ich pomocy można bronić tego utworu, utrzymanego w tonacji ciemnej, atakującego swoją krytyką nasze polskie grandziarstwo z szewską pasją, która Żeromskiego na myśl przywodzi” (Matuszewski). „Orłós doskonale zna małomiasteczkowe realia, czego liczne dowody i w 'Melinie'. Ta powieść wprowadza nas w świat małej, prowincjonalnej enklawy opanowanej całkowicie przez przestępców, łajdaków, karierowiczów i złodziei. Jedyne sprawiedliwe musi ostatecznie wyjść z owej Sodomy. Powiedzmy otwarcie: powieść zaskakuje trafnością wielu obserwacji, ostrą, agresywną i poruszającą nas narracją, ale też nuzę zbyt dużym skupieniem wszechwładnie władającego zła...” (Sprusiński). „Jest dla mnie jasne — pisał Matuszewski — że ta realistyczno-satyryczna powieść, sprawnie napisana, na pewno z gatunku 'zaangażowanych', nie przejdzie gładko przez ręce panów z ul. Mysiej. Może trzeba by z góry zasugerować autorowi pewne retusze...”. To samo myślał Sprusiński: „Dodam jeszcze — pisał na zakończenie — że przyjęcie powieści Orłosa będzie znakiem widomym w dyskusji (teoretycznej) o możliwościach i zakresie polskiej prozy współczesnej nie lekającej się tematyki dyktowanej przez anomalie życia”.

„Anomalie życia...” — niezły eufemizm podsuwany „panom z ulicy Mysiej”!

autora kilkakrotnie „przyłapano” na „necenzuralnych” tekstach — wysyłano maszynopisy do KC. A może również wtedy, gdy cenzor sam bał się podjąć decyzję? Instruktor Łowicki zaczął od pytania, co to jest? Powieść, opowiadania? Przeczytał kilka fragmentów i nie był pewien. Wyjaśniłem streszczając krótko „Melinę”. Wtedy padło pytanie: „Co pan tak nieprzychylnie tę władzę ludową opisał?”.

Zacząłem mówić, że moim zdaniem chodzi o co innego: o powiedzenie prawdy, opisanie zła. O protest.

— Ale pan tak źle przedstawia władzę ludową — powtórzył.

— Jeśli taka jest rzeczywistość Polski powiatowej, a taką poznałem, dlaczego nie można o niej pisać? Jest to ostrzeżenie: dzieje się źle. Ja tak pojmuję sprawę pisania w ogóle — mówiłem. — Trzeba przeciwstawiać się złu.

Niby rozumiał, ale wciąż kręcił głową: — Tak źle opisał pan władzę ludową, w takim świetle...

W pewnym momencie, pamiętam, powiedział o jakimś wysoko postawionym towarzyszu, którego sprawa dotyczy. Choćby z tego powodu mogą być kłopoty z wydaniem: — Pan poruszył sprawę, w którą osobiście zaangażowany jest wysoko postawiony towarzysz...

Domyśliłem się, że chodzi o rozdział „Zapach czosnku”. O ile wiem, sekretarz sanocki przyjaźnił się z Kruczkim — sekretarzem KW. Ten Kruczek, późniejszy przewodniczący CRZZ, chronił przyjaciela przed odpowiedzialnością. Obronił przed więzieniem. Zapewne tuszował sprawę. „Melina” okazała się niebezpieczna dla towarzysza Kruczka.

— Poza tym — mówił tow. Łowicki — czy tam przypadkiem nie ma pewnych uogólnień? — Patrzył na mnie badawczo.

— Uogólnień? — zdziwiłem się. To pytanie pozostało nierozstrzygnięte. Stało na tym, że Łowicki weźmie z „Czytelnika” maszynopis i przeczyta całą książkę. Wtedy podejmą decyzję.

Podpisał przepustkę. Wyszedłem z pokoju i po czerwonym chodniku ruszyłem w kierunku windy. Wracałem słonecznym Nowym Światem i Wiejską w kierunku Górnośląskiej, zdając sobie sprawę, że to już chyba koniec. Nie wydadzą tej książki. Nie wydadzą na pewno, ponieważ Łowicki miał zbyt dużo zastrzeżeń. Źle przedstawiłem władzę ludową, sprawa Kruczka i w końcu „uogólnienia”. Nie są głupcami — myślałem. — Nie chodzi przecież o jedno miasteczko. Dla nich to książka o systemie, o mechanizmach działania, o ludziach, którzy z góry na dół tworzą aparat. Wszędzie są tacy sami i Łowicki dobrze o tym wie.

W kilka dni później otrzymałem z „Czytelnika” następujące pismo: „Uprzejmie komunikujemy, że złożonego nam ponownie maszynopisu powieści pt. 'Cudowna melina' z umowy nr 158/69 z dnia 18.3.69 r. przyjąć nie możemy. Zgodnie z § 15 w.w. umowy pobrana przez Pana zaliczka przepada na jego korzyść. Z poważaniem, Zarząd S.W. 'Czytelnik'”. I dwa nieczytelne podpisy.

Instruktora Łowickiego nie zobaczyłem nigdy więcej.

ROZDZIAŁ III

Kiedy w czasie przesłuchania na ulicy Rakowieckiej, już po ukazaniu się książki w Paryżu, mówiłem funkcjonariuszom z MSW, że przez cały rok 1972 starałem się o wydanie „Meliny” w kraju — była to prawda. Po otrzymaniu pisma z „Czytelnika” zwróciłem się do Komisji Interwencyjnej przy Zarządzie Głównym ZLP. Komisja ta została powołana w celu pośredniczenia między autorami a urzędem cenzorskim w sprawach „trudnych”, jak mówiono. Była to w rzeczywistości żalosna mistyfikacja. Wątpię, aby Komisja Interwencyjna cokolwiek osiągnęła w swoich kontaktach z urzędem z ulicy Mysiej. Pamiętam, że kiedy przyniosłem moje pismo-odwołanie i wręczyłem Andrzejowi Lamowi — przewodniczącemu Komisji — wyczułem rezerwę i niechęć tego człowieka. Nie pomyliłem się. Po dwóch tygodniach otrzymałem lakoniczne pismo następującej treści: „Szanowny Panie, pragnę powiadomić, że w wyniku odbytych konsultacji nie widzę obecnie możliwości skutecznej interwencji w sprawie powieści 'Cudowna melina', nie przyjętej przez Spółdzielnię Wydawniczą 'Czytelnik'. Przewodniczący Komisji Interwencyjnej ZG ZLP Andrzej Lam”.

Nie jestem człowiekiem impulsywnym. Wielu impetyków na moim miejscu dostałoby w tym momencie apopleksji. Co za „konsultacje”? Dlaczego nie działają, a tylko oceniają skuteczność ewentualnej interwencji? Odwołałem się do Zarządu Głównego: „Nikt z członków Komisji nie wyjaśnił mi, dlaczego interwencja ma być nieskuteczna. Nikt nie przeprowadził ze mną choćby najkrótszej rozmowy telefonicznej”. Prosiłem Zarząd Główny o wyjaśnienie, do kogo mam się zwrócić w sprawie uchylenia niesłusznej i krzywdzącej decyzji cenzorów.

Pisma, o których mówię, rozesłałem przy okazji do wiadomości wydawnictwa. Wydziału Kultury KC i PEN-Klubu. Jedy-

nym echem był telefon od A. Lama, który usiłował wyjaśnić mi, dlaczego interwencję w mojej sprawie uważał za bezskuteczną. Nie pamiętam szczegółów tej rozmowy. Była bez znaczenia. Ani KC ani Zarząd Główny nie odezwały się. Znikąd słówka odpowiedzi. Ale szczególnie dotknęło mnie milczenie PEN-Klubu, którego byłem członkiem od dwóch lat. PEN-Klub z lat siedemdziesiątych nie był zapewne PEN-Klubem z lat osiemdziesiątych, ale przecież osobiście wręczyłem pismo sekretarzowi Władysławowi Bartoszewskiemu i w końcu po co są te szczytne zasady wypisane w karcie PEN (pkt 4: „PEN opowiada się za zasadą nieskrępowanego przekazywania myśli wewnątrz każdego narodu i między wszystkimi narodami, a jego członkowie zobowiązują się występować przeciwko każdej formie zniesienia wolności słowa w kraju i społeczności, do których należą”). Bardzo byłem rozgoryczony.

Podczas wszystkich tych moich zabiegów maszynopis „Melinę” leżał w bezpiecznym miejscu na Zachodzie. To prawda. Przedstawiciele partii, SB i rządu, jeśli później zajmowali się moją sprawą, mieli argument istotny: przecież on wywiózł maszynopis na wiośnię, nie czekając nawet na ostateczną decyzję wydawnictwa. Wszystkie zabiegi o wydanie książki w kraju mogły wydawać się pozorne.

Rzeczywiście w maju 1972 roku wyjechałem na dwa tygodnie do Szwajcarii. Na dnie walizki schowałem maszynopis „Cudownej meliny”. Pamiętam niepokój, jaki przeżywałem podczas kontroli celnej na lotnisku. Znajdą — nie znajdą? Nie znaleźli. Zrobili, nie wiadomo z jakiego powodu, rewizję osobistą: w małej kabinie, do której zaprosił mnie celnik, musiałem zdjąć marynarkę i buty. Powyjmować wszystko z kieszeni, rozpakować portfel. Było to, oczywiście, upokarzające — czułem się później, już wsiadając do samolotu, jak człowiek, któremu naubliżano. Ale na dno mojej czarnej walizki nikt nie zajrzał i maszynopis przyleciał ze mną do Genewy.

Dwa lata wcześniej, jadąc pociągiem z Nowego Jorku do Bostonu, rozglądałem się odruchowo patrząc na twarze współpasażerów, czy ktoś nie zwróci uwagi, że czytam najnowszy numer paryskiej *Kultury*? I tak samo teraz, na lotnisku w Genewie, a potem jadąc autobusem do miasta, łąpałem się na tym, że mówię do profesora Zygmunta Kallenbacha — prezesa Fundacji Kościelskich, który poświęcił swój czas, aby przyjechać po mnie na lotnisko — szeptem. Skutecznie nam wmówili, że zawsze i wszędzie popełniamy jakieś przestępstwo. I czułem się chyba jak przestępca: wywiozłem nielegalnie za granicę maszynopis własnej powieści.

Należę do pokolenia dojrzewającego po wojnie, w stalinowskich szkołach, ukształtowanego przez stalinowską a potem popaździernikową propagandę. Na dodatek z wykształcenia jestem prawnikiem — pracowałem jako radca prawny na wielkich budowach „socjalistycznej ojczyzny” — zawodowo zajmowałem się systemem prawnym PRL. Tu szedłem być może po raz pierwszy „pod prąd”. Przeczuwałem już wtedy, że tej książki w Polsce nie wydadzą. A chciałem ją wydać koniecznie — chciałem, żeby nie zginęła. Zapisałem w niej to wszystko, co sam widziałem w ciągu tych kilku ważnych lat pracy w Solinie. Tam był obraz polskiej rzeczywistości. Powierzchniowo oceniając był to obraz czarny, ale ja przecież byłem ukształtowany przez tę rzeczywistość. Pisałem tak, jak ją widziałem. I nie po to, aby oczernić, dla samej przyjemności oczerniania. Pisałem, aby ostrzec, może coś zmienić. I choć brzmi to śmiesznie i naiwnie — tak było. Po ukazaniu się książki na Zachodzie mówiłem o tym z uporem. Oczywiście bez skutku.

Z dzisiejszej perspektywy wszystko wydaje się mniej skomplikowane. W czym rzecz? Jesteśmy wolnymi ludźmi. To w końcu nasze ludzkie prawo publikować własne utwory „bez względu na granice”. Mówi o tym wyraźnie art. 19 Paktów Praw Człowieka, ratyfikowanych przez PRL. Inne akty prawa międzynarodowego. Wówczas to wszystko nie wydawało się takie proste. Wyglądało inaczej i ja, zdenerwowany po „przeszukaniu osobistym” na warszawskim lotnisku, mówiłem do profesora Kallenbacha szeptem.

Po powrocie do Warszawy z tym większą energią powróciłem do zabiegów o wydanie książki tutaj — w „socjalistycznej ojczyźnie”. Tam maszynopis był zdeponowany i czekał na ostateczną decyzję. A ja jeszcze miałem nadzieję — naprawdę miałem nadzieję — że „Melinę” uda się wydać w Warszawie, nie w Paryżu.

Poszedłem do Zbigniewa Załuskiego, wówczas sekretarza organizacji partyjnej przy Oddziale Warszawskim Związku Literatów Polskich. Jak kilku innych partyjnych literatów odniósł się do sprawy przychylnie. Było lato — lipiec lub sierpień. Siedzieliśmy przy stoliku w związkowej kawiarni na Krakowskim Przedmieściu i Załuski krótko uzasadnił, dlaczego jego zdaniem książka powinna się ukazać: — To dla mnie trochę gogolowski obraz naszej rzeczywistości. Jakby współczesny „Rewizor”. Ale nie ma w tym chęci szkodenia. Dla mnie jest tam więcej afirmacji, oczywiście nie werbalnej, nie powierzchownej.

Przytaczam słowa Załuskiego z pamięci, mógł użyć innych słów, ale sens był właśnie taki. Dziwił się moim perypetiom

wydawniczym. Obiecywał, że będzie rozmawiał w sprawie druku. Chyba mówił o Wydziale Kultury KC. Wyczuwając moje rozdrażnienie, brak wiary w skuteczność interwencji, dodał: — Niech mi pan da trochę czasu.

Wyjaśniłem, że wyznaczyłem sobie termin na załatwienie sprawy do końca roku. Będę próbował jeszcze przez te parę miesięcy, a potem...

Załuski chyba zrozumiał, że mogę wydać „Melinę” na Zachodzie. Powiedział, pamiętam: — Niech pan nie działa pochopnie. To jednak nie jest „Doktor Żiwago”...

W rok później, w leśniczówce na Mazurach, zobaczyłem Zbigniewa Załuskiego z daleka. Przyjechał wielkim wozem zachodniej marki. „Melina” wyszła już w Paryżu. Nie było o czym rozmawiać.

Ostatnią szansą był Wojciech Żukrowski. Po raz pierwszy zwróciłem się do niego w październiku 1972 roku, kiedy to przeczytałem udostępnioną mi szpalte z wywiadem Żukrowskiego dla *Tygodnika Kulturalnego*. Mówił tam o „Melinie” pochlebnie, jako o książce z pasją atakującej negatywne zjawiska społeczne. Mówił jasno o potrzebie wydawania właśnie takich książek. Ten wywiad cenzura zatrzymała. Ale ja uchwyciłem się tej nowej nitki z nadzieją. Zaniósłem maszynopis Żukrowskiemu. Obiecał pomoc. Po tygodniu lub dwóch zwrócił książkę mówiąc, że wokół „Meliny” wytworzyła się zła atmosfera. Nie ma widoków na druk, przynajmniej w najbliższym czasie. Nawet ci, którzy nie czytali są przeciw. To był pierwszy kontakt z Żukrowskim w sprawie „Meliny”. Myślałem, że ostatni, dlatego zaskoczył mnie niespodziewanym telefonem w styczniu lub na początku lutego 1973 roku. Prosił o pilne dostarczenie maszynopisu, ponieważ pojawiła się nowa szansa. To było już po wysłaniu kartki sygnalizującej moją decyzję co do wydania książki w „Kulturze”, ale znów ucpiłem się tej nitki. Tej mglistej „szansy”. Pobiegłem do Żukrowskiego z maszynopisem „Meliny” po raz drugi.

O Wojciechu Żukrowskim-pisarzu, pierwszy raz usłyszałem jeszcze w Łodzi, tuż po wojnie, kiedy ukazał się tom jego opowiadań „W kraju milczenia”. Pamiętam, jak moja matka zachwycała się lekturą. Miałem wtedy dziesięć lub jedenaście lat i uczyłem się jeździć na zbyt dużym rowerze. Nogę trzeba było przekładać pod ramą. Literaturą nie interesowałem się zupełnie. Ale pamiętam rozmowy — zwłaszcza o pierwszych powojennych książkach, w których stronice rozcinało się nożem. Jedną z tych książek było „W kraju milczenia”. Później, po latach,

przeczytałem sam i pamiętam, jak silnie przemówił do mnie obraz i język tej prozy.

Żukrowskiego poznałem po wydrukowaniu przez *Twórczość* mojego opowiadania „Dziecko ojca i matki”. Był rok 1961 — chwalił gdzieś to opowiadanie, a ja zadzwoniłem do niego, żeby podziękować. Chyba tak było. Kilkakrotnie wspominał później o mojej prozie, zawsze z dobrą oceną. Odwiedziłem Wojciecha Żukrowskiego w jego mieszkaniu na Mariensztacie — wydał mi się sympatycznym starszym panem, dobrotliwym, jowialnym, niezwykłe życzliwie ustosunkowanym do młodszych kolegów.

W okresie, kiedy byłem w Komisji Współpracy z CRZZ przy Zarządzie Głównym ZLP w latach 1970-1971, przewodniczący Komisji Edmund Niziurski poprosił mnie kiedyś, abym w czasie spotkania autorskiego towarzyszył Żukrowskiemu jako przedstawiciel Komisji. Pojechaliśmy do świetlicy przy dużych zakładach na Pradze. A może był to Dom Kultury? Była zima — spotkaliśmy się koło kościoła Wizytek na Krakowskim Przedmieściu i tam, zaskoczony, zauważyłem, że obaj mamy płaszcze z takiego samego materiału: szarego w pepitkę. Żukrowski miał jeszcze czapkę z tego materiału. Ja, z gołą głową, co pewien czas pocierałem zmarznięte uszy. Było to niezbyt udane zebranie w ciemnej świetlicy, a na dodatek po spotkaniu jacyś młodzi ludzie podeszli do Żukrowskiego pytając, czy to prawda, że w 1968 roku pisał dla Moczara przemówienie? Na mnie patrzyli niechętnie, jak na osobistą ochronę autora „Kamiennych tablic”. Potem wyszliśmy razem na ulicę w jednakowych płaszcach, z tym, że on miał jeszcze tę czapkę...

Teraz nagle zadzwonił z propozycją niespodziewanej pomocy. Po kilku dniach spotkaliśmy się ponownie. Powiedział, że jest już za późno. W czasie tej rozmowy zapytał nagle: — Dlaczego pan od razu nie przyszedł z tym do mnie? Franek na pewno by pomógł...

Przypominałem sobie młodych ludzi z ciemnej świetlicy, którzy pytali o Moczara. Żyłem jeszcze z daleka od środowiskowych podziałów, a przecież już wtedy Wojciech Żukrowski był dla wielu ludzi przyjacielem Moczara. Dla mnie jeszcze autorem „W kraju milczenia” i „Piórkiem flaminga”. Dopiero po ostatniej naszej rozmowie i po zwróceniu maszynopisu „Meliny” zrozumiałem, że oto znaleźliśmy się po dwóch stronach. On należał do tak zwanych „realistów”. Tych, którzy powtarzają: „trzeba realnie patrzeć na świat”. W praktyce oznacza to uznanie racji silniejszego. Podporządkowanie się władzy, choćby słuszność była gdzie indziej.

W kilka dni później mój teść zadzwonił z wiadomością o na-

dejszcie listu od kuzyna Konstantego Bobbé, a rano odezwał się w słuchawce obcy głos. Pomyślałem, że w chwili kiedy Żukrowski rozmawiał ze mną, „Melina” leżała zapewne na wystawie polskiej księgarni na wyspie św. Ludwika. Zrozumiałem to idąc do tego ogromnego gmachu przy ulicy Rakowieckiej, gdzie po raz pierwszy miałem zobaczyć książkę na biurku funkcjonariusza MSW. Do gmachu, w którym największy z licznych gabinetów jeszcze przed rokiem zajmował Franciszek Szlachcic. Franek, jak mówił Żukrowski.

ROZDZIAŁ IV

1. września 1968 roku stałem na podium, pod pluszową kotarą zasłaniającą ekran, w odświętnie udekorowanej sali kina „Energetyk” w Solinie. Był Dzień Energetyka i jednocześnie uroczysty moment zakończenia budowy zapory wodnej. Wszyscy byliśmy w garniturach i krawatach, kobiety miały fryzury dopiero co ułożone w miejscowym zakładzie fryzjerskim, w którym jak mówiono pracował były sotnik Ukraińskiej Powstańczej Armii (oczywiście niesprawdzona plotka). Nie minęły jeszcze dwa tygodnie od momentu, kiedy granice bliskiej Czechosłowacji przekroczyły wojska Układu Warszawskiego, wprowadzając na miejsce Praskiej Wiosny — moskiewską zimę. Ale nas to niewiele obchodziło. Mimo że w Solinie pracowała duża grupa inżynierów i techników z Czechosłowacji (turbogeneratory w siłowni były produkcji czeskiej). Wieczorami, w hotelu gdzie wówczas mieszkałem, słyszeliśmy głosy spikerów czeskich — te dramatyczne, zdławione głosy.

Staliśmy w szeregu zadowoleni i uśmiechnięci, podczas gdy premier Jaroszewicz i minister Mitrega przypinali do kłap odznaczenia. Dostałem srebrny krzyż zasługi — byłem w grupie, której odznaczenia wręczał Mitrega. Jaroszewicz udekorował kilku wyróżnionych krzyżem Polonia Restituta — przeważnie dyrektorów, głównych inżynierów i projektantów z przedsiębiorstw budujących Solinę.

Kiedy przypominam sobie tamten moment — to samozadowolenie, satysfakcję z odznaczenia (przez kilka godzin później chodziłem z krzyżem przypiętym do kłapy), atmosferę tamtego dnia — słonecznego, pełnego radości, jakiej niewiele razy w życiu można doświadczyć — trudno mi zrozumieć siebie. Tylko to mam na usprawiedliwienie, że Solina była jak szczęśliwa wyspa i jeszcze nie widzieliśmy chmur, jakie naokoło zaczynały się

piętrzyć. Było przecież po wydarzeniach marcowych, aresztowani studenci odsiadali wyroki, łonemu Pawłowi Jasienicy (*nota bene* ojcu naszej koleżanki z Soliny Ewy Beynar, pracującej tam od kilku lat jako inspektor nadzoru) nie dano żadnej możliwości publicznej obrony. Wyrzucano ludzi z kraju na podobnych zasadach, jakie w 1933 roku wprowadził w Rzeszy Niemieckiej Adolf Hitler. Prasa pełna była chętnych artykułów po inwazji na Czechosłowację. A ja w Solinie, posłusznie wyprężony, ścisnąłem dłoń ministra Mitreği.

Potem patrzyliśmy z korony zapory, jak startuje helikopter z Jaroszewiczem. Być może ze względu na Czechosłowację Jaroszewicz przyleciał wojskowym helikopterem. Wielka szarozielona maszyna z białoczerwonymi szachownicami na kadłubie — z rykiem silników wzbiła się z doliny pod zaporą, zatoczyła koło nad nami i odleciała na północ. Staliśmy świecąc odznaczeniami. Później w sali klubu budowlanych tańczyliśmy do rana.

Myślę, że to wtedy, 1 września 1968 roku, znalazłem się na drodze, na którą tak wielu z mego pokolenia weszło. Drodze prowadzącej w górę — prosto do socjalistycznego *establishment'u*. I choć w ostatniej chwili skręciłem — zaszedłem dość daleko. Cztery lata później byłem już bardzo blisko. Zmieniłem zawód, zmieniłem środowisko, ale kierunek marszu nadal był ten sam. Od srebrnego krzyża na budowie — do pracy w Polskim Radio. Od radcostwa — do dwóch stołków redaktorskich: w redakcji słuchowisk i redakcji tygodnika *Literatura*. Otwierała się przede mną szeroka perspektywa literackiej „kariery”. Myślę, że jeśli naprawdę organy bezpieczeństwa prowadziły w tym czasie punktację pisarzy pod względem ideologicznej i państwowotwórczej przydatności — byłem punktowany wysoko. Wprawdzie nie byłem członkiem partii, a moje rodzinne powiązania nie były „postępowe” (bracia mojej matki to Stanisław Cat-Mackiewicz i Józef Mackiewicz, autor „Kontry” i „Zwycięstwa prowokacji”), ale zapewne uznano, że jestem dostatecznie „swój”, a biorąc „aktywny udział w socjalistycznych przeobrażeniach kraju” (praca na wielkich budowach) dałem jasną odpowiedź, po czyjej stronie jestem. Oczywiście: po stronie realnego socjalizmu.

Jakby w nagrodę za to wszystko w październiku 1968 roku popłynąłem statkiem PLO „Lechistan II” na Morze Śródziemne. Występowałem w charakterze młodego pisarza-stypendysty (rejsy takie przyznawane były i częściowo opłacane przez Ministerstwo Kultury). Zwiedziłem Antwerpię i Dunkierkę, Tripolis w Libii i mały port Chalkis w Grecji, Ateny, Konstantynopol, Izmir, Famagustę na Cyprze, Bejrut, Tangier. W drodze powrotnej

Lizbonę. Z nietkniętego wojną Bejrutu wysyłałem kartki do kraju („Piszę do Pani z dalekiej podróży...”). W Tripolis, w Libii, jeszcze bez Kadafiego, kąpaliśmy się w morzu, podczas gdy nad naszymi głowami z przeraźliwym hukiem przelatowały startujące z nadbrzeżnego lotniska amerykańskie samoloty w kształcie delty. Rozwalony na leżaku na gorącym pokładzie, opalałem się na rozhuśtanej zatoce Biskajskiej. Ani mi w głowie był los uwięzionych studentów, protestujących, przesłuchiowanych. Byłem po przeciwnej stronie — to jasne.

Na wiosnę 1970 roku zacząłem pracować w Naczelnej Redakcji Literackiej Polskiego Radia — w redakcji słuchowisk oryginalnych. Szefem tej redakcji był wówczas Włodzimierz Odojewski — obecnie kierownik działu literackiego sekcji polskiej radia Wolna Europa. Jakże zabawnie układają się losy ludzkie: czy w dniu, kiedy po raz pierwszy przyszedłem do pracy w radiowej redakcji słuchowisk (tak innej od pracy radcy prawnego na budowach) mogliśmy przypuszczać, że już za kilka lat — ja usłyszę głos Włodzimierza Odojewskiego przebijający się przez trzaski zagłuszanego radia Wolna Europa, a on, być może, przeczyta „Cudowną melinę” w szarej okładce biblioteki „Kultury”? W 1970 roku byliśmy jeszcze obaj po tamtej stronie — wśród ludzi pracujących w centralnej instytucji propagandowej komunistycznego państwa.

Człowiek dojrzewa powoli. Jakby tego wszystkiego było za mało, od połowy 1972 roku zacząłem pracować w *Literaturze* Jerzego Putramenta. *Literatura* powstała jak wiadomo na szczątkach dawnej *Współczesności*. Przez pewien czas nie wiadomo było, co to będzie za pismo. Okazało się, że Putrament pełni rolę tarczy ochronnej — pismo naprawdę prowadził Gustaw Gottesman. Pamiętam pierwsze zebranie, na które zaprowadził mnie Piotr Wierzbicki (zaczął tam pracować wcześniej). Na zebraniu byli ludzie, którzy później, stopniowo, w większości zerwali z realnym socjalizmem. Wtedy wszyscy byliśmy „poputczykami”.

Dziwne to było pismo. Podczas pierwszej rozmowy z Gottesmanem zaznaczyłem, pamiętam, że moje poglądy polityczne mogą różnić się od oficjalnej linii pisma (było to już po napisaniu „Meliny”, przy apogeum kłopotów z jej wydaniem — brałem pod uwagę możliwość wydania na Zachodzie...). Gottesman odpowiedział, że to nie ma znaczenia: chodzi o dobre teksty (miałem pracować w dziale reportażu). Do moich poglądów nikt nie będzie się wtrącał. Istotnie tak było. Do chwili, kiedy przyszło

polecenie z góry, już po ukazaniu się „Meliny”, aby mnie wyrzucić.

Te kilka miesięcy przepracowanych w *Literaturze* wspominać dobrze. Gottesman był wymagającym szefem, ale, jak mówią ludzie prości, sprawiedliwym. Putrament trzymał się jakby na uboczu. Mówił tym wzruszającym wileńskim akcentem, który tak dobrze znałem z domu — z kontaktów z wileńskimi przyjaciółmi i krewnymi mojej matki. Wydawało mi się, że żywi szczególny sentyment do Stanisława Mackiewicza i „prywatnie” jakby jest po tej samej stronie. Nie widziałem Putramenta w Wilnie, w 1944 roku, w mundurze oficera I Armii oraz w roli działacza Związku Patriotów Polskich, kiedy zjawił się tam w ślad za Armią Czerwoną, przejeżdżając zapewne niedaleko Smoleńska i grobów katyńskich. Nie pamiętam go z lat powojennych, z czasów stalinowskich ani nawet z okresu jego wiceprezury w ZLP. Jedynie z ciemnego gabinetu redakcji *Literatury* przy ulicy Koszykowej — przygarbionego, mówiącego trochę chrapliwym głosem. Palił cygara w czasie zebrania redakcyjnych, na których omawiane były kolejne numery. Pamiętam zapach tych cygar. Dziwne to było pismo. Co najmniej połowa piszących — połowa zespołu redakcyjnego — w latach osiemdziesiątych nie byłaby drukowana w pismach oficjalnych. Myślę oczywiście o pierwszym etapie pisma — do odejścia Gottesmana i pojawienia się ludzi z aparatu, typu instruktora Łowickiego. Ale już na tym pierwszym etapie kolegami redakcyjnymi byli, jak się okazuje, profesor Suchodolski i poeta Krzysztof Gąsiorowski — czołowi intelektualiści stanu wojennego.

Gottesman prowadził pismo żywo, starając się przyciągnąć ludzi, których nazwiska miały firmować *Literaturę*. Był Jerzy Andrzejewski, Gustaw Holoubek, Kazimierz Kutz. O wiele tekstów trzeba było wojować z cenzurą, ale jednocześnie ktoś pisał tekst na pierwszą stronę z okazji rewolucji październikowej pt. „Kiedy się o tym myśli...” (nr 38 z 1972 roku). Oczywiście w tym duchu, że kiedy się myśli o rewolucji październikowej, myśli się o dobrodziejstwach, jakie przyniosła ludzkości. Zapewne unikano „przywileju” napisania takiego tekstu, ale jednak ktoś w końcu napisał, trafiło to na pierwszą stronę, a my wszyscy firmowaliśmy własnymi nazwiskami. Zniewolenie i śmierć milionów nazwano „eksperymentem, jakiego nigdy dotąd ludzkość nie podejmowała...”.

Wiele razy zastanawiałem się, skąd brała się naiwność, to przyzwolenie wewnętrzne na pisanie rzeczy, o których „prywatnie” piszący myślał inaczej. To orwellowskie dwójmyślenie, z którego nie zdawaliśmy sobie sprawy. Nikt z nas nie odczuwał

wtedy wstydu czy zażenowania. Myślę, że w tamtych czasach wszyscy — w mniejszym lub większym stopniu — byliśmy do tknięci dwójmyśleniem. Ślad tego odnajduję i we własnych tekstach. Na użytek pisma, na zewnątrz — należało pisać w pewien przyjęty powszechnie i ogólnie akceptowany sposób. Prywatnie, oczywiście, nie traktowano tego, co się pisze, serio.

Jeśli chodzi o moje pokolenie, to skłonność do „dwójmyślenia” wynieśliśmy ze szkół. To szkoła uczyła nas tego pierwsza. Można i trzeba było pisać wypracowania o rewolucji październikowej językiem, w którym w domu nikt nie mówił. Ten język zapożyczaliśmy z podręczników i gazet — tym językiem opisywano fikcyjny świat. Wiedzieliśmy, że taki świat nie istnieje, ale trzeba było udawać, że jest inaczej. Bez oporu poddawaliśmy się tresurze. Później już nikt nie zwracał na to uwagi. Między sobą dziennikarze nazywali takie pisanie „haftowaniem”. — Ot, pohaftować czasem trzeba, cóż w tym złego?

Mimo wszystko pismo nie było hołubione przez władzę. Rozmach, jaki nadał *Literaturze* Gottesman — często agresywny ton publicystyki, reportaży, felietonów — to wszystko musiało budzić zastrzeżenia towarzyszy. Pamiętam zresztą kłopoty z cenzurą. Na ostatniej stronie drukował swój dziennik „Z dnia na dzień” Jerzy Andrzejewski — jedyny pisarz polski, który zaprotestował publicznie przeciwko inwazji na Czechosłowację. Kąkolowski drukował wywiad-rzekę z Wańkowiczem, tak niedawno jeszcze oskarżonym o współpracę z „wrogimi ośrodkami”. Coraz ostrzejsze były felietony Piotra Wierzbickiego. Przewinęły się przez *Literaturę* tamtych lat — pierwszych lat dekady 1971-1980 — wszystkie niemal nazwiska ludzi, którzy dziś pisują raczej w drugim obiegu lub w polskich pismach na Zachodzie.

Pracowałem w dziale reportażu. Przez pół roku zdążyłem napisać kilka rzeczy, zajmując się głównie sprawami patologii społecznej. Kilkakrotnie jeździłem do Wołomina po materiały o środowisku wykołowanej młodzieży. Powstał z tego tekst „Oko za oko”. Występowałem przeciwko stałemu zaostrzaniu represyjności — akurat opublikowano nowe wytyczne w sprawie postępowania z nieletnimi przestępcami. Tysiące młodych ludzi wsadzano do więzień i domów poprawczych. Dzięki tej polityce proces demoralizacji tylko pogłębiał się.

Napisałem także artykuł o alkoholizmie wśród młodzieży: „Pije Kubuś do Jakubka”. Wykorzystałem badania Ośrodka Naukowo-Badawczego przy Społecznym Komitecie Przeciwalkoholowym — przeprowadzone w różnych środowiskach i grupach

wiekowych młodzieży w całej Polsce. Obraz już wtedy był alarmujący*.

Myślę, że to pod koniec 1972 roku w mojej postawie wobec rzeczywistości zaszła istotna zmiana: zszedłem z drogi w kierunku trwałego miejsca w PRL-owskim *establishment* cie. Jakbym nagle zaczął dostrzegać więcej: zakłamanie, obłudę, żelazny ucisk partii. Zacząłem po raz pierwszy mówić i pisać o tym wprost.

W październiku 1972 roku otrzymałem zaproszenie do wzięcia udziału w dyskusji o literaturze współczesnej na podstawie artykułu Antoniego Chojnickiego. Miałem już za sobą odmowę wydania „Cudownej meliny”, byłem po wielu bezskutecznych zabiegach, pisaniu podań, proszeniu o pomoc partyjnych pisarzy itd. Teraz, w tekście pt. „Antykolumbowie”, załączonym do pisma warszawskiej *Kultury*, czytałem: „Uproszczone widzenie polskiej rzeczywistości przez literaturę jest żenujące. Lektura prasy, montaż jej wycinków, pozwoliłyby przedstawić bardziej skomplikowany i różnorodny obraz. A przecież prasa podlega bardziej wymaganiom i naciskom chwili politycznej aniżeli literatura. Tłumaczenie istniejących uproszczeń wymaganiami redaktorów-asekuranatów czy cenzorów nie jest przekonywujące. Odnosi się wrażenie, że pisarzom z pokolenia trzydziestoletnich brak archimedesaowego punktu, z którego mogliby podnieść ogromny ciężar problematyki współczesnego świata”. Itd.

Swoją odpowiedź zatytułowałem „Antynaiwność”. Przedstawiłem perypetie związane z wydaniem „Cudownej meliny”. Pisałem m.in.: „Każdy z nas może się mylić w ocenie zjawisk, ale każdy powinien mieć prawo do wypowiadania swoich poglądów. Tej możliwości nie ma przede wszystkim jeśli chodzi o temat polityczny i można tylko Antoniemu Chojnickiemu zazdrościć niewiedzy (tej świętej naiwności), kiedy zaleca 'potraktowanie polityki jako problemu intelektualnego'. (...) Czy do pomyślenia, przed grudniem 1970 roku, było napisanie zdania 'polityka Władysława Gomułki jest zła'? Można było takie zdanie napisać w prywatnym pamiętniku, ale napisać z przeznaczeniem do druku? Tylko szaleniec-dziennikarz lub szaleniec-pisarz przyszedłby do redakcji z tekstem, w którym takie zdanie byłoby wypowiedziane. Doświadczenie życiowe nauczyło nas autocenzury. Doskonale

* „... co piąty z badanych młodych robotników wypił pierwszy kieliszek wódki przed ukończeniem piętnastu lat w domu rodzinnym. Około 5 % badanych upiło się jeszcze jako nieletni. Co dziesięciu uczeń szkoły zawodowej (w wieku od 14 do 16 lat) stwierdził, że pije wódkę raz w miesiącu lub częściej. Wśród chłopców siedemnastoletnich odsetek ten podwoił się, a w grupie młodych robotników od 18 do 19 lat zwiększył się dwukrotnie”.

zdajemy sobie sprawę z tego co będzie, a co nie będzie wydrukowane. Nauczyliśmy się języka aluzji i tylko w tym języku umiemy przemycać, od czasu do czasu, prawdę. Istniejący system cenzury jest trzystopniowy: zaczyna się od nas samych, by kolejno trafić na stół redakcyjny i w końcu do Urzędu Kontroli Prasy”.

W mojej odpowiedzi była zapewne nowa, nie słyszana dotąd nuta, na którą redaktor naczelny *Kultury* Janusz Wilhelmi zwrócił uwagę, ponieważ w redakcyjnym podsumowaniu dyskusji chwalił „wytarte spodnie Chojnickiego” i ganił tych, którzy jeżdżą po nagrody wypłacane we frankach szwajcarskich. Była to oczywista aluzja do mnie (w maju jeździłem po odbiór nagrody Fundacji Kościelskich) — ulubiony, jak przekonałem się później, zarzut wysuwany przez polskich komunistów wobec przeciwników politycznych: biorą honoraria wypłacane w obcej walucie (swoich rubli nie traktują oczywiście jako waluty obcej).

Tymczasem rok 1972 dobiegał końca. Spytałem moją żonę, co myśli o wydaniu „Meliny” w Paryżu? Mówiłem, co trzeba przewidzieć: zakaz druku, pewno stratę dwóch posad, w radio i *Literaturze*. Może więzienie, choć tego raczej nie brałem pod uwagę. Na pewno gwałtowny spadek zarobków, obniżenie poziomu życia, przynajmniej w tym najgorszym, pierwszym okresie. Różne szykany, których nie sposób było przewidzieć. To wszystko należało wziąć pod uwagę i zastanowić się, głównie ze względu na dzieci. Syn miał wtedy 12 lat, córka cztery. Żona nie miała jednak wątpliwości: — Mnie chyba z pracy nie wyrzucą — powiedziała i zaczęliśmy rozmawiać o czym innym.

Im bliżej było daty, jaką wyznaczyłem sobie na zakończenie starań o wydanie „Cudownej meliny” w Polsce (31 grudeń) — tym stawałem się odważniejszy. Po mojej wypowiedzi na sympozjum poświęconym współczesnym słuchowiskom (mówiłem tam o tematach „tabu” oraz o cenzuralnych ograniczeniach, z czym każdy z autorów musi się liczyć) Jerzy Krzysztoń powiedział, że przecież nie będziemy tutaj „zmieniać konstytucji”. Ceniłem Krzysztonia, dlatego takie zwrócenie uwagi na utopijność czy nieodpowiedzialność mojej wypowiedzi zabolowało mnie bardzo. Czułem się już dostatecznie upokorzony zachowaniem ówczesnego kierownika Wydziału Kultury KC, który „zaszczycił” swoją obecnością sympozjum w Ciechocinku. Kierownik Kwiatek (występujący, o ile pamiętam, w robotniczym waciaku zamiast płaszcza) czytał swoją nudną wypowiedź, co spowodowało stopniowe rozluźnienie uwagi słuchaczy. Zaczęły się szmery i szept, większość z nas rozmawiała półgłosem. Wówczas ów Kwiatek zamilkł nagle i kamiennym wzrokiem popatrzył na salę znad stołu. Pa-

trzył tak długo, bez uśmiechu, twarzą, podczas gdy rozmowy i szepty milkły stopniowo, aż ucichły zupełnie. Wtedy bez słowa wrócił do czytania swojej szablonowej wypowiedzi. A my milczeliśmy do końca jak skarceni uczniowie.

W grudniu 1972 roku wyjechałem do Moskwy. Ten mój wyjazd do Związku Sowieckiego — pierwszy i jedyny — doszedł do skutku z powodu żartu. Kiedy sekretarka redaktora naczelnego przyniosła formularze z pytaniem, dokąd każdy z nas chciałby pojechać „w ramach podróży służbowej” — wpisałem „ZSSR”, mimo że możliwości było więcej: Finlandia, Jugosławia, Czechosłowacja, Węgry, NRD i ZSSR. Nikt z nas poważnie nie traktował tych propozycji — wpisałem „ZSSR”, co przyjęte zostało z rozbawieniem. O sprawie zapomniałem. W grudniu niespodziewanie otrzymałem wiadomość, że mój wniosek — jako jedyny — został przyjęty i za kilka dni wyjeżdżam do Moskwy.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie: wniosek o paszport, bilety, rezerwacje — te sprawy załatwiano za mnie. Kiedy wspomniałem Putramentowi, że wyjeżdżam do Moskwy, powiedział: — Rosjanie traktują gości hierarchicznie, według znaczenia. Jeśli przysła na lotnisko bardzo duży samochód i dadzą apartament w najlepszym hotelu, to znaczy, że im zależy na wizycie. Jeśli mały samochód i gorszy hotel, to im zależy mniej...

Oceniając moją podróż na podstawie opinii Putramenta — zależało im mniej. Na lotnisko przyjechała stara Wołga z kierowcą i urzędnikiem, który, jak sądzę, reprezentował i Naczelny Radiokomitet Rosyjskiej FSR i KGB. Był cały czas uśmiechnięty i uprzejmy. Zawiózł mnie do hotelu „Ukraina”, w którym otrzymałem niewielki pokój na dwunastym lub czternastym piętrze. Wkrótce zjawiła się tłumaczka i przewodniczka — drobna dziewczyna w dużych okularach, za którymi widać było szare oczy. Omówiliśmy plan mojego pobytu.

Dziś, po latach, wraca — ku memu zdumieniu — niespodziewanie miłe wrażenie. Ta drobna, nerwowa dziewczyna, z którą zwiedzałem Moskwę. Wspomnienie zimowych przestrzeni: zaśnieżonych placów i ulic, kamiennych bloków, monstrualnych budowli w typie Pałacu Kultury... I nagle mała cerkiewka, jak zabawka, ze złotymi kopułkami. Zaułek starej Moskwy. Opryskliwość ekspedientek i niezwykła serdeczność poznanych prywatnie Rosjan — to wrażenie bliskości i pokrewieństwa duchowego. Kolejki, kolejki. Chyba kilkukilometrowa przed mauzoleum Lenina. Milcząca i cierpliwa. Moja przewodniczka poprowadziła mnie na sam początek, wzdłuż murów Kremla i tam podeszła do żołnierza (a może cywila pilnującego porządku). Powiedziała, że

prowadzi cudzoziemca. Żołnierz podeszedł do kolejki i bez słowa rozsunął stojących robiąc nam miejsce. Nikt — czym tak bardzo byłem zaskoczony — nie protestował. Nie protestował także stary człowiek ze zniszczoną teczką, którego zawrócono tuż przed wejściem do mauzoleum. Musiał odnieść teczkę do przechowalni.

I złoty Lenin w środku. Zapamiętałem wszystkie te błyszczące, poślaczane elementy wnętrza. Szkło, silne światło, łysą czaszkę leżącą pod szkłem mumii. Wrażenie niezwykle. Milczący ludzie obchodzący cokolwiek, na którym leżał złoty kształt. Szpalery żołnierzy i cywilów obserwujących każdy ruch, grymas, uśmiech przechodzących. Tam nawet niespodziewane kichnięcie mogło być niebezpieczne. Moja przewodniczka tłumaczyła później, że to po zamachu, sprzed kilku lat, wprowadzono tak ostre środki ostrożności. Wtedy ktoś z republik nadbałtyckich spowodował wybuch — przez wiele miesięcy mauzoleum było zamknięte.

Po wyjściu miałem wrażenie, że wziętem udział w obrzędzie religijnym, że zwiedziłem sanktuarium, miejsce nowego kultu, a ci potulni, milczący Rosjanie naokoło, to pielgrzymi wędrujący do miejsca świętego z nadzieją na uzyskanie wiecznego zbawienia.

Wieczorem byliśmy na „Jeziorze łabędzim” w operze. Tańczyła Plisiecka i pamiętam zachwyt moskiewskich melomanów, te niekończące się brawa. Stałem przyciśnięty przez tłum do filaru, gdzieś na galerii opery, a w dole wirowały na scenie białe, sztywne spódniczki tancerek-łabędzi.

Mglistość przypominam sobie kilka oficjalnych rozmów w radio — w dziale słuchowisk moskiewskiej rozgłośni. Umknęły z pamięci szczegóły, twarze moich rozmówców. O czym rozmawialiśmy? Lepiej pamiętam cmentarz Nowodiewiczij, który zwiedzaliśmy z moją przewodniczką jednego z tych dni. Groby sławnych Rosjan i nagle mały kopczyk z tabliczką „Nikita Chruszczow”. Tylko wąta trawka na kopczyku. Staliśmy obok chwilę, a kiedy powiedziałem, że Chruszczow cieszył się czymś w rodzaju sympatii w Polsce, ponieważ powiedział prawdę o Stalinie i łagrach — moja tłumaczka nagle zamilkła. Jakby straciła humor, jakbym poruszył bardzo bolesną strunę. Zapamiętałem to długie posępne milczenie młodej Rosjanki nad grobem Chruszczowa.

Staliśmy potem w kolejce przed rybną restauracją — pół godziny, może dwadzieścia minut? Na mój służbowy paszport mogliśmy wejść bez kolejki, ale wolałem postać i popatrzeć. I pamiętam sklep „Bieriozka” — moskiewski „Pewex” — z którego portier przy drzwiach wypraszał Rosjan. Dolarowe sklepy były tylko dla cudzoziemców.

Wracałem samolotem PLL „Lot” — specjalnym kursem. Za mną siedział ówczesny minister sprawiedliwości PRL Jerzy Bafia

(*nota bene* zdawałem u niego egzamin z procedury karnej w roku 1959, kiedy byłem studentem, a on bodajże docentem na Wydziale Prawa UW). Chyba cały samolot był przeznaczony dla podobnych, jak on i ja, przedstawicieli peerelowskiego *establishment'u* — zapamiętałem przyciszone rozmowy, szare i granatowe garnitury oficjalnej delegacji, ogromne ilości bagażu. Ktoś wiozł telewizor. I ja dźwigałem pudło-magnetofon dla mego syna. Nie było żadnej kontroli celnej. Z lotniska — z tym pudłem, lalką dla córeczki, obładowany paczkami — pojechałem na ulicę Juliana Bruna (polskiego komunisty, który zginął w sowieckim łagrze).

Minęły zaledwie trzy miesiące. I oto z tego szczytu: od sąsiedztwa ministra sprawiedliwości w specjalnym samolocie, podczas lotu Moskwa - Warszawa, uśmiechów urzędników w moskiewskim radiokomitecie, pracy w Naczelnej Redakcji Literackiej Polskiego Radia i pół etatu w *Literaturze* — miałem nagle spaść. Zacząć zupełnie nowe życie emigranta wewnętrznego. Punktem zwrotnym była rozmowa z urzędnikiem z MSW, w płaszczu z popielatym futrzanym kołnierzem na ramionach, na czwartym lub piątym piętrze gmachu przy ulicy Rakowieckiej.

Po kilku godzinach i podpisaniu długiego oświadczenia, które posłusznie napisałem (o ile pamiętam, opisałem tam całą batalię o wydanie „Cudownej meliny” w kraju i powtarzałem, że wydanie książki w Instytucie Literackim traktuję jako protest przeciwko cenzurze) — ten w płaszczu zwiózł mnie z powrotem windą na parter. Milczałem przygnębiony. Może, mimo wszystko, żał mi było wygodnej egzystencji, tej ziemi, która nagle zaczęła się usuwać spod nóg? Redakcyjnych gabinetów na Mysłiwieckiej i Koszykowej, ludzi wśród których czułem się tak pewnie, tych wszystkich kontaktów, wyjazdów? Moskwy z cerkiewką w starym zaułku. Jej złotych kopułek...

ROZDZIAŁ V

Rano 5 marca dyrektor Naczelnej Redakcji Literackiej Polskiego Radia, Skórnicki (niedawno sprowadzony z Krakowa, gdzie był dyrektorem Wydawnictwa Literackiego) krzywiąc się, zapewne z zażenowania, oświadczył mi, że z dniem dzisiejszym przestaję być pracownikiem redakcji słuchowisk. Wprawdzie wypowiedzenie otrzymuję trzymiesięczne — załatwi to wydział kadr na Woronicza — ale on otrzymał polecenie zakomunikowania mi, że od jutra mam do pracy nie przychodzić.

— Sam pan wie najlepiej, jaka jest przyczyna — mówił — jest pan dorosłym człowiekiem. Jeśli dorosły człowiek podejmuje decyzję i robi to, co postanowił, musi się liczyć ze skutkami... — W tym duchu, mniej więcej, mówił Jerzy Skórnicki.

Obecny przy rozmowie Henryk Bardijewski (mój bezpośredni szef, następca Odojewskiego) powiedział coś sympatycznego, o ile pamiętam: że dobrze pracowałem, że za to trzeba mi podziękować. Ale Skórnicki milczał.

To Henryk zadzwonił poprzedniego dnia wieczorem, mówiąc o spotkaniu pisarzy i redaktorów niektórych pism warszawskich z Janem Szydlakiem — członkiem Biura Politycznego. Był na tym spotkaniu i z wypowiedzi Szydlaka dowiedział się o wydaniu „Cudownej meliny” przez „Kulturę”.

— Powiedział o tobie — mówił przez telefon Henryk. — Powiedział, że partia i władza odnoszą się niezwykle życzliwie do literatów, a tu nagle taki przykład niewdzięczności. Musisz się liczyć z konsekwencjami — dodał.

Powiedziałem, że liczę się.

— A Szydlak, swoją drogą, robi bardzo dobre wrażenie. Rzeczowy, nie owija słów w bawełnę.

Zapamiętałem tę uwagę Henryka. Mogła przecież być nieświadoma i szczerą, a ukłuła jak szpilka. Po cóż on to powie-

dział? — myślałem rozgoryczony. Przecież ci ludzie przychodzą i odchodzą, znikają jak nasiona dmuchawców — kto jutro będzie pamiętał Jana Szydłaka, towarzyszy Kwiatka i Makucha? Kiedy są — wiernie wykonują polecenia tej władzy, prywatnie, być może, są sympatycznymi ludźmi, rzeczowymi, nawet szczerymi — ale oficjalnie, działając w imieniu partii i władzy, zachowują się jak kukły. Jak sterowane manekiny. Dziś, kiedy są, prasa dławi się ich nazwiskami, ale jutro, kiedy znikną — nikt o nich nie będzie pamiętał. Po cóż więc ten ukłon w stronę Szydłaka i to w chwili, kiedy oznajmia, że ktoś, kto wydaje książkę w „Kulturze” paryskiej, popełnia przestępstwo? Czy Henryk akceptował to, co Szydłak miał do powiedzenia pisarzom zgromadzonym w pałacu w Radziejowicach? W jego uwadze na pewno nie było złej woli — my wszyscy wtedy gorączkowo szukaliśmy jeszcze usprawiedliwień, uzasadnień. Współzycie z władzą, uległość i podporządkowanie wymagały takich poszukiwań. Wiary, że rządzą nami nie manekiny i kukły, ale rzeczowi, nie owijający słów w bawełnę faceci.

Pojechałem na ulicę Woronicza do Biura Kadr po odbiór wypowiedzenia. Kierownik tego biura wyszedł na chwilę z pokoju, zostawiając mnie samego po drugiej stronie biurka, naprzeciwko rozłożonych papierów. Na samym wierzchu, jakby specjalnie odwrócony w moją stronę, leżał wniosek formalny Naczelnej Redakcji Literackiej „o rozwiązanie stosunku pracy”. Spojrzałem na podpisy. Jednym z trzech był podpis męża zaufania — reprezentantki Związku Zawodowego — koleżanki redakcyjnej z mojego pokoju. Ten kadrowiec zrobił to chyba specjalnie i po to wyszedł. Papier leżał naprzeciwko — musiałem zerknąć. I znów, pamiętam, ukłucie w sercu, żal. Nie mogła uprzedzić, powiedzieć choć słowa? To prawda — zwykła formalność. Jej sprzeciw nie miał znaczenia, byłby gestem, który mnie nic by nie pomógł, a jej tylko zaszkodził. Ale przecież mogła powiedzieć — myślałem później — mogła powiedzieć słowo...

W ciągu tych kilku dni, kiedy jeszcze jeździłem na Myśliwiceką załatwiać ostatnie formalności — nawet w zachowaniach znanych dostrzegłem zmianę. Wiele osób — ludzi, których dobrze znałem, z którymi przyjaźniłem się, którzy lubili mnie i których ja lubiłem — nagle jakby zmieniło się. Nagle dostrzegłem brak uśmiechu na zawsze uśmiechniętej twarzy, ktoś odwracał głowę, udawał że nie widzi. Spotykały mnie także dowody życzliwości, solidarności, sympatii, ale ja zachowałem w pamięci te inne zachowania, jak negatyw fotografii.

„Komitet do Spraw Radia i Telewizji, Polskie Radio i Telewizja, Biuro Kadr i Szkolenia, BKiS.I/2997/73, Warszawa,

dn. 19 marca 1973 r., Ob. Kazimierz Orłoś, st. redaktor w Redakcji Słuchowisk Oryginalnych Naczelnej Redakcji Programów Literackich. Umowa o pracę zawarta między Obywatelą a Komitetem d/s Radia i Telewizji 'Polskie Radio i Telewizja' zostaje rozwiązana z trzymiesięcznym okresem wypowiedzenia tj. z dniem 30 czerwca 1973 r., z równoczesnym zwolnieniem od wykonywania czynności służbowych z dniem 19 marca 1973 r. W załączeniu druk karty obiegowej, który po uzyskaniu podpisów należy złożyć wraz z legitymacją służbową w Biurze Kadr i Szkolenia. Naczelnik Wydziału Edward Szuba”. Podpis nieczytelny.

Kilka pierwszych miesięcy po ukazaniu się „Meliny” było chyba najtrudniejszych. Powoli musiałem przyzwyczajać się do nowej sytuacji. Czy podlegałem represjom? Wiele razy pytano mnie o to. Myślę, że nie były to represje, raczej nękanie. W ogóle patrząc z dzisiejszej perspektywy, doświadczeń lat osiemdziesiątych — czy mogę dokonywać porównań? To był zupełnie inny czas, inny klimat — wielu z nas, piszących, kurczowo jeszcze trzymało się nadziei, że taktyka, gra, ugodowość i ustępliwość są jedyną drogą. Że władzy nigdy nie należy drażnić, ponieważ każdy sprzeciw, każdy nieprzemyślany gest, jak mówiono, prowadzi do zaostrzenia ograniczeń.

Z radia wyrzucono mnie w marcu, natomiast w *Literaturze* przetrwałem do końca lipca. Złożyło się na to wiele przyczyn, ale przede wszystkim postawa ludzi, którzy — wbrew intencjom władzy — bronili mnie do ostatka. Mam na myśli Gottesmana i Putramenta, którzy nie byli ludźmi uległymi i przestraszonymi. Fakt publikacji „Meliny” w Instytucie Literackim oceniali zapewne negatywnie, Putrament ze względów ideologicznych, Gottesman — taktycznych, ale nie uważali mnie za wroga ustroju i socjalistycznej ojczyzny. Istotnie — wtedy jeszcze wrogość nie była trwałą cechą mojej postawy wobec systemu. Byłem — tak jak wielu z mego pokolenia, wchodzących w dorosłe życie w okresie października 1956 — naiwnym i ciągle jeszcze wierzącym człowiekiem. Ufałem, że coś tu się da zmienić na lepsze.

Zresztą z Radiokomitetem to całkiem inna historia. Zaczynał wtedy swoją kilkuletnią prezesurę Maciej Szczepański i już krążyły, wśród wszystkich zasiedziały redakcji radiowych, groźne plotki. W Radiokomitecie kierowanym przez Szczepańskiego człowiek skrytykowany przez Jana Szydłaka jako autor książki wydanej przez „agenta CIA Jerzego Giedroycia” nie mógł pozostać ani chwili ponad te kilka godzin potrzebnych do uzyskania podpisów „na karcie obiegowej i złożenia wraz z legitymacją służbową w

Biurze Kadr". To że zwolnienie było z trzymiesięcznym wypowiedzeniem mogłem oceniać jako wspaniałomyślny gest wobec niewdzięcznika.

W *Literaturze* zjawiłem się z wiadomością o publikacji „Meliny” w południe, chyba po rozmowach w radio. Chciałem uprzedzić Gottesmana i Putramenta o mojej nowej sytuacji. Obu nie było, wobec czego udałem się do pokoju trzeciego w hierarchii — Koprowskiego. Z wrażenia zamknął drzwi zawsze otwarte na korytarz i zaczął mówić szeptem. Później Putrament jakby nie przejął się sprawą. Kiedy Wolna Europa zaczęła czytać „Melinę” w odcinkach, pochwalił się, że jego „Małowiernych” też czytali. Gottesman był tym, który przede wszystkim starał się odwrócić moment mego odejścia — mam wrażenie, że stosował taktykę przeczekania. Dwukrotnie w tym czasie wyjeżdżałem z Warszawy zbierając materiały do neutralnych zupełnie tekstów na temat turystyki. Byłem na Mazurach, potem w Bieszczadach. Oba teksty ukazały się pod pseudonimem „Maciej Jordan”. Pod tym pseudonimem mógłbym pewno dłużej drukować, gdyby „Meliny” nie zaczęła czytać Wolna Europa. Wszystko znowu odżyło — zwrócili uwagę na nazwisko w stopce *Literatury* — ktoś musiał donieść, że drukuję pod pseudonimem. Zresztą znajomi dzwonili do mnie mówiąc ze śmiechem, że *Życie Warszawy* w rubryce „Warto przeczytać” wymienia mój artykuł o Bieszczadach. Tytuł „Zielona pustynia”.

W notatkach zachowanych z tamtych dni znalazłem w końcu następujące dwa zapisy: „11 lipca 73 r. Telefon do *Literatury* (do red. Koprowskiego) z Biura Prasy KC PZPR z poleceniem, aby nie drukować moich tekstów ani pod nazwiskiem ani pod pseudonimem”. „24 lipca. Telefon do *Literatury* (do red. Gottesmana) z Biura Prasy z poleceniem wykreślenia mego nazwiska ze stopki redakcyjnej”.

Potem wszystko potoczyło się jak w Radio — szybko i sprawnie. Pismo z Wydawnictwa Współczesnego. „Obywatel Kazimierz Orłoś, Redakcja *Literatura* w miejscu; K 175/90/B/73 — 24.07.1973 r. — dot. rozwiązania umowy o pracę. Uprzejmie zawiadamiamy, że z dniem 31 lipca 1973 r. wypowiadamy Obywatelowi umowę o pracę z zachowaniem ustawowego trzymiesięcznego okresu wypowiedzenia ze skutkiem na dzień 31 października 1973 r. Jednocześnie prosimy o uregulowanie wszelkich zobowiązań w stosunku do Wydawnictwa przed upływem tego terminu. V-ce Dyrektor mgr Paweł Kozak”. Podpis nieczytelny.

Jeszcze w marcu zadzwonił do mnie reżyser mojej pierwszej (i jedynej) sztuki „Piranie”. Tę sztukę napisałem w 1972 roku i wysłałem na konkurs ogólnopolski. Dostała wyróżnienie — była

już w próbach w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Tu, w Warszawie, zapewne wystawiono by „Piranie” także — prawdopodobnie Teatr Polski na scenie kameralnej. Tam, we Wrocławiu, drukowali program, posłałem swoje zdjęcie i krótką wypowiedź. A teraz reżyser Kuszewski pytał, czy wiem, że sztukę zdjęto, zakazano prób, druku programu i tak dalej? Powiedziałem, że wiem i domyślałem się, dlaczego.

W rok czy dwa lata później spotkana przypadkiem znajoma z Radia opowiedziała mi o losach mego ostatniego słuchowiska, wysłanego na coroczny konkurs I programu Naczelnej Redakcji Literackiej Polskiego Radia. Było to krótkie żartobliwe słuchowisko: historia poborowego, którego odwozi do wojska babcia. Podróż babci z wnukiem w pociągu, nocą — ten pociąg okupowany przez pijanych poborowych. Wrzaski na korytarzu i cicha rozmowa babci z wnukiem. Później rozmowa babci z sierżantem na dworcu — poleca wnuka opiece sierżanta. I biegnie jeszcze za odchodzącym z dworca oddziałem poborowych.

Znajoma moja dowiedziała się od sekretarki protokołującej podczas posiedzenia jury konkursu, że moje słuchowisko otrzymało drugą lub trzecią nagrodę, czyli 15 lub 20 tysięcy złotych (w roku 1973 niemało!). Było, oczywiście, jak wszystkie, podpisane godłem (nazwisko w zaklejonej kopercie), dlatego dopiero po otwarciu kopert z nazwiskami nagrodzonych autorów nastąpiła konsternacja. Był kwiecień — kilka tygodni zaledwie po dość głośnej sprawie usunięcia mnie z Radia. Ktoś — zapewne przewodniczący jury — oświadczył, że przecież tej nagrody nie może otrzymać Kazimierz Orłoś! Pozostali jurorzy zgodzili się z tym poglądem. Nikt nie protestował. Zmieniono gotowy do podpisania protokół — sekretarka musiała wszystko przepisywać od nowa. Na miejsce mego nazwiska wstawiła kogoś, kto otrzymał wyróżnienie. Dopisała nowe nazwisko. I życie potoczyło się dalej...

Napisałem w ciągu tych kilku lat pracy w Radio kilkanaście słuchowisk. Wszystkie były zrealizowane w Teatrze Polskiego Radia i nadawane wielokrotnie. Jedno drukował *Dialog*, inne były publikowane w kwartalniku *Teatr Polskiego Radia*. Także tłumaczone i nadane przez kilkanaście rozgłośni za granicą. Teraz okazało się, że jako autor sztuk radiowych także nagle przestałem istnieć. Władza cenzorów sięgała poza granice PRL. Jedna z rozgłośni w RFN zwróciła się do Agencji Autorskiej o wyrażenie zgody na nadanie mego słuchowiska „Upał”. Agencja Autorska, jak dowiedziałem się później, odmówiła nie podając żadnych

powodów i nie kontaktując się ze mną. Tłumacz dotarł do mnie prywatnie, za pośrednictwem przyjaciół. Pytał, zdziwiony, dlaczego odmówiłem? Oczywiście wyraziłem zgodę na nadanie tego słuchowiska (już, niestety, poza konkursem, jaki rozgłośnia zorganizowała). Poszedłem także do Agencji Autorskiej, żeby zaprotestować. Dotarłem do ówczesnego dyrektora tej instytucji (jedynego przedstawiciela polskich autorów w kontaktach z zagranicą). Trochę zmieszany oświadczył, że otrzymał polecenie z Wydziału Kultury KC, aby Agencja nie wyrażała zgody na przekłady i publikacje moich utworów. Ktokolwiek o cokolwiek zwróci się. Radził, żebym interweniował w KC. Machnąłem ręką. Stałem wobec muru, a miałem tylko własną głowę. Napisałem pismo, w którym protestowałem przeciwko temu bezprawiu. Pismo wrzucono do kosza.

Tymczasem w pierwszych tygodniach marca, a potem w kwietniu, czekałem na reakcję Andrzejewskiego w *Literaturze* — w jego notatkach „Z dnia na dzień”. Nie znałem Andrzejewskiego osobiście — raz widziałem go przelotnie w PIW-ie, w 1961 lub 1962 roku, kiedy jako nieśmiały debiutant odwiedziłem redakcję Polskiej Prozy Współczesnej na Foksal i rozmawiałem z Wandą Leopold. Wówczas siedział w płaszczu, na stole, kiwając nogą w powietrzu i rozmawiał z redaktorkami. Na mnie nie zwrócił uwagi. Ceniłem Andrzejewskiego bardzo — przede wszystkim pamiętałem jego samotny protest podczas inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. W 1972 roku przeczytałem „Apelację” — wydała mi się najlepszą z jego książek. Dawnych nie lubiłem — „Popiołu i diamentu”, a później tych wszystkich „Bram raju”, „Idzie skacząc po górach” i tak dalej. Jeszcze w 1963 roku, po lekturze „Drogi donikąd” Józefa Mackiewicza, przeprowadziłem takie porównanie. „Pisarz emigracyjny, wyrzucony poza nawias, wykreślony i niewymieniany przez krytykę we własnym kraju — pisze świetną powieść, tak głęboko związaną z klimatem, z charakterem ojczystego pejzażu, przyrodą i ludźmi — tak odmienną w duchu od tego, co modne i co przychodzi z Zachodu. Raczej Pasternak, inni wielcy Rosjanie. Bardzo piękna książka — posępna, jakby wiało od niej chłodem tamtych stron. Litwy, północy, kresów. I Andrzejewski — pisarz uznany w kraju za jednego z największych. Czytam „Idzie skacząc po górach” i czuję, jak bardzo sztuczna, wydumana to książka. Jak bardzo pisana pod wpływem mody, zachodnich prądów, „nowej fali”. Przyjmuje Andrzejewskiego, jak imitację, lustrzane odbicie. Mackiewicz pisze na podstawie własnych przeżyć, własnego doświadczenia i świat jaki tworzy jest przejmująco prawdziwy. Andrzejewski pisze o Francuzach i Francji, wymyśla

ludzi, chce być „europejskim” pisarzem i wszystko wypada sztucznie”.

Już wtedy, w 1963 roku, ten nurt w prozie, nie tylko Andrzejewskiego — nurt niosący jakoby uniwersalne treści i przesłanie, a w rzeczywistości będący odbitką zachodnich wzorów i mód — wydawał mi się fałszywy i jałowy. Peerelowska rzeczywistość — oto co naprawdę było fascynujące. Ten kraj naokoło, czas, w jakim żyliśmy. Teraźniejszość. Niejasno przeczuwałem, że ucieczka tak wielu pisarzy w świat fikcji, historię, fantastykę — jest wymuszona lub wynika, co gorsza, z absolutnej nieznajomości życia. I na pewno jest na rękę „władzy ludowej”.

Wydawało mi się, że Andrzejewski dopiero po napisaniu „Apelacji” odwrócił się od tamtego fałszywego nurtu. I potem w dzienniku „Z dnia na dzień” i w „Miazdze” był stale obecny tu i teraz. Borykał się, odchodził i znów wracał. Dla ludzi, którzy dobrze znają jego twórczość, ten stan ducha, tak wyraźnie obecny w tym, co pisał, jest zapewne fascynujący. Nie byłem zafascynowany Andrzejewskim, ale ze zwykłej próżności chciałem, żeby na mnie — wyrzuconego z Radia i *Literatury* — zwrócił uwagę. Dostrzegł. Ale nie napisał nic. Był mistrzem aluzyjnego pisania — przemykania w swoich notatkach tego, co zechce, czego zapewne innym nie udałooby się przemycić. Ale o „Melinie” nie wspominał.

W tamtych wiosennych dniach 1973 roku napotykałem na różne reakcje: od niechęci do uznania. Aleksander Małachowski należał do tych nielicznych w Radio, którzy moim losem przejęli się autentycznie — wiem z relacji znajomych o jego projektach przyścia mi z pomocą. Po latach spotkaliśmy się na zjeździe „Solidarności” w hallu wielkiej hali w Oliwie. Małachowski, z brodą, wyglądał jak patriarcha i tak był traktowany przez delegatów — z ogromnym szacunkiem. Należał do czołówki działaczy „Solidarności”, za co później zapłacił wielomiesięcznym internowaniem i więzieniem.

W tamtych czasach każdy głos solidarności miał dla mnie wyjątkowe znaczenie. Tak przyjąłem niespodziewany list od Mariana Brandysa. Było to w okresie, kiedy szukałem pracy i wciąż jeszcze nie byłem pewien, czy dadzą mi pracować. Marian Brandys pisał wtedy: „Szanowny i Drogi Panie, nie znamy się osobiście, ale od początku jestem czytelnikiem Pańskich książek. Od kilku dni jestem pod głębokim wrażeniem ostatniej z nich — wydanej niestety za granicą. Głęboką wstrząsającą prawdą tej książki mogę w pełni docenić, gdyż przed dziesięciu laty właśnie na takim miasteczku złamałem swoje pióro reporterskie. Urzeka mnie w pańskiej książce szczególnie to, że jest pisana

z głęboką miłością do tego kraju i ludzi w nim mieszkających, że nie ma w niej zaciętrzewienia politycznego, że jest prosta i uczciwa. (...) Trudno mi wyrazić, jak bardzo zawinili ci redaktorzy, wydawcy i inni, którzy doprowadzili Pana do aktu rozpacz, w rezultacie czego ta pożyteczna, wysoce wartościowa książka, napisana po to, aby pomagać wszystkiemu, co jest u nas dobre, a przeszkadzać wszystkiemu, co jest złe — nie może tych funkcji spełniać”.

List Brandysa, ocena Małachowskiego, czasem jedno przychylnie słowo — to było wszystko, na co mogłem liczyć. Wobec pytania, które tak często słyszałem: „czy warto było?” — czułem się bezradny. Jak tłumaczyć, co odpowiadać? Dziś wiem, że było warto, ale wtedy, w 1973 roku, wyrzucony z dwóch posad, nagle w pustce, z przekonaniem, że wszyscy odwrócili się plecami — nieżyczliwość zawarta w tym pytaniu była szczególnie przykra.

Tak. Kończyło się wszystko, czym dotąd żyłem. Żał mi było tej sztuki we Wrocławiu, ostatniego reportażu, jaki napisałem dla *Literatury*, wyjazdów po materiały w teren.

Ostatni reportaż napisałem w formie rozmowy. Był to kilkunastoricowy tekst — krótka rozmowa ze ślepym saperem, byłym żołnierzem armii Andersa. Pod koniec 1972 roku Kiesłowski — wówczas młody, nieznany reżyser kilku filmów dokumentalnych, jeszcze przed wszystkimi głośnymi filmami — zainteresował się moim opowiadaniem „Wielbłąd”, wydrukowanym w *Literaturze*. Na podstawie tego opowiadania napisaliśmy scenariusz — chciał robić film. Te plany także przekreśliła sprawa „Meliny”. Choć wcześniej opowiedział mi o ślepym żołnierzu z Kętrzyna i w starym domu, w bocznej ulicy odnalazłem bohatera mojego ostatniego reportażu. Napisałem to później w formie rozmowy. Nawiasem mówiąc moją ukrytą intencją było skontrolowanie drukowanego wtedy przez *Literaturę* „wywiadu-rzeki” — rozmowy Kąkolewskiego z Wańkowiczem. Chciałem, aby ukazało się coś absolutnie przeciwnego w duchu, w intencjach. W wywiadzie Kąkolewskiego doszukiwałem się minoterii, pisaną pod gusty publiczności, czegoś sztucznego i fałszywego. Tych dwóch panów prawiących sobie komplementy, tak niesłuchanie zadowolonych z siebie i ze swojej rozmowy, było po prostu nie do zniesienia. Chciałem napisać coś autentycznego, odnoszącego się do naprawdę istotnych spraw naszych czasów.

Myślę, że do Kąkolewskiego zraziłem się po jego reportażach z Ameryki, pt. „W brzuchu potwora”, drukowanych chyba jeszcze w *Kulturze* warszawskiej. Skąd, myślałem, bierze się ta chęć dokonania błyskawicznej analizy, wivisekcji — natychmiast, po kilku tygodniach pobytu w Ameryce? Przyjeżdżają z małego,

zacołanego kraju, przywalonego jak tłustą lochą realnym socjalizmem, kraju z tym Związkiem Sowieckim obecnym każdego dnia od rana do wieczora, z wszechobecną propagandą, z codzienną nędzą ludzkiej egzystencji. Widzą bogaty, ogromny kraj, kraj tak wolny, że nam — przybyszom ze wschodniej Europy — może się wydać krajem ogarniętym anarchią! I piszą potem „W brzuchu potwora”, jakby nie rozumieli nic.

Wracam do sapersa. Mieszkał bardzo biednie. Napisałem później do przewodniczącego Rady Narodowej w Kętrzynie, zwracając uwagę na warunki bytowe tego zasłużonego obywatela miasta Kętrzyna i prosząc o przydzielenie lepszego mieszkania. Nie wiem, w jakim stopniu ten list pomógł. Był luty 1973 roku — dwa tygodnie później nikomu i w niczym nie mogłem już pomóc. Przytoczę fragment tej ostatniej, nigdzie nie drukowanej rozmowy. Krótki wstęp — dane z książeczki wojskowej — wyjaśnia, kim był mój rozmówca.

„Wiktor Witold Makarewicz syn Adolfa i Marii, ur. 12 lutego 1918 roku w Swirpiskach, powiat święciański, województwo wileńskie. Udział w wojnach: od 1. V. 41 do 15. III. 42 — Armia Radziecka, I Pułk Piechoty — strzelec; od 16. III. 42 do 21. VIII. 48 — Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie, 10 Batalion Saperów — starszy saper. Rany i kontuzje: 28. XII. 1944 — Włochy.

Odnaczenia wojskowe i państwowe: 1. Krzyż Monte Cassino (Dekret Naczelnego Wodza z 20 lipca 1944 roku), 2. Krzyż Walecznych po raz pierwszy (rozkaz personalny II Korpusu nr 115 z 18 lutego 1945 roku), 3. Gwiazda Italii (rozkaz 10 Batalionu Saperów Nr 59 z 29 grudnia 1945 roku), 4. Krzyż Walecznych po raz drugi (rozkaz personalny II Korpusu Nr 9/45 z 13 października 1947 roku), 5. Odznaka Honorowa dla Oficerów i Szeregowych za rany i kontuzje. 6. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski nadany przez Radę Państwa 29 sierpnia 1970 roku.

Zupełnie niezdolny do służby wojskowej — Kat. „E”.

ORŁOŚ: — Proszę — niech pan powie o swoim dzieciństwie. Co pan pamięta?

MAKAREWICZ: — Niewiele. Urodziłem się w 1918 roku w małej wiosce na Wileńszczyźnie. Mój ojciec był gajowym. Umarł, kiedy miałem dwa lata. Potem z matką i braćmi przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, dzierżawiąc kawałki pola. Skończyłem cztery klasy szkoły podstawowej.

O.: — Może coś jednak utkwiło panu w pamięci? Jakieś wydarzenie, obraz?

Makarewicz zamyśla się. Patrzę na jego skupioną twarz,

okulary, czarny sweter i duże ręce. Rozmawiamy w ciasnym pokoju, w starym budynku przy jednej z ulic Kętrzyńska. Stół pod lampą, dwa łóżka, firanki, na parapecie trzykrotki i pelargonie. Piec, w którym zimą trzeba palić. Od podłogi ciągnie chłodem. Mieszkanie jest wspólne).

M.: — Nie. Nic nie pamiętam.

O.: — Okolica...

M.: — Duże lasy. I jezioro Narocz. Pamiętam to jezioro.

O.: — *Co pan robił przed wojną?*

M.: — Pracowałem jako pomocnik krawca. W 1938 roku stawałem przed komisją wojskową, ale odroczyli.

O.: — *A w 1939 roku?*

M.: — Przez dwa tygodnie pilnowałem drutów telegraficznych. Należałem do oddziału samoobrony. Z gminy przyszło wezwanie — zgłosiłem się, dali rozkaz... Nic nie działo się przez te dwa tygodnie. Nie słyszałem strzałów, nie widziałem samolotów. Stał się przy słupach, w polu.

O.: — *Kiedy więc zaczęła się dla pana wojna?*

M.: — W 1941 roku. Trzeciego maja zostałem powołany do wojska radzieckiego. Dostałem się do Pierwszego Pułku Piechoty Białoruskiej. Staliśmy w Kostromie nad Wołgą, kiedy Niemcy zaatakowali. Pamiętam jak rano, 21 czerwca, megafony na placu apelowym powiedziały o tym. Załadowano nas do pociągu. Pod Mołodiecznem Niemcy zbombardowali transport — musieliśmy cofnąć się.

O.: — *Co pan pamięta z tamtego okresu?*

M.: — Leningrad. Jak ziemia przechodziła z rąk do rąk. Jesień i potem zimą... Śniegi. Kiedy dowiadaliśmy się, że Niemcy przywieźli dla swoich żywność, to szliśmy na bagnety. Pamiętam stosy trupów przy niemieckich okopach i między liniami. Stosy, stosy. Często — w czasie ostrzału — trzeba się było chować za te trupy. Byłem także pod Moskwą.

O.: — *Kiedy dowiedział się pan o polskim wojsku?*

M.: — Staliśmy wtedy w Nowosybirsku. To był rok 1942. Przyjechali do pułku polscy oficerowie z Moskwy — pamiętam, jak jeden przemawiał, że pójdziemy walczyć ramię w ramię przeciw Niemcom. Po trzech dniach zebrało się nas trzystu pięćdziesię-

ciu. Ruszyliśmy w drogę do Taszkientu. Ta droga trwała kilka tygodni — wojna, nie było dobrych połączeń — na niektórych stacjach czekaliśmy po kilka dni. Pamiętam mundury oficerów w punkcie werbunkowym angielskie, rosyjskie, polskie... Dwa tygodnie trwała kwarantanna. Później płynęliśmy do Iranu.

O.: — *Od razu trafił pan do saperów?*

M.: — Tak. Szkolono nas w Palestynie — przeprawy, budowa mostów, rozbrajanie min i tak dalej. Z Palestyny przewieziono nas do Egiptu, potem na Sycylię, a później do Toronto.

O.: — *Jak było pod Monte Cassino?*

M.: — Kilka tygodni przed natarciem budowaliśmy schrony obserwacyjne. To była ciężka praca. W dzień, w Dolinie Śmierci, łatwo można było zginąć. Niemcy byli wstrzelani w drogi. Pamiętam, jak ginęli żandarmi regulujący ruch. Ciągłe przychodzili nowi i ci nowi ginęli, a na ich miejsce zaraz szli inni i ginęli znów. Wyżej, na stanowiska, chodziliśmy przeważnie nocą. Sprzęt niosły muły. Pamiętam moment natarcia. Nagle, podczas artyleryjskiego ataku, zrobiło się jasno, jakby cały horyzont naokoło się palił. Ziemia drżała. Potem poszła piechota.

O.: — *Co było dalej?*

M.: — Po Monte Cassino była Ancona, linia Gotów... 28 grudnia 1944 roku pod miastem Brisighola otrzymaliśmy polecenie rozminowania przedpola. Było nas czterech. Pracowaliśmy od rana do czwartej po południu. I właśnie tam, po rozbrojeniu około stu min, trafiłem szpilką za mocno — mina zdetonowała. Pamiętam błysk, wstrząs i zaraz ciemność.

(Makarewicz prosi żonę, aby podała mi papier z oświadczeniem kolegów-żołnierzy. Czytam: „My, niżej podpisani, Izidor Bielaczyc i Kazimierz Bentyn, oświadczamy, co następuje: znamy osobiście Wiktora Witolda Makarewicza, rocznik 1918, byłego st. sapera z 10 Baonu Saperów, 11 Komp. II Korpusu, Italia. W dniu 28 grudnia 1944 roku byliśmy wysłani z nim i innymi saperami do rozminowywania przedpola pod miasteczkiem Brisighola, prow. Forlì, Italia. W czasie rozminowywania przez niego miny nastąpił wybuch, wskutek czego Makarewicz odniósł następujące rany: stracił prawe oko, lewe oko uszkodzone, stracił słuch na lewe ucho, kontuzjowany w głowę, ranny w lewą rękę. Od wybuchu miny zapaliło się na nim ubranie, wskutek czego został dotkliwie poparzony, oprócz tego czoło i policzki były posiekane odłamkami. Rannego odwieziono do szpitala angielskiego w Rimini...”). Dalej były podpisy i pieczęć „Poselstwo Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Buenos Aires — Wydział Konsularny”).

M.: — Prosiłem o to, kiedy starałem się o rentę. Wiedziałem, że Bielaczyc jest w Argentynie.

O.: — *Wtedy był mróz?*

M.: — Tak. Ziemia była lekko zmarznięta, przykryta cienką warstwą śniegu. Za mocno wbiłem szpilę — to taki długi pręt, którym wymacywaliśmy miny. Przedtem mieliśmy detonatory, ale Niemcy zaczęli stosować szklane opakowania. Detonatory przestały działać. Wtedy, po wybuchu, Bielaczyc, Bentyn i Cekowicz nieśli mnie pod ostrzałem dwa kilometry. Niemcy strzelali z moździerzy. Z Rimini trafiłem do szpitala polskiego, a w 1946 do Anglii.

O.: — *Co było z lewym okiem? Widział pan?*

M.: — Przez pewien czas reagowałem na światło. Kiedy odwracałem twarz do słońca albo w stronę lampy — wiedziałem, że tam jest jasno. Później i na światło przestałem reagować.

O.: — *A więc od 28 grudnia 1944 roku nie widzi pan nic.*

M.: — Nic.

O.: — *Proszę powiedzieć: czy wojna kojarzy się panu z wybuchem tej miny?*

M.: — Nie. Dla mnie wojna to Dolina Śmierci. Zaduch rozkładających się trupów. Strumień, w którym woda miała czerwony kolor. I strzępy ludzkich ciał na drzewach.

O.: — *Jakie zdarzenie utkwіło panu w pamięci?*

M.: — Niedaleko Ancony złapaliśmy niemieckiego oficera. Siedział w opuszczonym domu przy drodze. Miał pistolet i składany nóż. Nie bronił się. Odprowadziłem go do sztabu. Następnego dnia porucznik Kurnik Franciszek wysłał mnie do tego samego sztabu z zapytaniem, co mamy robić? Akurat był tam pułkownik, który przesłuchiwał Niemca. „To wy — spytał — przyprowadziliście go?” „Ja” — powiedziałem. „I wy dawaliście mu papierosy?” „Tak” — powiedziałem. Pułkownik nie odezwał się, tylko chwilę na mnie patrzył. Zawołał zaraz żandarmów i kazał wyprowadzić Niemca. Usłyszałem strzał. Żandarmi mówili potem, że Niemiec chciał uciekać.

O.: — *Nie uwierzył pan?*

M.: — Znaleźli przy nim polskie odznaczenia z 1939 roku.

O.: — *Co jeszcze zapamiętał pan z kampanii włoskiej?*

M.: — Po walce o linię Gotów zawieziono nas do Rzymu. Tam widziałem papieża. Ojciec święty udzielał błogosławieństwa żołnierzom. Taki był cienki, wysoki jak szparag. Staliśmy w sali przyjęć w Watykanie: żołnierze różnych narodowości, w różnych mundurach. Zwróciłem uwagę, że papież specjalnie wyróżniał Polaków. Kiedy widział naszywkę „Poland”, mówił po polsku: „Z Bogiem, do Polski”.

O.: — *Jakie były dalsze pana losy?*

M.: — Do 1949 roku w Anglii, w szpitalach wojskowych. Angielscy lekarze, nie powiem, leczyci dobrze, ale w ich stosunku do nas, polskich żołnierzy, zaszła po wojnie zmiana. Wielu z nas to dotknęło. Czułem się między nimi obco, nie znałem języka, nie widziałem nic — tylko słyszałem tę obcą mowę. Zgłosiłem się do ambasady radzieckiej, bo tereny na których był mój dom, zostały po tamtej stronie granicy. Dostałem zezwolenie na powrót i popłynąłem radzieckim statkiem do Murmańska.

O.: — *Nie chciał pan wracać do Polski?*

M.: — Chciałem wracać do swoich, do domu. Żyła jeszcze moja matka, bracia. Byłem kaleką. Nie widziałem nic.

O.: — *A Polska?*

M.: — Ja jestem Polakiem. Jak człowiek walczył, to myślał o kraju. Ale po wojnie było już inaczej — ciemno naokoło i tylko obce słowa: włoskie, angielskie, rosyjskie. Ciężko było. Z Murmańska pojechałem przez Leningrad. Życzliwi ludzie opiekowali się — dojechałem do swoich. Pamiętam, jak na dworcu w Leningradzie zrobiło mi się słabo. Ktoś przyniósł kieliszek wódki — pomogło.

O.: — *Podróżował pan w mundurze?*

M.: — Tak. Rok mieszkałem z matką. W 1950 musiałem wyjechać do miejscowości Mała Czeremszanka niedaleko Irkucka. Później pracowałem nad jeziorem Bajkał w bazie rybackiej.

O.: — *Co pan tam robił?*

M.: — Byłem robotnikiem w magazynie: nosiłem skrzynie, soliłem ryby, ładowałem do beczek. Czasem pływałem z rybakami. Kiedyś, jesienią, płynęliśmy wzdłuż brzegu ciągnąc niewód. Ja trzymałem linę — przechyliłem się w pewnej chwili za mocno i wpadłem do wody. Pociągnęło mnie w głąb i wtedy pomyślałem: „lepiej umrzeć, nadojadło życie”. Ale potem wyniosło mnie na powierzchnię — może prąd? Koledzy z łódki (Litwini i Ro-

sjanie) zaczęli krzyczeć: „w lewo, w prawo, chwytaj za trost!”. I tak doprowadzili do boi-beczki. Chwyciłem się mocno, później oni podплыnęli i pomogli wejść do łódki. Pamiętam, jak silnie fale potrząsały tą beczką.

O.: — *Jaki był Bajkał?*

M.: — (*milczy chwilę*) Wielkie jezioro. Pamiętam zapach wiatru. Słońce tam inaczej grzeje. Woda ma inny smak. Musi tam być pięknie.

O.: — *Czy jeszcze coś pamięta pan z tego okresu?*

M.: — Niejaki Wierhozin, gospodarz bazy, popłynął kiedyś do motolódki. Kilkadziesiąt metrów od brzegu. Był tam umieszczony motor do ściągania sieci. Wierhozin nie mógł wrócić, bo nagle przysłała duża fala. Krzyczał: *Spasajtiel*, ale nikt nie chciał po niego płynąć. Kiedy usłyszałem krzyk, wybiegłem z magazynu — spytałem, co się stało? Powiedzieli mi. Wtedy spytałem, kto popłynie ze mną? Milczeli, tylko Wierhozin krzyczał *spasajtie* i *spasajtie*. Poprosiłem o łódkę — nas, saperów, dobrze uczono wiosłować. Wierhozin, tak jak wtedy rybacy, krzyczał do mnie: „w prawo, w lewo, prosto!”. I tak, kierując się jego głosem, dopłynąłem do motolódki. Wróciliśmy razem.

O.: — *Mówił coś, dziękował?*

M.: — Niewiele. „*Wot, czietowiek!*”, powiedział.

O.: — *W którym roku wrócił pan do Polski?*

M.: — W pięćdziesiątym dziewiątym. Pociągiem przez Moskwę. Najpierw mieszkalem w Stegnie koło Gdańska, później przyjechałem do Kętrzyna. Mam rentę. Ożeniłem się. Teraz czasem jeździmy z żoną za miasto. Na jagody, albo na grzyby. Żona mnie prowadzi. W lesie siadam na mchu, potem kładę się na wznak. Czuję zapach igieł sosnowych, trawy, piasku. Pod ręką ciepłą korę. Słońce grzeje. Przypomina się młodość, lasy koło Świrpiszek. Jezioro Narocz.

Taka była historia sapera z korpusu generała Andersa, spisana w styczniu 1973 roku. Nie wiem, czy zamiar mój — napisania czegoś z ducha przeciwnego rozmowie Kąkolewski-Wańkowicz — byłby wówczas dla czytelników *Literatury* jasny. Czy wielu zrozumiałoby, że ten niespodziewany wyjazd Makarewicza do miejscowości Mała Czeremszanka niedaleko Irkucka nie był dobrowolny? Że NKWD przyszło po niego? Został wywieziony

do obozu jako „obcy element”, niebezpieczny dla władzy sowieckiej.

Od Wiktora Makarewicza dostałem w marcu lub w kwietniu krótki list, podyktowany zapewne żonie: „Szanowny Panie, niniejszym pragnę poprawić mój błąd w sprawie, gdzie zobaczyłem Niemców w czasie drugiej wojny światowej na froncie. Otóż zobaczyłem Niemców będąc na froncie w Związku Radzieckim, w czerwcu 1941 roku — jechaliśmy pociągiem na front około Mińska, Niemcy zaatakowali nas lotnictwem, a później wojsko niemieckie nacierało na nas...”.

Dbłość o szczegóły, rzetelność, oszczędność w słowach. To samo pamiętam z naszej rozmowy. Siedzieliśmy w pokoju ciasno zastawionym meblami, przy okrągłym stole. Jego żona, Rosjanka, częstowała herbatą. Miał ciemne okulary na oczach i odpowiadając na moje pytania siedział sztywno, jakby patrzył w jeden punkt. Miałem mu przysłać *Literaturę* z naszą rozmową. Tekst był przyjęty i przeznaczony do druku. Spóźniłem się o tydzień.

Podczas kilku ostatnich tygodni, kiedy rzadko, ale przecież bywałem w *Literaturze*, zdawałem sobie sprawę, jak niewiele już mogę napisać i wydrukować. Nawet jako Maciej Jordan. Dominowało uczucie osaczenia. I to uczulenie na ludzkie zachowania. Doskonale pamiętam na przykład dziwne zachowanie jednego z redakcyjnych kolegów. Chodził za mną dyskretnie, jakby cały czas przyglądał się, co robię. Przechodził z pokoju do pokoju. Nagle zaczynał szukać czegoś w szafie, kiedy chciałem dzwonić. Nie pozbyłem się tego przykrego wrażenia do końca. Człowiek ten był później jednym z organizatorów Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość. Bardzo zasłużonym. Wiele pochlebnych opinii o nim przeczytałem. Ale ja pamiętam go z tamtego okresu, jak chodził za mną z pokoju do pokoju. Niezycliwy cień.

W listopadzie moi solińscy przyjaciele Ewa i Oldek Czeczotowie skontaktowali mnie z naszym znajomym z Bieszczadów, Bronkiem Bremerem, inżynierem drogowcem. Bremer zaproponował mi pracę na stanowisku referenta prawnego w Warszawskim Przedsiębiorstwie Robót Drogowych. Od razu z perspektywą wyjazdu w teren — do bazy WPRD koło Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie zaczynali budowę odcinka trasy szybkiego ruchu Warszawa - Katowice. Zgłosiłem się bez wahania. Po złożeniu papierów w Biurze Kadr przez kilka dni czekałem w napięciu na wynik. O wszystkim decydował Dzielnicowy Urząd Zatrud-

nienia. W rękach urzędniczek z tego urzędu był mój los. Nie było jednak zakazu. Na trzy lata zostałem pracownikiem WPRD. Właściwie powinienem myśleć o tym z wdzięcznością. Oto władze Polski Ludowej okazały niezwykłą wspaniałość: zamiast (wzorem towarzyszy sowieckich) zamknąć autora „antysocjalistycznej” powieści w więzieniu lub zakładzie psychiatrycznym — pozwolono mu pracować. Na dodatek przy jednej z najgłośniejszych inwestycji w kraju.

ROZDZIAŁ VI

W listopadzie 1973 roku po raz pierwszy poszedłem do pracy w barakach WPRD przy ul. Chałubińskiego. Wyjazd w teren planowano na styczeń. W bazie pod Piotrkowem miałem zajmować się mniej więcej tym samym, czym zajmowałem się w Solinie. Pociągała mnie ta zmiana trybu życia. Dylemat „pisać, czy żyć wśród ludzi” towarzyszył mi stale. Kiedy żyłem wśród ludzi, pracowałem jak wszyscy — nie miałem dość siły, żeby pisać. Ale kiedy przestawałem pracować, zaraz zdawało mi się, że tracę grunt pod nogami — patrzyłem na życie i ludzi z boku. Miałem wrażenie, że wszystkie ważne sprawy dzieją się bez mojego udziału. Bałem się roli *outsider’a*.

Przez wiele lat egzystowałem na zasadzie akumulatora: kiedy pracowałem na budowach, było tak, jakbym ładował w siebie zapas obserwacji, słów, zdarzeń. Całe doświadczenie, własny los i cudze losy — wszystko można było później opisać. Trzy lata pracy w Radio były, mimo wszystko, czym innym. Świat, który znałem z Turowszowa, Soliny i Kozienic, był zupełnie innym światem. Tempo, ruch, życie płynęło jak szeroka rzeka i ja sam płynąłem po tej rzece. Tu była stojąca woda. Zapewne dlatego nie odczułem tak boleśnie zmiany.

Zacząłem pracować w baraku przy Chałubińskiego — w miejscu, gdzie dziś stoi zbudowany przez Szwedów wieżowiec o ścianach ze szkła. W 1973 roku stały tam jeszcze dwa stare baraki Warszawskiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych, postawione chyba w latach pięćdziesiątych. Gromadziłem dokumentację prawną przed wyjazdem w teren. Baraki były ciemne, w pokojach stały elektryczne piece. Praca zaczynała się o siódmej, po ciemku. Do Ignacowa pod Piotrkowem pojechaliśmy pierwszy raz przed świętami Bożego Narodzenia. W tej wiosce

mieliśmy budować bazę. Pamiętam ten pierwszy wyjazd służbową nyską — grudniowy pejzaż środkowej Polski. Jak daleko było stąd do szumnie zapowiadanej „drugiej Polski”, którą mieliśmy budować? Trasa szybkiego ruchu Warszawa - Katowice miała być przecież pierwszą w kraju autostradą, jak powszechnie sądzono. Dopiero później zorientowałem się, że od tak zwanej „trasy szybkiego ruchu” do prawdziwej autostrady bardzo daleko. Jak prymitywnej bieżni posypanej żużlem daleko do bieżni tartanowej. Na razie, za Jankami, mijaliśmy wykopy pod drugą „nitkę” jezdní, hałdy zepchniętej ziemi, miejsca po zburzonych domach. Roboty na odcinku koło Warszawy prowadzono również w zimie. Dalej była Rawa Mazowiecka, Tomaszów, Piotrków. Płaszczyna pól pokrytych śniegiem. Tomaszów, w którym zatrzymaliśmy się, aby zjeść śniadanie, wydał mi się przygnębiająco brudny, szary, biedny. „A może byśby tak, najmilszy, wpadli na dzień do Tomaszowa?” — śpiewała słowami Tuwima Ewa Demarczyk. Być może przed wojną, w „zmierzchu złotym” i „sierpniowej ciszy” wyglądało tam inaczej, ale teraz widzieliśmy brudny dworzec autobusowy, pijanych mężczyzn o dziewiętej rano, zanieczyszczone blaty stolików w barach, zmęczone twarze, szarą ulicę. Szary śnieg. Oto jak ten kraj wyglądał, jeśli podróżowało się nie samolotem, nie szybkim wozem zachodniej marki, ale służbową nyską, autobusem „Sanos” lub drugą klasą pociągu osobowego.

Do Piotrkowa przeniósłem się na dobre w styczniu 1974 roku. Biuro mieliśmy w Ignacowie, w małym domku niedaleko miejsca, gdzie miała powstać baza. Trzeba było codziennie jeździć i wracać — około piętnastu kilometrów. Na wiosnę zaczęto stawiać baraki i fundamenty pod zakład produkcji mas bitumicznych. Nasz kiluosobowy zespół — inżynierowie Miś i Mikołajczuk, majster Podsiadło, zaopatrzeniowiec, młodzi inżynierowie Adam Kozieł i Włodek Hyla, prawnik, czyli ja — w tym pierwszym, najtrudniejszym okresie, kiedy mieliśmy przed sobą pusty plac i mgliste pojęcie, jak i kiedy to wszystko zacznie funkcjonować, w małym domku zasypanym śniegiem w środku biednej wioski — przeszedł zapewne tak zwaną ciężką próbę. Jeśli o mnie chodzi, to jeździłem załatwiać różne zezwolenia do miejscowych urzędów — biura geodezyjnego, Urzędu Gminnego, Zakładu Energetycznego. W Łodzi, w DOKP, załatwiałem sprawę zezwolenia na budowę bocznicy kolejowej. Nie było pozwolenia na rozpoczęcie budowy, map geodezyjnych, nie było właściwie niczego. Ale moja praca to były tylko papiery — znacznie trudniejsze problemy rozwiązywali inżynierowie odpowiedzialni za rozpoczęcie robót.

Sprzęt miała dostarczać sąsiednia, już funkcjonująca baza WPRD koło Radomska. Prowadzili roboty ziemne przy budowie nasypów. Była to baza ciężkiego sprzętu: zgarniarek, spycharek, wozów do transportu mas ziemnych. Niechętnie przysyłali sprzęt do nas, ponieważ opóźniało to roboty przy nasypach.

Nie było ludzi do pracy. Od początku problemy z alkoholikami. Ci z miejscowych, którzy zgłaszali się, na ogół nigdzie nie pracowali, ponieważ wszędzie wyrzucano ich za pijaństwo. Pijani zgłaszali się w sprawie przyjęcia do pracy, zaczynali pracować — pili i znów byli zwalniani. Pamiętam mały miejscowy sklepik, przed którym zawsze leżał stos skrzynek po butelkach z winem lub wódką. I zawsze, po wypłacie, stał tam tłum młodych mężczyzn, wydających pośpiesznie zarobione pieniądze na alkohol. Godzinami siedzieli na tych skrzynkach, w kucki, podpierali ściany sklepu. Jakby świat tu kończył się, przy obdrapanych drzwiach i wszystko, na co warto było wydać pieniądze, to butelki taniego wina. Jaki los, jakie życie mieli przed sobą?

Wszystko, na co patrzyłem, potwierdzało obraz rzeczywistości przedstawiony w „Cudownej melinie”. Więcej: już wtedy zaczynałem orientować się, że wszystko, o czym tam pisałem, było trochę infantylne, łagodne, wstydliwie osłonięte w miejscach, gdzie prawda była zbyt brutalna. Tu oglądałem inną, prawdziwą rzeczywistość. Świat prowincjonalnej Polski spod Piotrkowa, z Rozpry, gdzie mieścił się Urząd Gminy, oglądany na trasie Koluszki - Łódź, świat z Radomska i Tomaszowa Mazowieckiego — mniej barwny, szary, smutniejszy. Myślę, że to pejzaż sprawiał, a także historyczne dziedzictwo — w „Melinie” opisywałem Bieszczady, małe galicyjskie miasteczka. Tu była Kongresówka — szczególne zacołanie, jakieś biedne, zapadłe wsie naokoło, monotonna płaszczyna pól. Karłowate sosnowe laski, gruntowe drogi pokryte wiosną i jesienią brudną mazią, w której tonęły koła chłopskich wozów.

Gdzieś w maju lub w czerwcu przeniósłem się z Rozpry do Ignacowa. Zamieszkałem na końcu wsi w niewielkim domku maszynisty kolejowego, Józefa Jachimczuka, który jednocześnie uprawiał kawałek pola. Miałem kilka kroków do baraków postawionych w ciągu wiosennych miesięcy na placu za wsią. Rosły obok hałdy grysów różnych frakcji, jak, mówiono, do produkcji mas bitumicznych czyli asfaltu. Powstawały warsztaty. Był już tabor ciężkich wozów gotowych do przewożenia gorącego asfaltu na trasę.

Moje życie w bazie ciężkie było jedynie zimą: konieczność mieszkania w nieskanalizowanym domu (trzeba było biegać do „wygódki” za stodołę). W barakach czasem piece elektryczne

przestawały grzać — było zimno. Wystawanie na przystankach i dworcach, aby na niedzielę wrócić do Warszawy. Latem było inaczej: w ciepłe wieczory zabierałem przyjaciół i moim rudym wartburgiem jechaliśmy nad sulejowski zalew — polnymi drogami, leśnymi przecinkami. Tam płynęliśmy pod zachodzące słońce na drugi brzeg.

Czy byłem wówczas pod szczególną „opieką” organów bezpieczeństwa? Sądzę że tak, choć nie było to zbyt widoczne — nie czułem się zagrożony. Docierało czasem echo: kilka słów ostrzeżenia — że jednak pamiętają, mają na oku. Ktoś mówił na przykład: „byli w Dyrekcji, przeglądali pana teczkę w Dziale Kadr”. Wtedy opóźniło to o kilka miesięcy obiecaną podwyżkę uposażenia. Później pewne wydarzenia przekonały mnie, że ta opieka jest stała i że zdolni są do niezwykle przebiegłych metod zbierania informacji. Ostrzegano mnie także przed miejscowymi ormowcami. „To oczy i uszy bezpieki wśród nas. Zdajemy sobie sprawę z tego” — powiedział mój gospodarz.

Napisałem w tym okresie dwa opowiadania, które potem włączyłem do tomu „Pustynia Gobi”: „Drzewo pana Jezusa” i „Święci tańczą na łąkach”. Pierwsze złożyłem w *Twórczości* — chodziłem do redakcji i rozmawiałem z Julianem Strykowski, który wtedy jeszcze prowadził dział prozy. Wiem, że dwukrotnie składali to opowiadanie, w dwóch kolejnych numerach i dwukrotnie cenzura zatrzymywała. Wiem również, że na temat „Drzewa pana Jezusa” rozmawiał Strykowski lub Iwaszkiewicz z Makuchem, ówczesnym sekretarzem Wydziału Kultury KC. „Czytałem to opowiadanie kilka razy — powiedział podobno Makuch. — Jest w nim zbyt czarny i jednostronny obraz naszej rzeczywistości”. Zabawne, jak oni zawsze chcą wybielać ten obraz. A przecież wtedy, w połowie lat siedemdziesiątych, w prasie pojawiały się stale wiadomości o zbiorowych gwałtach. Szczególnie głośna była sprawa młodocianych gwałcieli z Nowego Dworu pod Warszawą. W ogóle obraz tych wszystkich Nowych Dworów czy Wołominów był obrazem znacznie czarniejszym, niż obraz sielskiego miasteczka bieszczadzkiego z „Cudownej meliny”. W opowiadaniu „Drzewo pana Jezusa” opisałem autentyczną historię zbiorowego gwałtu dokonanego na dziewczynie, która bezskutecznie szukała pomocy w domach podmiejskiej osady. Ze strachu lub z obojętności wyrzucano ją z domów, do których pukała, zatraskiwano drzwi, podczas gdy za płotem czekała banda łobuzów. W moim opowiadaniu jeden z tej ban-

dy zbuntował się — nie chciał gwałcić. Było w tym zapewne zbyt dużo wiary w człowieczeństwo zdemoralizowanego „git-człowieka”, ale i tak nie chcieli drukować. Bali się syntezy — znowu tego uogólnienia? W pewnym momencie ci chłopcy idący za dziewczyną zaczynają rozmawiać językiem gazet. Tym żargonem, który stworzyła propaganda: „Stoją przed nami zadania do wykonania na płaszczyźnie...”. „Należy dbać o podnoszenie roli w umacnianiu na rzecz...”. „Wykonamy powierzone zadanie z nadwyżką!”. I tak dalej. Dwuznaczność dialogu i jego źródłosłów były zapewne główną przeszkodą, jeśli w ogóle brali pod uwagę możliwość druku. Podobnie było z opowiadaniem „Święci tańczą na łąkach”. Wysłałem to opowiadanie do *Odry* i wkrótce dostałem list od Urszuli Koziół, że będą drukować. Po kilku miesiącach pojechałem do Wrocławia, aby dowiedzieć się, co z opowiadaniem? Historia powtórzyła się: cenzura i to odrzuciła, mimo że treść „Świętych” nie była ani zbyt czarnym obrazem rzeczywistości, ani nie było tam języka propagandy ani politycznych dwuznaczności. Może obraz wsi — nawiedzonego chłopca wychowującego samotnie dwójkę małych dzieci — wydał się mało „postępowy”?

W kilka lat później, przeglądając „Czarną księgę cenzury PRL” — zbiór dokumentów Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, wydany na Zachodzie — na stronie 53, w punkcie 1. Działu IX „Kultura”, znalazłem następujący ustęp: „Nie należy zezwalać na publikację żadnych utworów Kazimierza Orłosa. Ewentualne publikacje dotyczące tego autora winny być każdorazowo uzgadniane z kierownictwem GUKPPiW”. Zrozumiałem, że wszystkie próby druku, podejmowane przeze mnie w tamtych latach, z góry skazane były na niepowodzenie. Nie wiedząc o tym, biłem głową w mur.

Tymczasem praca w Ignacowie pochłaniała dużo czasu. Często pracowaliśmy i po piętnastej, kiedy większość pracowników OBA (Oddziału Budowy Autostrady) odjeżdżała do Piotrkowa. Przepisywałem teksty porozumień w sprawie wypłat odszkodowań za zniszczone plony. Pisałem pilne opinie prawne. Wspólnie kończyliśmy szczegółowy harmonogram robót. Zdarzenia, zapamiętane rozmowy, tak wiele rozmów, obserwacje ludzkich postaw, zachowań — wszystko później wykorzystałem, w mniejszym lub większym stopniu, głównie w „Trzecim kłamstwie” — mojej drugiej powieści napisanej i wydanej już po okresie pracy w Ignacowie.

Kilka fragmentów „dziennika z Ignacowa” — pisanych wtedy, w latach 1974-1976, najwierniej odda atmosferę i tło tamtego okresu.

„Marzec 74. Wieczorne rozmowy z panią Zofią i jej córką Ireną, u których mieszkam. Gospodyni opowiada dużo z własnych wspomnień. Wojna, okupacja, okres powojenny. Zapamiętałem o Niemcu zabitym niedaleko ich domu. Obcięto mu palec, żeby zdjąć obrączkę. Leżał później przez kilka dni i stopniowo rozbierano go (rano nie miał butów, w południe płaszcza, wieczorem munduru, potem był już tylko w bieliźnie, ale i to zdjęto, nawet skarpety). Został zupełnie nagi, leżał gdzieś w rowie, później przykryto go słomą i w końcu pochowano.

Rozmawiamy także o rabowaniu domów pożydowskich w getcie, o bezlitosnym i obojętnym stosunku miejscowej ludności do Żydów. Pani Zofia opowiada, jak znajomi Żydzi przyprowadzili małego chłopca („bardzo ładne dziecko”) i prosili jej matkę, aby dziecko przechowała, ale matka odmówiła. Bała się, że ludzie doniosą. Była świadkiem tej rozmowy. Siedzimy zamyśleni, a potem pani Zofia mówi: „Na ogół tu marny naród”. A może powiedziała „podły”?

Opowiadanie strażnika więziennego (gospodarz, właściciel domu, do którego przychodzę, żeby podpisać umowę — wynajmuje pokoje dla naszych robotników. Był strażnikiem przed wojną. W czasie okupacji zgłosił się do służby w Piotrkowie. Przyjęto go i do końca wojny pracował w piotrkowskim więzieniu. Mówi o partyzantach. Kiedyś przywieźli jednego („taki jak pan, nawet podobny, wysoki, chudy”). Kiedy go prowadził do celi, spytał, dlaczego tak sztywno idzie — może go buty uwierają? Partyzant miał wysokie oficerki. „W celi pomogłem mu zdjąć buty i te buty były pełne krwi — mówi strażnik — i on cały był oblepiony krwią, koszula przyklejona do ciała, sztywne spodnie. Tak go bili”.

Maj 74. Dziś jadąc długo na rowerze przez wieś Bagno, potem przez las i pola, dojeżdżam do zaniedbanej wioski Żelazna Wola. Kilka zapamiętanych obrazków: wielki żelazny krzyż. Staruszka z krową. Mała dziewczynka z owieczkami pod nisko zwisającymi gałęziami lip. Dwie inne dziewczynki na drodze mówią mi „dzień dobry”. Dojeżdżam do końca drogi, skręcam w lewo i tam znajduję stary, zaniedbany dworek. Ścieżką, między szpalerem krzewów, dojeżdżam do klombu, za którym ganek, kolumnienki, wysokie okna. Dach czarny, brzydki, kryty papą. Płatami odpada tynk. I okna smutne — wieją opuszczeniem. Ale na klombie kwiaty, obok domu sad, dalej staw. Objeżdżam wszystko dookoła i stoję na chwilę przy płocie, zza którego patrzy na mnie mężczyzna w czapce zsuniętej na oczy. Zagaduję: „Są ryby w tym stawie?”. Mówi krótko: „Nie”. Odjeżdżam. Później jeszcze podmokły las i powrót tą samą drogą. Zimny wiatr. Bardzo wysokie żyta.

Po powrocie spotykam starego J. (tego, który zabiega o posadę stróża w naszej bazie). Zagadnięty opowiada historię dworu.

Właścicielem był Zaniecki (lub podobne nazwisko). Miał około stu hektarów. Po wojnie jego syn trafił do ludowego wojska. Nie mógł wytrzymać ciężkiej służby — zdezerterował i tu, w rozparcelowanym już majątku ojca, ukrywał się. Milicja urządziła na niego obławę. Uciekł, ukrył się w lesie, ale tam go znaleźli i zastrzelili. Stary dziedzic zwariował z rozpaczy.

Opowiadanie B. — inżynier z bazy koło Radomska — o znajomym majstrze, podobno wielkim, zwalistym chłopie. Ten majster nazywa się Krata. Majster Krata potrafi sam wypić półtora litra wódki. „I jeszcze chodzi” — mówi B. z podziwem. Kiedyś założył się, że wypije skrzynkę wina — 20 butelek — i będzie popijał piwem. Wypił podobno, ale wtedy nie mógł chodzić. Wyrażamy wątpliwości: czy to możliwe, aby majster Krata wypił dwadzieścia butelek wina?

B. opowiada o drugim majstrze, nazwiskiem Kot, który w czasie wycieczki nad jezioro pijany odpłynął od brzegu i gdzieś pośrodku jeziora zaczął śpiewać. To wtedy B. wyratował tonącego kierowcę (tego z „gazika”, który przechwalał się swoją mocną głową). Było to na strzeżonej plaży nad jeziorem, blisko przystani. Zjawił się pijany ratownik. Między nim a B. wywiązała się rozmowa:

- Co wy tu robicie?
- Jak to co, wyratowałem tonącego.
- Dlaczego sami ratujecie? Ja tu jestem od ratowania!
- Ach ci ratownicy, ratownicy! — wspomina ze śmiechem B.

Wrzesień 74. Opowiadanie Włodka Hyli. Odjeżdżając z placu przy tak zwanym węźle betoniarskim, zauważył koło betoniarek samotnego, szamoczącego się z taczka robotnika. Któryś z miejscowych, z sąsiedniej wioski. Pijany. Podobno z uporem, w padającym deszczu, usiłował pchać ciężką taczka przodem. Kłękał przy niej, jakby była zbyt ciężka, a on zbyt słaby. W końcu olśnienie: odwraca się, bierze taczka za uchwyty i ciągnie jak wóz za sobą. Tak, chwiejnym krokiem, dociągnął taczka do betoniarek.

Inne opowiadanie Włodka. Zobaczył, że walec jedzie wężykiem po świeżej stabilizacji. Dogonił maszynę i zatrzymał. W kabinie spał pijany operator. Kierował również pijany (choć nieco mniej) młody robotnik — jeden z niewykwalifikowanych, fizycznych. H. obudził operatora, kazał sobie wytłumaczyć, jak prowadzi się walec i doprowadził maszynę (prowadząc pierwszy raz w życiu) na plac, pod betoniarki.

Później, wracając około drugiej do bazy, spotkali innego młodego robotnika („chłopak”, mówił o nim), który zataczając się szedł wzdłuż drogi i w pewnej chwili runął do rowu, w błoto, padając na twarz. H. zatrzymał samochód, chciał pijanego podwieźć — chłopak wyrwał się, szarpał, bełkotał. Puścili go. Od-

jeżdżając widzieli, jak po przejściu kilku kroków znów runął w kałużę, na twarz i tak, w tej kałuży, został. Włodek ma wyrzuty sumienia: czy słusznie postąpili, odjeżdżając?

Październik 74. Rozmowa z chłopakiem, który przyszedł do nas po technikum. Został brygadzystą, bo brak wykwalifikowanych robotników. Otóż ten chłopak, zagadnięty o to, jak często piją ludzie z jego brygady (chyba dwunastu — wszystko młodzi mężczyźni z okolicznych wsi), odpowiada: codziennie. Zawsze co najmniej 3-4 jest „zaprutych”. Jeśli tak się zdarzy czasem, że wszyscy są trzeźwi, to wielkie święto. Piją nawet przed pierwszym i przed piętnastym, kiedy teoretycznie nie powinni mieć pieniędzy. Najczęściej jeden znika i po pewnym czasie wraca z butelką. Na ogół piją prosto z butelki — są tacy, którzy wlewają sobie do gardła i nawet grdyka im nie drgnie. Poznaje się, że są pijani po zmianie tonu — stają się rozmowni, wylewni, zaczepni. I tak dzień po dniu — „alpaga” z wiejskiego sklepu lub „Stołowa”. Nawet jak sklep zamknięty, przynoszą.

Kwiecień 75. Wizyta w domu M. w Cekanowie (w związku z nagłą potrzebą zabrania kawałka pola). Wchodzę ślizgając się i brnąc przez błoto na podwórzu. W kuchni, która jest jednocześnie pokojem sypialnym, stary M. — inwalida, emeryt — siedzi w kalesonach przy stole. Kilkudniowy zarost. Nie może chodzić („tylko kawałek — podpierając się laską”). Jest w kuchni młoda kobieta wyglądająca na oligofreniczkę. Matka chłopca, którego często widywałem przed tym domem. Chłopiec robi dobre wrażenie — żywy, wesoły, przewodził grupie małych chłopców. Z rozmowy ze starym dowiaduję się, że kobietę „jeden taki tu skrzywdził”, że rodzina wyrzekła się jej („markotno mi — wtrąca ona — jak sobie o sobie pomyśle”). Inwalida M. — w zamian za pomoc i opiekę — zgodził się, żeby z nim zamieszkała. Chłopak chodzi do trzeciej klasy i jest wielką pociechą matki i starrego. „Dziadziuś”, mówi o nim. Opowiadają oboje zżywieniem, jak im wieczorami czyta („jak pięknie umie czytać, panie”). Matka opowiada, jak chciała mu zrobić na Mikołaja niespodziankę, kupiła książkę, ale on wypatrzył i wcześniej zabrał (chciała mu wsunąć pod poduszkę). Stary pokazuje na ścianie fotografię chłopca — pamiątkę z pierwszej komunii (siedzi na krześle ze świecą i białą wstążką na rękawie). „Panie, jak go nie ma patrzeć na tę fotografię. Tyle w życiu radości, co ten chłopak przyniesie”. Patrzę na izbę — duszną i brudną, na dwa zsunięte łóżka w kącie (w kształcie litery „L”), gdzie pewno wszyscy troje śpią, na starrego emeryta w kalesonach, na młodą kobietę o wyglądzie oligofreniczki i myślę, jaki los czeka tego chłopca, którego latem widywałem w gromadce dzieci — wesołego i pełnego życia? Przypomina się opowiadanie Joanny: o dzieciach z zapadłej kielec-

kiej wioski, z rodziny alkoholików. Mieszkają w rozpadającej się chałupie i jesienią, w czasie chłódów, grzeją się przytulone do świni.

Dom z białej cegły. Przed domem dziewczynka — wygląda na cztery lub pięć lat. Siedzi na schodkach ganku i patrzy na ulicę. Wewnątrz parterowego domku płacze niemowlę. Na ganek wybiega nagle młoda kobieta z paskiem. „To tak pilnujesz dzieciaka?”. Biję dziewczynkę po głowie, rękach i nóżkach. Mała zanos się płaczem. Widzę jeszcze, jak po odejściu matki płacze skulona pod białym murem.

Pani Z. — nietypowa postać z wioski Laski. Zostaje stróżem, ponieważ wydzierżawiamy od niej kawałek pola pod tak zwany węzeł betoniarski przy budowanej trasie. Wielka, gruba, niechluja — przypomina starą Cyganke. Okazuje się, że panna z pięciorgiem dzieci — każde ma innego ojca. Ostatni narzeczony mówi kwiecistym językiem i chyba on jest autorem podania-elaboratu na ogromnym arkuszu. Kwiecisty styl, staranne pismo — podanie o przyjęcie do pracy w charakterze stróża. Od kilku dni pani Z. pilnuje węzła betoniarskiego siedząc w sfoferce-budce wielkiego spychacza.

Maj 75. Opowiadanie córki gospodarzy (jest pielęgniarką — pracuje w piotrkowskim szpitalu) o starym człowieku, którego przywieźli do szpitala (pogotowie) w stanie skrajnego wyczerpania fizycznego. Okazało się, że chorował od lat — chyba na wrzód żołądka — był przy tym cały czas głodzony i trzymany w komórce przez brata i szwagierkę. Trzymali w komórce, nie dawali jeść, nawet ukrywali jego istnienie przed ludźmi. Stary podobno ratował się handlując wódką. Nie udało się go wyleczyć — umarł po kilku lub kilkunastu dniach w szpitalu. Dwa fakty: to, jak wysupłał dwadzieścia złotych z węzła i usiłował dać pielęgniarce na czekoladę. Za opiekę — powiedział. Był zachwycony szpitalem, jakby nagle znalazł się w niebie. Pielęgniarki mówiły do niego „dziadziuś”. To wtedy, na pytanie skąd ma pieniądze, odpowiedział, że sprzedawał wódkę. Drugie zdanie, to odwiedziny brata i szwagierki — rodziny, która doprowadziła staro do beznadziejnego stanu. Młodszy brat, jego żona, ich dzieci — wszyscy odświętnie ubrani. Brat przyniósł w prezencie worek jajek — może chciał tymi jajkami odkupić swoją winę? Pielęgniarka powiedziała, żeby jajka zabrali. A „dziadziuś” w czasie wizyty cały czas leżał odwrócony do ściany. Nie chciał patrzeć na tych ludzi ani rozmawiać. Siedzieli przy łóżku — sztywni, poważni i skupieni. Potem pielęgniarka powiedziała, że muszą już iść.

Po śmierci starego ta sama rodzina nie chciała zabrać ciała. Chcieli uniknąć kosztów związanych z pogrzebem.

Hotel w Piotrkowie. W restauracji na dole młode kelnerki siedzą przy bufecie. Wchodzi stary człowiek z laską. „O, dziadek

przyszedł!", wołają jedna przez drugą. On po kolei całuje wszystkie po rękach, obejmuje. „Dziadek, cholero — mówi jedna — zdradziłeś mnie!”. Wybuch śmiechu. Pytam później, kto to? Okazuje się, że stróż.

Lipiec 75. Opowiadanie N. o stosunkach w Piotrkowie. Rok mija od zdjęcia ze stanowiska pierwszego sekretarza. Był zamieszany w aferę mięsną. Dowiaduję się, że w Piotrkowie działał „gang mięsny”: dyrektorzy masarni, kierownicy sklepów, konwojenci itd. Otóż pierwszy sekretarz grał z głównym aferzystą w karty (w pokera) w ten sposób, że tamten zawsze przegrywał. Oczywiście wiadomo było, że gra jest jedynie formą przekazywania „działki”. Obecnie ten był pierwszy sekretarz jest na jakimś innym stanowisku — też w aparacie i podobno chwali sobie zmianę. W „Europie” — luksusowej restauracji w Piotrkowie — jest do dziś mała sala zwana „partyjną”. W tej sali urzędowali aferzyści — załatwiano interesy i grano w pokera.

„Niejaki Pająk z Bożej Wólki był milicjantem. Zabrał prawo jazdy pijanemu kierowcy, a ten obiecał mu dwa tysiące za zwrot. Umówili się. Pająk przyjechał, a tam już czekali tajniacy. Nie zdążył schować dwóch tysięcy do kieszeni — ciepłe mu z rąk zabrali. Siedzi teraz i dobrze! Chciał drugiego człowieka skrzywdzić!”. Dosłownie zanotowane opowiadanie starej meliniarki — matki Jasia.

Wrzesień 75. Opowiadanie pani Basi o rozmowie podsłuchanej na przystanku. Młode małżeństwo z okolicy przeżywa dramat: w nocy, ojciec czy matka, niechący — przy odwracaniu się na drugi bok — przygnietli i zadusili półroczne niemowlę, które razem z nimi spało w łóżku.

Ta sama pani Basia opowiada, jak jeden z robotników przyjętych niedawno do pracy w węźle betoniarskim w Laskach pobił dziecko. Po powrocie do domu pijany, zaczął dopytywać się trzyletniego chłopca, gdzie jest teściowa? Chciał bić teściową. Podobno krzyczał z uporem: „Gdzie teściowa? Gdzie teściowa?”. Dziecko nie rozumiało, co się dzieje — zaczęło płakać. Nikogo w domu nie było — matka gdzieś wyszła. Wtedy ten młody mężczyzna pobił bestialsko dziecko. Podobno rzucił o ścianę. Dziecko straciło przytomność. Później wróciły kobiety, wezwały pogotowie. Ktoś zawiadomił milicję. Zabrali tego człowieka i zawieźli na posterunek. Trzymali czterdzieści osiem godzin i wypuścili.

Trochę później pani Basia przyniosła pismo z milicji — jednak zaczęli dochodzenie. Do pisma dołączona ankieta z pytaniami, które mają scharakteryzować podejrzanego.

Marzec 76. Przyszedł Jan Krystek, stary chłop z Rymanówki. Jedno oko z opadającą powieką, prawa ręka obandażowana i

w rękawicze, w starej czarnej kapocie, przygarbiony, siwy. Przyszedł dowiedzieć się, kiedy otrzyma odszkodowanie? Szedł około dziesięciu kilometrów piechotą: „Powolutku, powolutku...”.

Rozgadał się. Opowiadał, jak to przed wojną, jako młody żołnierz, przeszedł piechotą sto kilometrów. „Przed jaką wojną?” — spytałem. „W 1920”. Próbowałem wypytować, gdzie był, co pamięta, ale on wracał stale do swoich wyczynów: jaki to był sprawny, jak biegał, jak chodził po linie. Wszystko z tamtych wojennych czasów — z obozów wojskowych. Spytałem, czy widział Marszałka Piłsudskiego? Ożywił się: „Tak. Jak szedł w stronę okopów bolszewików, wszyscy już przestali iść, a on jeszcze szedł, zawrócił, kiedy zaczęli wołać za nim”.

Żołnierz Piłsudskiego. Stary, niedołężny, z tym na wpół przymkniętym okiem i chorą ręką.

Ten sam Jan Krystek opowiada nam o Kapuście. Niejaki Kapusta przybiegł razem z innymi popatrzeć na samolot — dwupłatowiec, który wylądował na polach koło wioski (było to przed wojną, w 1938 lub 1937 roku). „Panowie, chciałbym się przelecieć” — powiedział. Lotnicy spyali: „A jak długo chciałbyś lecieć?”. „Godzinę”. Wzięli go do samolotu i polecili. Wyszli koło czeskiej granicy. Kapusta wracał dwa tygodnie. Był boso i bez pieniędzy. Jego żona płakała: „Co oni zrobili z moim chłopem?”.

Z niektórych zapisków ułożyłem później „raport” o alkoholizmie i alkoholikach, pisany „na żywo” w robotniczym baraku na budowie. Obraz tej „pijanej Polski” zaczął mi najbardziej, najbardziej właśnie wtedy ciążyć. Wysłałem „raport” do *Tygodnika Powszechnego*. Chcieli drukować, ale cenzura, oczywiście, zdjęła i nawet śladu nie zostało, ponieważ nie było jeszcze znaków pamięci w nawiasach: „Ustawa o cenzurze, art.” i tak dalej.

Do słonecznych wspomnień z tego okresu zaliczam niespodziewane przyznanie mi „niezależnej” nagrody ufundowanej przez grupę pisarzy. Być może to wtedy po raz pierwszy padło słowo: „niezależna”. Później już coraz częściej było powtarzane: „niezależna literatura”, „niezależny związek”, „niezależna kultura”. Świadomość potrzeby niezależności, wyrwania się z kręgu przymusu i kontroli — to był początek. Także znak solidarności. I chyba wtedy coraz więcej ludzi zaczęło zdawać sobie sprawę, że przecież można z tego kręgu wyjść. Odrzucić zależność. Stracić wiele, to prawda, ale ile zyskać? Myślę, że chodziło o to, co później Herbert w jednym ze swoich wierszy nazwał „kwęsią smaku”.

Dostałem tę nagrodę (ufundowaną przez kilkunastu pisarzy prywatnie, w drodze koleżeńskej zbiórki) za „Cudowną melinę”. Jednocześnie ze mną Niezależną Nagrodę Literacką otrzymał Ryszard Krynicki za tom wierszy wydanych nakładem „Kultury”. Pamiętam, jak bardzo byłem wzruszony, kiedy w mieszkaniu Jarka Abramowa na Filtrowej Antoni Słonimski wręczył mi nagrodę, mówiąc przy tym kilka słów. Przede wszystkim jednak zrozumiałem, że to dowód solidarności ze mną i chyba po raz pierwszy pozbyłem się nieznośnego poczucia osamotnienia. Izolacji. W mieszkaniu Jarosława na Filtrowej zastałem Igora Newerlego, Juliana Strykowskiego, Zbigniewa Herberta, Andrzeja Szczypiorskiego. Był Marek. Na niedużym kartoniku pod krótkim tekstem „Jury Niezależnej Nagrody Literackiej jednogłośnie przyznało koledze Kazimierzowi Orłowskiemu Nagrodę Prozaików za rok 1974” było dwadzieścia podpisów (wymieniam w kolejności): Igor Newerly, Marian Brandys, Zbigniew Herbert, Antoni Słonimski, Andrzej Kijowski, Władysław Terlecki, Józef Hen, Wiktor Woroszyński, Jarosław Abramow-Newerly, Jacek Bocheński, Andrzej Braun, Kazimierz Brandys, Ireneusz Iredyński, Jerzy Andrzejewski, Julian Strykowski, Tadeusz Konwicki, Tomasz Burek, Andrzej Szczypiorski, Kornel Filipowicz, Jerzy Ficowski.

Przechowuję ten kartonik do dziś.

„Wezwałem” telefonicznie Piotra Wierzbickiego i siedzieliśmy do późna pijąc wino. Herbert wypił trochę za dużo i mocno zirytował Piotra, którego uznał za reżimowego dziennikarza. Piotr pisywał jeszcze felietony w *Literaturze*. Dziś, z perspektywy lat, ta scysja Wierzbickiego z Herbertem wydaje się surrealistycznym nieporozumieniem. Żartem. Ale był rok 1974. Wróciłem do Ignacowa, żeby w maju wziąć udział w czynie partyjnym.

Prosił mnie o to mój szef — dyrektor bazy inżynier M. Członek partii, całkowicie oddany pracy, pełen poświęcenia. Wydawało mi się czasem, że M. nie ma w ogóle życia prywatnego (a przecież miał żonę i dwóch synków) — zapewne przejął się moją sytuacją człowieka wyganego z Warszawy, opozycjonisty z wyboru. Dałem mu do przeczytania „Cudowną melinę”, ale tylko kręcił głową: „Nie tak, nie o to chodzi...”. Może to on sam postanowił, że podda mnie reedukacji: namówi do wzięcia udziału w czynie partyjnym i to będzie pierwszy krok? Zgodziłem się, rezygnując z wyjazdu do Warszawy na niedzielę. Porządkowaliśmy plac między barakami. Naprzeciw okien pokoju, w którym pracowałem, wytyczyliśmy boisko do siatkówki. Później, wieczorami, graliśmy czasem na tym boisku. Ale ja przede wszystkim zapamiętałem słoneczny dzień — w maju lub w czerwcu — rozwieszony, czerwony transparent „Wspólnym czynem

budujemy drugą Polskę” i nas wszystkich między barakami naszej bazy, wymachujących łopatami i grabiami. Żarty, śmiechy. „Posiłek regeneracyjny” — parująca zupa w poobijanych talerzach, którą jedliśmy siedząc w kucki, wsparci plecami o nagrzaną ścianę baraku.

Po dziesięciu latach M. spotkany na ulicy opowiedział mi swoją historię. Był w „Solidarności”, wystąpił z partii po ogłoszeniu stanu wojennego. Jeden z jego synów, chłopak po maturze, ukrywa się oskarżony o rozrzucanie antypaństwowych ulotek. W domu było kilka rewizji... A przecież ja jeszcze miałem go w oczach z tamtych dni: pod transparentem „Wspólnymi siłami”, duszą i sercem oddanego „ludowej ojczyźnie”. Pracującego po kilkanaście godzin na dobę. Wszystkie siły poświęcającego pracy. Kiedy z biednych domków przenosiliśmy się do nowego baraku, zebrał nas wszystkich pod ścianą przy płocie i przemówił krótko: „Mamy zaszczyt uczestniczyć w budowie jednej z najważniejszych inwestycji w naszym kraju. Wierzę, że wszyscy, jak tu stoimy, oddamy swoje siły tej pracy. Wierzę w to z całego serca...”.

A potem, w 1985 roku, spotkany na ulicy, mówił z goryczą, jak powoli tracił wiarę w uczciwość i dobrą wolę ludzi odpowiedzialnych za kraj. W sens tego wszystkiego, w co wierzył. Partia, która traci takich jak on ludzi — pomyślałem wtedy — traci wszystko, co ma najlepszego.

ROZDZIAŁ VII

Dziś, kiedy znów zaczynam czytać o „postępie technicznym”, o „rewolucji naukowo-technicznej” itd. — mogę już tylko śmiać się. Jeżeli prześledzić pisaninę gazet, a zwłaszcza tygodników społeczno-polityczno-kulturalnych — to, co pisano w ciągu ostatnich trzydziestu lat — wszystko powtarza się.

„Postęp techniczny” to żelazny temat — hasło lat siedemdziesiątych. Pisało się i mówiło o „postępie technicznym” bez końca, tylko rzeczywistość zupełnie do tego postępu nie pasowała.

Do Ignacowa sprowadzono maszynę zachodnoniemiecką do układania betonowej nawierzchni pod asfalt. Był to kombajn, który wjeżdżał na puste pole i parł do przodu, zostawiając za sobą betonową drogę. Sprawę opisałem w „Trzecim kłamstwie”. Ta wspaniała maszyna, cud techniki i doskonały wytwór „postępu technicznego”, niewykorzystana i zardzewiała stoi w kącie placu obok warsztatów naprawczych, powoli zmieniając się w stertę złomu. W rzeczywistości było podobnie. Zakupioną za kilkanaście milionów dolarów maszynę sprowadzono do Ignacowa i dopiero tu okazało się, że nie ma części potrzebnych do przepompowywania cementu w czasie ruchu. Przy kilkunastomilionowym dolarowym wydatku ktoś dokonał oszczędnościowego, jak mówiono, cięcia: zrezygnowano z zakupu dodatkowego wyposażenia. Brak pojemnika i przewodów do przepompowywania cementu okazał się problemem numer jeden: trzeba było z boku podejść cementowozami, często teren uniemożliwiał takie manewry. Maszyna pracowała z przerwami, wolno, tracąc całą swoją wydajność i użyteczność. W dodatku na kamienistym terenie (a taki przeważnie był teren w okolicach Piotrkowa) również nie mogła pracować. Kamienie uniemożliwiały swobodne poruszanie się, zatykały przewody, uszkadzały lemiesz do wzruszania podłoża. Sprowadzony (również za dolary) technik niemiecki — operator

ciężkiego sprzętu — niewiele mógł pomóc. Pamiętam, jak ten wielki mężczyzna, z brzuchem wylewającym się ze spodni na skórzanych szelkach, spocony i bezradny usiłował wytłumaczyć cokolwiek na migi przejętym operatorom z naszej bazy, którzy mieli obsługiwać maszynę. Później dwóch lub trzech wyjechało na kilkutygodniowy kurs do Niemiec. To wszystko niewiele mogło zmienić. Maszynę przeznaczono do budowy dojazdowych dróg, o ile pamiętam dzięki niej zbudowano kilkusetmetrowy odcinek drogi dojazdowej przez pola do naszej bazy. I to chyba wszystko. Stała niewykorzystana, powoli tracąc barwę — na jasnozielonych blachach wystąpiły rdzawe plamy. A ja widziałem stale w pismach długie artykuły i wielostronicowe dyskusje na temat „postępu technicznego”. Ten gruby Niemiec, częstujący wszystkich piwem z puszek, które trzymał w bagażniku mercedesa, odjechał zapewne pod wrażeniem totalnego polskiego bałaganu. Zaraz po jego wyjeździe całe zainteresowanie maszyną-kombajnem ulotniło się. Powrócono do starych metod: kilofów, łopat, glebogryzark wypożyczanych z miejscowego POM-u. Takim sprzętem kończono budowę drogi dojazdowej.

W Ignacowie zachodziłem czasem do starego sołtysa, z którym rozmawialiśmy na tematy polityczne. Niedbale ubrany, w rozchełstanej koszuli, często boso — stary, z czapką maciejówką na głowie, był jakby przeniesiony z dawnych lat, z innej epoki w czasy „budownictwa socjalistycznego”. To w rozmowach z sołtysem mogłem sobie wyrobić pogląd na sprawy tak zwanej „polityki rolnej” rządzącej partii.

— Będzie źle. Niedługo zacznie się kryzys, zobaczy pan — mówił bosonogi sołtys z Ignacowa, a kiedy pytałem, skąd ten pesymizm, wyliczał powody: — Po pierwsze sprawa żywca. Ludzie przestali trzymać świny, bo nie ma czym karmić. Dawniej — mówił — do punktu skupu w Rozprzy wozono podczas spędu setki, tysiące sztuk. Teraz po kilka lub kilkanaście. Po drugie ludzie wymierają. Młodzi idą do miasta. Nam, starym, gmina nie chce sprzedać nawet kawałka nieuprawianej ziemi. Oddają PGR-om, a tam, wie pan — dalej leży odłogiem. Nie będzie, nie będzie w tym kraju chleba — kiwał głową.

W połowie lat siedemdziesiątych, kiedy jeszcze ten rozpędzony walec „postępu technicznego” z transparentem „Budujemy drugą Polskę!” parł do przodu, a gazety zachłystywały się opisami sukcesów i osiągnięć, i ja czasem myślałem, że stary sołtys w słowiałej maciejówce nie ma racji. Wydawało mi się, że zbyt wiele w tym obrazie przesady, czarnowidzenia, subiektywizmu.

Mieszkał w drewnianej chałupie, w deszczowe dni przeciekał zapewne nieszczelny dach. Jego koń ciągnął drewniany wóz i płoszył się na widok ciężkich wywrotek z naszej budowy. A jednak, kiedy wspominam tamte rozmowy przy połamanym płocie, obok szopy na opał — wiem, że miał rację. Któż by wtedy, w 1974 roku, uwierzył, że już niedługo wprowadzony zostanie kartkowy system reglamentacji żywności i będzie obowiązywał przez wiele lat?

Życie w Ignacowie, to życie w gorszym świecie od opisanego w „Cudownej melinie”. Nieudolna gospodarka, alkoholizm, samowola policji — wszystko było potwierdzeniem tamtej wizji polskiej rzeczywistości i było jednocześnie czymś gorszym. Autentycznie szare, biedniejsze. I jeszcze obraz nękaney przez władzę, coraz uboższej wsi. Był to proces podcinania gałęzi: wytrwała praca tych wszystkich tępych ideologów, rzeczników wizji „socjalistycznej Polski”, „socjalistycznej gospodarki”, „socjalistycznej wsi”. Żyli poza społeczeństwem, oderwani od rzeczywistości — na każde zawołanie mieli usta pełne frazesów. Powoli niszczyli kraj.

Wieczorami, do pierwszej lub drugiej w nocy, siedziałem w wynajętym pokoju w domku moich gospodarzy, próbując coś notować. To wtedy zacząłem myśleć o „Trzecim kłamstwie” — szkic powieści powstał częściowo w Ignacowie. Napisałem „Czerwone kalosze” i „Pragnienie” — dwa krótkie opowiadania oparte na wątkach autentycznych zdarzeń. Bohaterem „Czerwonych kaloszy” był pan Jaś, o którym wspominałem w swoim dzienniku.

„Opowiadanie Jasia K. — robotnik placowy, mieszka na miejscu, razem z matką. Wynajmują pokój na kwaterę dla robotników. Ostatnio mieszkają u nich pracownicy warsztatów z Korczewa, chyba sześciu w małej izbie — śpią po dwóch na łózkach. Jaś opowiada, że każdej nocy piją. Zasypiają dopiero nad ranem. — 'O czym mówią, kiedy tak piją?' — pytam. — 'O czym mówią?' — zastanawia się Jaś. — 'O niczym. Kłócą się'. — 'Ale o co się kłócą?' — 'O nic. Czasem biorą się do bicia. Dziś jednemu sypnąłem pogrzebaczem...'”.

Później długo roztrząsamy sprawę, co robić, jeśli ci z Korczewa nie uregulują przed wyjazdem należności za kwaterę (Jaś przyszedł poradzić się właśnie w tej sprawie). Sytuacja jest zagmatwana, bo skoro Jaś pije z nimi wódkę, którą oni stawiają, to — zgodnie z obyczajem — mogą uznać, że za kwaterę nic się nie należy”.

Z jego matką-meliniarką prowadziłem od czasu do czasu rozmowy na temat szkodliwości picia wódki. Zatrzymywałem się przy

niej, kiedy pasła krowę przy drodze na łąki nad Luciążą. Chuda, owinięta chustą, bezzębna — kpiła zapewne ze mnie, kiedy bez cienia uśmiechu mówiła zatroskana: — „Popatrz pan, piją i piją, pijaki! Nigdy im za dużo...”.

Wspólnie obserwowaliśmy wędrowkę pijanego cieśla, zatrudnionego na naszej budowie: szedł do swojej wioski przez pola, przewracając się co pewien czas. Rower, który prowadził, leciał z brzękiem dzwonka na ziemię. Może cieśla śpiewał? Bełkot, śpiewy, przekleństwa — stałe były obecne w naszym życiu. Gdzieś w tle, obok, ale obecne. Potakiwałem przynębiony.

Ten cieśla został bohaterem opowiadania „Pragnienie”. I to autentyczna historia. Milicjantowi z Rozpry wpadł pistolet do szamba pod dworcowym szaletem. Podeszedł podobno do grupy robotników z naszej bazy, rozładowujących wagony naprzeciw stacji i zapytał, kto za pół litra wyciągnie? Zgłosił się cieśla. Opowiadano o tym ze śmiechem: jak spuszczał się przez otwór, jak zanurzony po pas brodził w cuchnącej mazi, szukając na dnie pistoletu. Jak wyszedł w końcu i dostał za pistolet pół litra. I jeszcze jak mył się pod studnią, w lodowatej wodzie, w siąpiącym deszczu. Był zdaje się zimny maj. Pamiętam, jak inżynier M. opowiadając o zdarzeniu tłumaczył mi: „Choć pijak, nie zrobił tego dla wódki. To raczej wrodzona chęć okazania pomocy a jednocześnie błysnięcia: oto, co potrafię zrobić!”. Nie wiem. Opowiadaniu dałem tytuł „Pragnienie”, ponieważ wydawało mi się, że tylko alkoholik i tylko zmuszony nieznośnym „ssaniem” mógłby się zdobyć na taki wyczyn. Ale zapewne nie wystarczy opisywać stojąc z boku, nawet dość blisko. Aby poznać duszę cieśli, trzeba razem z nim rozładowywać wagony w siąpiącym deszczu, pić siedząc na mokrych deskach jabłeczne wino, wracać do biednej chałupy przez pola nad Luciążą. I tam, z tego wagonu na stacji Rozprza zobaczyć, jak idzie wyciągać z szamba milicyjny pistolet. I wypić z nim razem zarobione pół litra.

W lutym 1975 roku miał się odbyć zjazd Związku Literatów Polskich w Poznaniu. Myślałem o tym zjeździe jako o forum, na którym mógłbym zaprotestować przeciwko cenzurze i opowiedzieć historię „Cudownej meliny”. Powiedzieć o tej fałszywej zachęcie do pisania o rzeczywistości, o tematach tabu, o całej tej obłudzie. Miałem nawet zamiar jechać, ale spodziewałem się trudności, przeszkód — zrezygnowałem w końcu. Wpadłem na pomysł napisania listu do delegatów — listu, który ktoś musiałby przeczytać. Zapytałem o to Marka Nowakowskiego. Jechał do

Poznania, jako delegat Oddziału Warszawskiego. Szliśmy chyba Hożą lub Wilczą, po jakimś spotkaniu w Warszawie. Spytałem ostrożnie, czy ewentualnie przeczytałby coś na zjeździe, gdybym napisał? Marek zgodził się bez wahania, choć w jego sytuacji — drukowanego, płodnego pisarza — była to zgoda na podjęcie ryzyka, że i na nim będą się mścić. Tak zresztą było.

Czekałem później z niepokojem na wiadomości ze zjazdu, o którym pisała również codzienna prasa. W małej notatce w *Gazecie Łódzkiej* znalazłem wiadomość, że w pierwszym dniu „w dyskusji na zjeździe głos zabrali...”. Szczegółowo wyliczano nazwiska dyskutantów, między innymi Marka. Siedziałem w biurze, w naszym baraku, nad rozłożoną gazetą i próbowałem sobie wyobrazić reakcję sali. Czy partyjni poczuli się dotknięci, czy mówiono dłużej na ten temat? Nie spodziewałem się, aby w czymkolwiek mogło to zmienić moją sytuację. Spodziewałem się raczej utrzymania zapisu cenzury. Dalszego ciągu nękania.

Po zaznaczeniu na wstępie, że list jest dla mnie jedyną okazją publicznego wyjaśnienia, dlaczego zamilkłem jako autor oraz, że *casus* „Meliny” wiąże się, moim zdaniem, z „najważniejszym dla naszego środowiska prawem do krytyki i pisania bez przemilczeń o życiu kraju” — pisałem:

„Wydawnictwo 'Czytelnik' po kilku miesiącach zwróciło mąszynopsis. Dowiedziałem się w czasie rozmów, że chodziło o przedstawienie w złym świetle sekretarza Komitetu Powiatowego. Ale dlaczego nie dostrzeżono istotnych problemów poruszonych w książce? Atakowałem przecież nie sekretarzy KP, atakowałem ludzi, którzy swoje stanowiska wykorzystywali do kantów, złodziejstwa i wyzysku. Życie w ostatnich latach przed 1970 rokiem aż zaudto często potwierdzało moje obserwacje. Życie także w ostatnich latach potwierdza, że książka nie była złośliwym wymysłem — wystarczy przypomnieć sprawę oszustw w Sandomierzu, sprawę Nowego Dworu i Łęczycy. Jestem przekonany, że przypadkowo zagadnięty mieszkaniac jakiegokolwiek małego miasta w Polsce mógłby opowiedzieć niemało podobnych historii. Tymczasem uznano, że napisałem szkodliwą książkę. (...) Jakże inaczej mogłem tłumaczyć sobie odmowę jej wydania, jeśli nie chęcią przemilczania ujemnych zjawisk, o których pisałem? To stało się zasadniczym powodem mojej decyzji wydania książki za granicą. Chciałem w ten sposób zaprotestować przeciwko cenzurze. Chciałem zwrócić uwagę na jaskrawo występującą niekonsekwencję: z jednej strony dyskusja w prasie o 'Antykolumbach', o moim pokoleniu, które, zdaniem krytyków, unikało książek poruszających tematykę współczesną, z drugiej strony zakaz

pisania na ten temat wszystkiego, bez przemilczeń i ukrywania prawdy. W moim wypadku uniemożliwiono druk powieści, która — być może w nieudolny sposób — ale przecież dotykała właśnie bolesnych spraw współczesności. (...)

Nieważne o czym piszemy, tylko gdzie wydajemy. Po ukazaniu się książki w Paryżu, w roku 1973, zasadniczą sprawą stał się fakt wydania 'Cudownej meliny' w Instytucie Literackim. Skoro wydałem w Paryżu (zapomniano natychmiast o moich usiłowaniach wydania książki w Warszawie) — uznano ten fakt za dowód wrogości. Zareagowano zakazem druku jakichkolwiek moich tekstów. Jak zły uczeń zostałem postawiony do kąta. Po upływie półtora roku dowiedziałem się, że zakaz cofnięto, jednakże moje opowiadanie złożone w *Twórczości* nie mogło się ukazać. Ostatnio dowiedziałem się, że zakaz został przedłużony. Stałem wobec perspektywy milczenia przez wiele lat. (...)

Nie mogę zgodzić się z argumentami ludzi, którzy uważają, że wydając książkę we Francji postąpiłem nieodpowiedzialnie, a następstwa były do przewidzenia. Ludziom tym mógłbym powiedzieć: a dlaczego wy nie przewidujecie następstw tłumaczenia krytyki, nie mówienia całej prawdy o życiu naszego kraju? Nie mogę również zgodzić się z argumentami tych, którzy mówią mi: 'W jakim świecie pan żyje? Decyzja była nienormalna'. Uważam, że nienormalna jest raczej sytuacja, gdy nie można wydać krytycznej książki, a mówienie o wolności słowa i potrzebie ograniczenia cenzury uznawane jest za lekkomyślność lub nieodpowiedzialność. Czy nie takim postawom zawdzięczamy swobodny rozwój wielostopniowego systemu cenzury?" (...)

Podobno była cisza na sali. Wysłuchano wszystkiego w ciszy. Do końca. Później odpowiadał Załuski. Mówił, że to nieprawda, jakoby moje opowiadanie złożone w *Twórczości* zatrzymała cenzura — było po prostu artystycznie słabe. O „Melinie” powiedział, że chciał wydawać PIW, ale już było za późno. Trudno mi było potem uwierzyć, że ten człowiek, z którym o „Melinie” rozmawiałem, który wydawał się życzliwie usposobiony do mnie i „prywatnie” popierał wydanie książki — nagle oficjalnie, publicznie, mówił nieprawdę. Nie wierzę, aby PIW chciał „Melinę” wydawać — nikt do mnie w tej sprawie nigdy nie zwracał się. Jak to: mogliby sprzeciwić się decyzji nie tylko cenzury, ale Wydziału Kultury KC? Nonsens. A opowiadanie? W *Twórczości* opowiadanie „Drzewo Pana Jezusa” uznano za jedno z lepszych moich opowiadań. O tym mógł nie wiedzieć, ale dlaczego mówił, że to nie cenzura zatrzymała — że słabe było pod względem artystycznym? Czy nie lepiej powiedzieć w takich wypad-

kach „nie wiem”? Być może jako sekretarz organizacji partyjnej przy ZLP musiał tak mówić — jeśli przyjmujemy to najprostsze z usprawiedliwień słyszanych tak często, kiedy Gomułka lub Gierek mówili rzeczy haniebne. „Musi tak mówić”. Myślę, że Załuski nie musiał.

Powtarzano mi, że Iwaszkiewicz — przewodniczący prezydium zjazdu — powiedział krótko o moim opowiadaniu: *Twórczość* dwukrotnie chciała drukować i cenzura dwa razy odrzucała. O „Melinie” mówił Marek. Polemizował także z Załuskim Jan Józef Szczepański.

W kilka miesięcy potem, około dziesiątej wieczorem, zapukał do mego pokoju gospodarz. Był wysokim, suchym mężczyzną. Lekko przygarbiony. Dobijał do emerytury. Wiele razy myślałem, patrząc z boku na jego życie, że można tylko podziwiać tego człowieka. To życie było wypełnione ciężką pracą. Jeździł jako maszynista na elektrowozach po całej Polsce. Co drugi dzień widziałem, jak rano lub wieczorem szedł z teczką na przystanek PKS, żeby jechać do Piotrkowa. Stamtąd wyruszał na trasę. Wracał po nieprzespanych nocach, których zdaje się nigdy nie odsypiał. Tu, w Ignacowie, miał zwyczajną chłopską gospodarkę: koń i krowa w oborze, dwa, może trzy hektary pola, łąka. Pomały żona i córka. Wszyscy troje wydawali się niezwykle sympatycznymi ludźmi i byłem bardzo zadowolony, że trafiłem do nich „na kwaterę”. Tamtego wieczoru mój gospodarz przyszedł zaszępiiony, bez butelki wina z czarnych porzeczek, z jakim przychodził czasem na rozmowy. Od razu zaczął mówić i od razu zrozumiałem, że sprawa jest przykra i dla niego i dla mnie. To ja, nie chcący, stałem się przyczyną jego wielkiego zmartwienia.

Przed tygodniem, jak mówił, został wezwany przez SB do Piotrkowa. Pojechał nie zdając sobie sprawy, o co może chodzić? Nie orientował się jeszcze po tej pierwszej rozmowie i w czasie drugiej. — „Takie gadanie o wszystkim i niczym, kołowali, kołowali — mówił. — Nagle zaczęli grozić, że wiedzą coś jakoby o moich machinacjach przy budowie domu, że mogą zaszkodzić w pracy. I tak dalej. Wie pan, do każdego teraz mogą się przyczepić, każdemu coś wmówić, znaleźć paragraf. W tym kraju... Ale ja twardo: nie wiem, o co wam chodzi, w czym rzecz, czego chcecie? Czy są konkretne zarzuty? W końcu powiedzieli: chodzi o lokatora. Chcieliby w czasie pana nieobecności zrobić rewizję w tym pokoju. Nikt poza mną nie wiedziałby. Nawet żona. Gdybym nie zgodził się, mówią, to wie pan... I nie kończą. Wie pan...”.

Milczeliśmy przygnębieni. Lampa nad stołem, cisza dzwoniąca w uszach. Wieczorami baza milczała. To poczucie bezpieczeństwa nagle zakłócone. Powiedziałem mu kilka słów o sobie — wytłumaczyłem, dlaczego akurat o mnie im chodzi. Opowiedziałem historię „Cudownej meliny” — druk w „Kulturze”, potem zakaz publikacji, odejście z radia, z *Literatury*, moja trochę przymusowa obecność tutaj. Słuchał kiwając głową. Pamiętam tę niespodziewaną naszą rozmowę, późnym wieczorem, z ciszą za oknem. Czasem tylko szczeptały psy. Wracał do tych przesłuchań w piotrkowskim urzędzie: — „Panie, ilu ich tam jest! Nikt nawet nie wie, ilu tych darmozjadów mają!”. — I opowiedział mi o sobie: — „Całą wojnę w AK. Jako prosty żołnierz. Dlatego los zaoszczędził lochów po czterdziestym piątym. Potem ciężka praca latami... Dom, rodzina. Echo docierało do mnie. A teraz, nagle... Panie, ilu ich jest!”.

Powiedział, że chciałby wiedzieć, co o tym myślę: — „Oni dali dwa dni na odpowiedź. Wóz albo przewóz, mówili. A ja pomyślałem, że przyjdę i opowiem panu”.

Powiedziałem, żeby zgodził się, to jasne. Nawet dobrze, mówiłem, zostawię tylko niektóre książki, niektóre zeszyty. Nic ważnego. A jeśli coś tam przeczytają sobie — niech czytają. Na zdrowie!

Na wszelki wypadek od razu spakowałem do teczek to, co miałem najcenniejszego: szkic „Trzeciego kłamstwa”, niektóre zeszyty z notatkami, jeden lub dwa numery *Kultury* paryskiej. Dwie lub trzy książki przywiezione przez kogoś z Zachodu (czytałem wtedy „Wielką czystkę” Weissberga-Cybulskiego). Tę teczkę zanieśliśmy do stodoły i ukryli w słomie. Miałem przed nie dzielą zabrać do Warszawy (oni chcieli robić rewizję w następnym tygodniu). W pokoju zostały wybrane notatki — mój dziennik. Maszynopis rozdziału przepisanego z „Norm moralnych” Marii Ossowskiej (o donosicielach), książki wydane w kraju.

Rewizja odbyła się w kilka dni później. Zabawne: ci z SB piotrkowskiego wszystko tak dobrze zaplanowali — nawet żonę mego gospodarza wezwali na dwie godziny na posterunek do Rozprzysy (niby w sprawach meldunkowych). W domu, poza gospodarzem, nikogo nie było. Jednego nie wzięli pod uwagę: ludzkiej solidarności. Podobno przyjechała cała ekipa — kilkunastu cywilów. Przywieźli specjalną aparaturę, kamery, aparaty fotograficzne. Różne „skrzynki”, jak mówił gospodarz. Wszystko w moim pokoju przetrząsnęli — fotografowali każdą kartkę. Sprawdzili także samochód. I oczywiście nic nie znaleźli. Mój

gospodarz opowiadał potem, że nagle zaczął się niepokoić, kiedy szli do stodoły (tam, pod dachem, stał mój samochód): czy czasem nie zostawiłem tej czarnej teczki z książkami? Zapomniał spytać. I pojechali z niczym, a ja miałem wrażenie takie, jakbym nagle stanął na innym brzegu. Jakbym się znalazł w innym kraju. To po tej wizycie SB w moim pokoju w Ignacowie zaczął się dla mnie okres „konspiracyjnego pisania”. Myślę, że dzięki mojemu gospodarzowi zyskałem bardzo wiele. Nie tylko nie wpadł im w ręce szkic „Trzeciego kłamstwa”, nie tylko notatki i tych parę książek. W końcu nawet nie o to szło, że wiedzieliby, o czym piszę, znali plany. Był to jeden z tych rzadko przeżywanych momentów w życiu, kiedy poznaje się wartość takich właśnie słów, jak solidarność. Dzięki temu przygarbionemu człowiekowi — maszyniście Polskich Kolei Państwowych — zrozumiałem, jak niewielka może być wartość życia bez ludzkiej wspólnoty, solidarności, więzi. Wieczorem, pamiętam, po tej rewizji, piliśmy wino z czarnych porzeczek. Wtedy to powiedział o wiejskich ormowcach: — „To oczy i uszy bezpieki...”. Zapamiętałem jego ostrzeżenie.

I pewno wtedy trochę bawiłem się sytuacją. Pomyślałem tego dnia rano, kiedy już wiadomo było, że właśnie dziś przyjdą „przeszukiwać”, że ktoś przecież sprawdzi, gdzie jestem. Istotnie tak było. Pojechalismy do zapadłej wioski przy trasie — ja i biegły. Mieliśmy tam oglądać zjeżdżone przez samochody pola. I nagle kierowca przybiegł z wiadomością, że pytają o mnie przez radiotelefon. Kiedy zgłosiłem się, nikogo po drugiej stronie nie było. Ale kierowca powiedział mi, kto dzwonił. Zapamiętałem to nazwisko i choć w tym wypadku mam pewność: współpracownik urzędu. W tylu innych wypadkach zawsze kończyło się na domysłach, w tym jedynym wypadku — nie.

W roku 1981 mój gospodarz zmarł na raka. Odwiedziłem go na dwa lub trzy tygodnie przed śmiercią. Rozmawialiśmy o „Solidarności”, opowiadałem o strajku w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku. Leżał bardzo zmieniony, poszarzały, jakby już nieobecny. Ale mieliśmy wszyscy — w tym okresie szesnastu miesięcy — poczucie zwycięstwa, świadomość autentycznego życia. Wierzyliśmy, że nie zniszczą tego, nie odbiorą. I myślę, że dobrze się stało, że odszedł z tą wiarą. Nie doczekał grudnia — nocy z dwunastego na trzynasty.

Pojechałem na pogrzeb i wszystko, co mogłem zrobić, to razem z krewnymi i przyjaciółmi nieść jego trumnę. Nieśliśmy daleko: z Ignacowa do Rozpry i jeszcze kawałek za Rozprzę

— na wiejski cmentarz. Cztery, może pięć kilometrów. Bardzo dużo ludzi szło za trumną. Była kolejarska orkiestra. Ksiądz prowadził kondukt. Przed starą chałupą, obok przejazdu kolejowego, stał ignacowski sołtys — posiwiasty, starszy o tych parę lat. Nie miał siły pewno iść z nami. Stał i patrzył. Z gołą głową, trzymał wypłowiałą maciejówkę. Takiego go widziałem po raz ostatni.

Dopiero z kilku przemówień na cmentarzu dowiedziałem się o moim gospodarzu więcej. O jego wojennej przeszłości. Przemawiali koledzy z oddziału AK. To był oddział do specjalnych zadań: dywersja, wyroki na kolaborantach, ochrona ludności przed bandami żyjącymi z rabunku. Odznaczony Krzyżem Walecznych. Było mi przykro później, że nie odwiedzałem go częściej, że być może za mało energicznie zapraszałem do Warszawy, gdzie wybierał się z żoną. Chcieli zwiedzić miasto, a ja obiecywałem, że ich wszędzie zawiozę i wszystko pokażę. Chciał, pamiętam, zobaczyć panoramę Warszawy z Pałacu Kultury. — „Stolica, stolica...” — mówił. Widział ją tylko z okien elektrowozów, kiedy przejeżdżał ciągnąc długie towarowe składy. Przypominał w tym mego ojca: w skupionym, upartym poświęceniu życia na pracę.

ROZDZIAŁ VIII

W 1976 roku odszedłem z Ignacowa. Zmieniła się dyrekcja bazy. Ten nasz fanatyk pracy M. nagle został odwołany. Z gorczycą mówił o tym: zbliżał się koniec budowy. Czas przypinania odznaczeń. On był od najgorszej, najczarniejszej roboty. Pracował najciężej w ciągu tych dwóch lat, kiedy tak często zdawało się, że wszystko zmierza ku katastrofie. A teraz odwoływali go po to, żeby innym można było przypiąć odznaczenia.

Przyszeli służbista — tak zwany twardy człowiek z żelazną ręką. Ta żelazna ręka, jak zauważyłem, interesowała się głównie listą obecności rano: minutę lub dwie minuty po siódmej lista zniknęła. Trzeba było chodzić do sekretariatu, tam podpisywać, pojawiły się dawno nie widziane znaczki przy nazwiskach spóźnialskich. Miałem kilka kroków do bazy. Przychodziłem czasem pięć, czasem dziesięć minut po siódmej, przez pola za stodołą mojego gospodarza, słuchając, jak nie zwracając uwagi na łoskot urządzeń do produkcji asfaltów śpiewają skowronki. Byłem już wtedy radcą prawnym wpisanym na listę w Tomaszowie Mazowieckim — formalnie nie obowiązywał mnie czas pracy „od — do”. Ale podporządkowałem się rytmowi pracy w Oddziale — nawet więcej: zwykle nie kończyłem pracy po ośmiu godzinach. Przychodziłem po czwartej i siedziałem do wieczora, jeśli praca wymagała tego. A tutaj nagle żądają ode mnie tych dodatkowych pięciu minut — straszą czerwonymi znaczkami, naganą... Nie podobał mi się cały „gabinet” nowych dyrektorów. Byli to wszystko, oczywiście, nowi „dyrektorzy”: od spraw produkcji, od sprzętu technicznego, od spraw ekonomicznych. Nasza mała baza, którą organizowaliśmy trzy lata wcześniej pracując w kilka osób w małych, źle opalanych pokojach wiejskiego domu — nagle rozrosła się do rozmiarów wielkiej administracyjnej jednostki z całą gromadą dyrektorów, zastępców, urzędników. Z niepoko-

jem patrzyłem na tak zwany nadzór inwestorski: było tam kilkanaście osób, które nie miały nic do roboty. Jeździli od czasu do czasu na trasę, wpisywali uwagi do dzienników — młodzi inżynierowie po studiach, których musiała ta sytuacja demoralizować. Ale godzili się z tym — to płatne nieróbstwo było wygodne.

Z naszego podwórka pamiętam krzyki zastępcy dyrektora do spraw technicznych, kiedy besztął rano pracowników. Jego „regulamin pracy” czarno na białym zobowiązywał kierowców do kilkunastogodzinnej jazdy — wbrew przepisom prawa pracy, nie mówiąc już o zasadach śp. Karola Marksa. Zaczęli przychodzić do mnie wyrzucani z byle powodu ludzie, angażowałem się w ich obronę — wbrew interesom bazy, jak mówiono.

Inżyniera M. pożegnaliśmy w gabinecie nowego „dyrektora”. Miał w nagrodę jechać do Libii, na budowę prowadzoną przez WPRD, ale wiedziałem, że jest przygnębiony. Wstał, podziękował obecnym za współpracę — wydało mi się, że ze wzruszenia nie może mówić. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się występować w roli dziękującego komuś odchodzącemu za jego pracę, ale tu, po chwili milczenia, kiedy wiedziałem, że nikt nie wstanie i nic nie powie, wstałem sam, żeby powiedzieć kilka słów. Nie pamiętam dokładnie, o czym mówiłem. Zapewne przypominałem obecnym cały ten najgorszy okres pracy — kiedy mieliśmy za oszronionymi szybami wiejskiej chaty pusty plac. Kiedy wydawało się niemożliwe, aby tu stanęły baraki, warsztaty, zbudowano bocznice, zakład produkcji asfaltów. Wtedy ten człowiek tu był i był niezastąpiony. Za to mu trzeba podziękować i to trzeba pamiętać.

Nowa dyrekcja przyjęła moje wystąpienie chłodno. W kilka tygodni później złożyłem wypowiedzenie.

Był rok 1976 — zbliżał się czerwiec. Pierwszy większy wstrząs po 1970 roku. Symptomy rozkładu „rozpędzonego walca” z transparentem „Budujemy drugą Polskę!”, były już dobrze widoczne. Jeżdżąc często do piotrkowskich urzędów, obserwowałem, jak w praktyce wygląda reforma administracyjna, o której wtedy tyle pisano i mówiono. W rzeczywistości musiało to prowadzić do dwukrotnego lub trzykrotnego wzrostu zatrudnionych w aparacie administracyjnym urzędników. Miliony złotych potrzebnych we wszystkich gałęziach gospodarki przeznaczono na rozbudowę aparatu administracji. Po co? Dlaczego zlikwidowano sprawdzone od lat, może nie najlepiej funkcjonujące, ale posiadające niezbędny zasób informacji i doświadczenia, urzędy? Ten najprostszy, zdawałoby się, układ: województwo — powiat? Za-

stąpiono to układem województwo — gmina, rozdrabniając i jednocześnie rozbudowując administrację w setkach miast i wsi. W Piotrkowie widziałem długie szeregi autokarów, którymi codziennie dowożono do pracy urzędników z Łodzi. Do urzędów gminnych oddelegowano innych — ten ogromny młyn administracyjny angażował setki nowych ludzi, zapisywano tony papieru. W jakim normalnie funkcjonującym państwie, opartym o zasady zdrowej ekonomiki, o zdrowy rozsądek — zdecydowano by się na podobną zabawę? Prędzej czy później społeczeństwo musiało zapłacić za to. Prawdopodobnie płaciliśmy już czerwoną podwyżką.

Wtedy, w Piotrkowie, widziałem tylko dziesiątki oczekujących na urzędników autokarów i jeszcze przemalowany budynek Rady Narodowej — teraz Urzędu Wojewódzkiego. Z żółtego przemalowali na niebieski.

Żał było odchodzić z Ignacowa. Był to moment, kiedy — po kilku latach wspólnej pracy, zwłaszcza pracy w trudnych warunkach — najlepiej poznaje się ludzi. Kiedy nagle zaczynasz rozumieć, czym jest dla ciebie ta praca. Te wszystkie szumne słowa — „przyjaźń”, „wspólnota”, „więź” — nagle istotnie zaczynają coś znaczyć. I oto musisz odejść. Żał mi było moich gospodarzy, z którymi żyłem się. Przyjaciół: Adama — młodego inżyniera, jak mi się zdawało niewiele starszego od mego syna, innych młodych przyjaciół, Dariusza, Włodzimierza. Inżyniera M., z którym przyjechaliśmy wtedy, w grudniu 1973 roku, służbową nysą i razem oglądaliśmy plac pod przyszłą bazę, cały w śniegu. I razem chodziliśmy od chaty do chaty szukając odpowiednich pomieszczeń na biuro i kwatery. Należał do tych, tak samo bez reszty oddanych pracy ludzi, jak M., którego wysłano do Libii. Zostawali tu majster Podsiadło, pan Jaś i jego matka meliniarka. Kierowcy z bazy, którzy przychodzili do mnie, żeby poradzić się nie tylko w sprawach zawodowych. Tej atmosfery stałego napięcia, niepokoju, wysiłku, jakiego wymaga praca na każdej budowie.

Żał mi było w końcu okolicy — pozornie tak nieciekawej, płaskiej, mało zalesionej, z wiecznie tonącymi w błocie lub kurzu drogami przez pola. Wieczorami chodziłem na łąki nad Luciążą — obok starego młyna, dalej, gdzieś w stronę sulejowskich lasów. Czajki zrywały się z gniazd i z krzykiem krążyły nade mną. Córka sąsiadów znalazła i karmiła w tym czasie młodą sowę. Ta sowa otwierająca i zamykająca wielkie brązowe oczy. I to jeszcze zapamiętałem z Ignacowa.

Jak przed kilku laty, kiedy zacząłem pisać „Melinę”, i teraz wyjechałem na Mazury. Znajomy leśniczy wynajął mi pół domu

w Krutyni — mazurskiej wiosce. Tu na dobre zacząłem pisać „Trzecie kłamstwo” — moją drugą powieść — powieść, która, jak dziś sędzę, nie spełniła nadziei, jakie z nią wiązałem. Miała to być spowiedź — wyznanie mego pokolenia, młodych inteligentów — wychowanków Polski Ludowej, ludzi próbujących tu i teraz znaleźć swoje miejsce, uzasadnienie dla własnej egzystencji, nawet za cenę akceptowania systemu i fałszu jaki niesie. „W takim a nie innym świecie przyszło nam żyć” — mówi jeden z bohaterów tej powieści — „Nie ma innej drogi”.

Ta historia dwóch przyjaciół z czasów wspólnych studiów na Politechnice Warszawskiej — dwóch młodych inżynierów pracujących na wielkiej budowie — opisanie ich losów i dokonanych wyborów (jeden ostatecznie buntuje się przeciwko zakłamaniu i nieuczciwości, drugi akceptuje rzeczywistość) miała być, jak sądziłem, pierwszą taką próbę w polskiej literaturze współczesnej — próbą napisania czegoś więcej ponad losy nieudaczników życiowych, ludzi z marginesu, jak mówiono, lub ludzi wymyślonych i żyjących w świecie nieistniejącym.

Byłem realistą — mogłem pisać tylko o tym, co przeżyłem, widziałem i co w końcu istotnie obchodziło mnie, bolało lub złościło. Dlatego podjąłem tę próbę opisanego życia ludzi z mego pokolenia, a mówiąc językiem Antoniego Chojackiego, pokolenia „Antykolumbów” — ich problemów, ich dokonań w świecie „w jakim przyszło im żyć”. Później wielokrotnie zastanawiałem się, dlaczego ta powieść, poza niewielkim oddźwiękiem, nie znalazła uznania — przeszła jakby niezauważona? Nie była gorzej napisana od „Meliny”, przeciwnie — myślę, że lepiej — a przecież rezonans „Meliny” był większy. Myślę, że gdyby „Trzecie kłamstwo” wyszło tu, w kraju — trafiłoby w końcu do ludzi, którym sprawy tam opisanie były bliskie, problemy znajome, rzeczywistość znana. Wydana w lutym 1980 roku w Instytucie Literackim w Paryżu, w przededniu wielkich przemian w kraju, trafiła do rąk ludzi, dla których problemy w niej przedstawione mogły być obce lub nieistotne, a opisywany świat zupełnie nieznanym. Myślałem także później, że nad moimi książkami — i „Cudowną meliną” i „Trzecim kłamstwem” — ciąży przedziwne fatum. Jakby zatrzymywane były w pół drogi przed normalnym życiem, rozgłosem, rezonansem, jakby musiały pozostać w cieniu. W styczniu 1982 roku „Trzecie kłamstwo” prawdopodobnie ukażałoby się w serii „Biblioteka Solidarności”, przygotowywanej przez Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych. Skład rozsypano po 13 grudnia. „Melina” miała ukazać się w „Czytelniku”...

W Krutyni, dokąd jeździłem pisać na długie tygodnie jesienią i na wiosnę, chodziłem na spacerzy do lasu, nad jezioro Mukier. Tę nazwę pamiętałem z dzieciństwa. W 1948 roku mieszkali tu jeszcze w większości Mazurzy. Chłopcy w moim wieku, z którymi grałem w piłkę, między sobą rozmawiali po niemiecku. Horst, Manfred, Willi, Zoni. Razem z nimi chodziłem na raki i ryby do lasu nad „czarcie jezioro” — „Teufelsee”. Później, kiedy przyjechałem tu w 1957 roku, połowy z nich już nie było. Mieszkałem u Wilhelma Podświadka — byłego żołnierza Wehrmachtu, który w 1939 roku występował jako tłumacz w czasie przesłuchiwania jeńców polskich. To on opowiadał mi, jak w 1941 roku, w czasie pochodu niemieckiego na Wschód, ludność rosyjska stawiała bramy powitalne na cześć niemieckich żołnierzy. — Hitler to był bardzo głupi gość — kiwał głową Wilhelm Podświadek.

Po kilku latach i on wyjechał do RFN. W latach siedemdziesiątych, kiedy znów wróciłem do Krutyni, nie było już prawie nikogo z dawnych znajomych. Może jeden Horst Cieślík — drwał, ale i on później wyjechał. Teraz już tylko na leśnych, opuszczonych cmentarzach mogłem czytać znajome nazwiska Mazurów: Dąbrowski, Majewski, Szczepke, Jedamczyk, Cieślík. I można było smutno uśmiechnąć się przed napisem: „Meine liber mutter Wilhelmine Nedza geborne Kielbasa”...

Wśród nowych przybyszów, Kurpi, którzy przeszli przez dawną granicę jak przez miedzę i tłumnie zaludnili opuszczone pomazurskie domy, często w bezprzykładny sposób dewastując i niszcząc, czułem się obco. Jeszcze z dzieciństwa pamiętałem migotanie lamp naftowych w oknach cichej Krutyni, melodię piosenki wygrywanej na ustnej harmonijce, kiedy wieczorami płynęliśmy łódką po mrocznej rzece. Teraz przed wielką knajpą w sercu Krutyni, nad rzeką paliły się jarzeniowe latarnie, stary drewniany most zastąpiono betonowym, a nocą niosły się nad wodą pijackie krzyki. Uciekałem do lasu, zabierając na spacerzy psa-przybłądę, sukę Żulkę, którą, jak mi powiedziano, ktoś przywiązał drutem do drzewa w lesie. I wyjechał do miasta. Odwiązana, została bezpańskim psem — chodziła na spacerzy z letnikami, spała w jamach wykopanych obok stodół. Przywiązała się do mnie i kiedy przyjeżdżałem po kilku tygodniach nieobecności — przybiegała na podwórko pod mój wynajęty domek, na pierwszy gwizd.

Zaczął się dla mnie, jak wspominałem, czas „konspiracyjnego pisania”. Od chwili tamtej rewizji w Ignacowie zdałem sobie sprawę, że jestem pod stałym nadzorem SB — gdziekolwiek nie pojedę, cokolwiek będę robił, oni zawsze będą się wciskać w moje

życie. Czasem wmawiałem sobie, że to przesada, megalomania — po cóż akurat mnie mają poświęcać tyle uwagi — mało innych, ważniejszych spraw? Wtedy zawsze powracało jak ostrzeżenie: najazd kilkunastu funkcjonariuszy na spokojny domek w Ignacowie. Telefon sprawdzający, gdzie w tym momencie jestem (telefon od niby-przyjaciela). Pisałem w osaczeniu. Wyjeżdżając samochodem po sprawunki do Mrągowa zabierałem do bagażnika rękopisy i maszynopisy „Trzeciego kłamstwa” — wszystko, co miałem. Nie ruszałem się bez tej książki nigdzie. Później, zimą, kiedy kończyłem przepisywanie pierwszej wersji powieści w domu ZAIKS-u w Krynicy — nosiłem złożone kartki maszynopisu i zeszyty poutykane po kieszeniach.

„Trzecie kłamstwo” pisałem do wiosny 1979 roku i zaraz po przepisaniu udało mi się wysłać maszynopis do Francji. Dopiero wtedy odzyskałem spokój.

Dwa lata wcześniej, w styczniu 1977 roku, dla wielu z nas, piszących w Polsce Ludowej, zaczął się nowy etap. Powstała nowa sytuacja, którą — używając języka marksistów — można by nazwać sytuacją rewolucyjną. Mówię o „nas”, ponieważ pod koniec lat siedemdziesiątych, jak wiadomo, coraz więcej ludzi dotkniętych było wpisami na „czarną listę” cenzury, z nieodwołalnym zakazem druku w państwowych pismach i wydawnictwach. Każdy z licznych protestów, listów podpisywanych zbiorowo, oświadczeń — powodował nowe represje i zapisy. W atmosferze rosnącego oporu wobec sztywnego stanowiska władzy — z datą „styczeń 1977 rok” — ukazał się pierwszy numer niezależnego kwartalnika literackiego, nie podlegającego cenzurze. Tytuł pisma — *Zapis* — nawiązywał do formy dyskryminacji. Ten pierwszy numer, w którym było i moje opowiadanie „Drzewo pana Jezusa”, przyniósł mi Marek Nowakowski. Był to gruby maszynopis na zielonej przebitce, oprawiony w sztywne okładki. Oglądałem go ze wzruszeniem. Rozumieliśmy, że kończyła się epoka uległości i ustepliwości wobec wszechobecnej cenzury. Pierwszy krok, ale w tamtych czasach był to krok olbrzymi — na miarę rewolucji.

W lutym lub marcu spytano mnie, czy chciałbym włączyć się do pracy zespołu redakcyjnego. Zgodziłem się chętnie.

Dla kogoś, kto traktował pisanie jako państwową posadę, *Zapis* był alternatywą nie do przyjęcia. Można było stracić wszystkie przywileje, jakie dawał status literata państwowego. Możliwość druku w pismach i wydawnictwach państwowych. Narażało się na cofnięcie złożonych w drukarniach książek, rozwiązanie lub odrzucenie przygotowanych umów wydawniczych. Bło-

kadę wznowień. Więcej — nazwisko człowieka, który zdecydował się na druk w *Zapisie*, mogło być wykreślane we wszystkich tekstach literackich, w omówieniach i recenzjach. Szczególnie młodzi poeci i prozaicy tracili dużo: nim zaczęli istnieć w literackim obiegu oficjalnym, byli skreślanii. A przecież wielu młodych decydowało się na ten krok.

Dla mnie w tamtym czasie najwięcej znaczyły dwie sprawy: powieść „Trzecie kłamstwo”, której ostateczną wersję napisałem w roku 1978 i praca dla *Zapisu*. Jednocześnie próbowałem nadal wydrukować cokolwiek oficjalnie. Mimo wszystko oficjalny obieg dla wielu z nas pozostawał czymś, jak wizja normalnego życia dla uchodźcy. I oto niespodziewanie, w połowie roku 1977, już po pierwszych numerach *Zapisu* z moimi opowiadaniem, w sierpniowym numerze *Tygodnika Powszechnego* ukazał się fragment „Trzeciego kłamstwa” — rozdział pt. „W rodzinie Goleniów”. Zdaje się, że redaktorzy *Tygodnika* sami byli zaskoczeni niespodziewaną zgodą cenzury. Dziś, po latach, wszystkie fakty z tamtego czasu wydają się powiązane. To niespodziewane przyzwolenie na pewno nie było przypadkowe.

Tekst wysłałem do *Tygodnika* dość dawno, na co dostałem odpowiedź redaktora Turowicza, że będą próbowali drukować, ale w „odpowiednim czasie”. Później mogli sądzić, że istotnie wybrali dobry moment, ale chyba decydował i pomógł tylko *Zapis*. Władza przyjęła taktykę kokietowania, zachęcania do druku w prasie oficjalnej. Być może podzielili autorów *Zapisu* na dwie grupy: tych spisanych „na straty” i tych, których warto było przeciągnąć na swoją stronę. Zapewne trafiłem do tej drugiej grupy. Ale wszystko to była taktyka, gra. Ze tak było, przekonałem się pod dwóch rozmowach w PIW-ie, do którego wysłałem kilka opowiadań z propozycją złożenia tomu. Wybrałem PIW, ponieważ „Czytelnik”, zwłaszcza po sprawie „Meliny”, wydawał mi się bardziej tchórzliwy, mniej samodzielny.

Po dwóch lub trzech tygodniach otrzymałem krótkie pismo odrzucające moją propozycję z powodu „nierównego poziomu artystycznego złożonych opowiadań”. Wówczas wysłałem żartobliwy list, proponując wydanie „Cudownej meliny” jako książki, przed kilku laty przyjętej przez Spółdzielnię „Czytelnik”, a więc nie budzącej zastrzeżeń pod względem artystycznym, a jedynie zablokowanej przez cenzurę. Na ten mój żart niespodziewanie zareagował Andrzej Wasilewski. Otrzymałem propozycję spotkania w redakcji celem omówienia sprawy wydania tomu poprzednio złożonych opowiadań. Wyjaśniał przy okazji, że kiedy opowiadania odesłano mi, nie było go w Warszawie. Byłem mile

zaskoczony i jak zwykle naiwny. Miałem istotnie nadzieję, że moje opowiadania interesują PIW naprawdę, że jako jeden z pierwszych, obłożonych zapisem cenzury, mam teraz szansę włączenia się ponownie w oficjalny nurt. Oto władza zmienia błędną taktykę wobec autorów o tak zwanych niezależnych poglądach!

Pierwsza rozmowa z Andrzejem Wasilewskim, w jego gabinecie przy ulicy Foksal, wydała mi się dość obiecująca. Wystuchał uprzejmie wszystkich moich uwag i pretensji odnośnie polityki wydawniczej władz, wprowadzonych restrykcji i zapisów, tych wszystkich szykan stosowanych wobec ludzi zgrupowanych choćby wokół *Zapisu*. Była to, o ile pamiętam, swobodna rozmowa i chyba wówczas, jeden jedyny raz, udało mi się szczerze porozmawiać z człowiekiem niewątpliwie kompetentnym, mającym wpływ na kształtowanie tej właśnie polityki, którą krytykowałem. Być może i Wasilewski miał sposobność swobodnego porozmawiania z kimś z drugiej strony, a było to w czasach, kiedy jeszcze można było rozmawiać, kiedy jeszcze nie wszystkie mosty były spalone, nie dzieliło nas tyle, ile dziś dzieli. Pamiętam, że mówiłem o *Zapisie* jako o alternatywie, która zmieniła sytuację o sto osiemdziesiąt stopni: został przełamany monopol państwowy i jeśli ktoś znajdzie się w takiej sytuacji, w jakiej ja sam znalazłem się przed czterema laty, kiedy „Melinę” odrzucono z powodów politycznych — będzie drukował u nas. Przy tym odpadnie zarzut współpracy z „wrogimi ośrodkami” za granicą. To jest inicjatywa nasza powstała w kraju jako alternatywa na wypadek nieprzejednanego stanowiska cenzury. Mówiłem o kolegach, których sprawy znałem na tyle, aby mówić, którzy po podpisaniu protestu lub oświadczenia w jakiejś sprawie (na przykład protestu w sprawie poprawek do Konstytucji), zostali „ukarani” zakazem druku tekstów literackich. Wymieniłem Marka Nowakowskiego, Wiktora Woroszyńskiego i Jacka Bocheńskiego. Może kogoś jeszcze? Dziś już nie pamiętam.

Wasilewski sprawiał wrażenie człowieka autentycznie zatroskanego sytuacją. Szukającego wyjścia, nie akceptującego twardej polityki — tego łańcucha represji i bezustannych zapisów, jaki stosowała władza. Wtedy powszechnie łączono z tym twardym kursem osobę Łukaszewicza, członka Biura Politycznego. Naiwnie przypuszczałem, że Wasilewski, sam członek KC, reprezentuje kurs liberalny, dostrzega niebezpieczeństwo i nie chce dalszych represji. Uzgodniliśmy, że przyjdę za kilka dni z maszynopisami opowiadań, aby podpisać umowę. Tak rozumiałem cel pierwszej rozmowy i tak postąpiłem. Po tygodniu, z teczką w której przyniosłem opowiadania, ponownie zjawiłem się u Wasilewskiego.

Później — rozmyślając o tym drugim spotkaniu — przypomniałem sobie wszystkie relacje o kontaktach z sowieckimi śledczymi, zwłaszcza tymi na wysokich szczeblach: ludźmi kulturalnymi, wykształconymi, inteligentnymi i sympatycznymi. Ale przecież jest próg, po przestąpieniu którego nagle miły człowiek staje się twardy i bezwzględny — jest znów tylko śledczym. Zza okularów nie patrzy już na ciebie wzrokiem kulturalnego intelektualisty, ale twardym spojrzeniem policjanta. Ten próg przekroczyłem w gabinecie Andrzeja Wasilewskiego w czasie drugiej rozmowy. Na wstępie podyktował mi podanie do PIW-u w sprawie składanego tomu opowiadań: to, że składam osiem, a dalsze dostarczę w ciągu kilku czy kilkunastu miesięcy. Zaproponował stawkę, na którą wyraziłem zgodę — cały czas naiwnie przypuszczając, że chodzi istotnie o wydanie tomu moich opowiadań bez względu na okoliczności i bez żadnych dodatkowych warunków. Ale oto, w chwili kiedy sekretarka przyniosła formularze umowy do podpisu a ja uniósłem rękę z długopisem, aby te formularze podpisać — pojawił się warunek.

— Jeszcze jedno — powiedział Wasilewski — rozumiem, że podpisując z nami umowę rezygnuje pan z drukowania w *Zapisie*.

Zamurowało mnie. Ręka z długopisem opadła. Daleko zaszedłem z tą swoją naiwnością! Z daleka musiałem wracać. Powiedziałem, że na taki warunek nie mogę się zgodzić. — Jeżeli znikną w ogóle przyczyny, które doprowadziły do powstania *Zapisu* — nikt z nas nie będzie tam drukował, to jasne. *Zapis* nie będzie potrzebny, ale teraz — jakże tak? Co w ogóle Andrzej Wasilewski mi proponuje? Jak wyglądałbym wobec kolegów, wobec przyjaciół?

To wtedy popatrzył na mnie zza okularów oczami śledczego. Zniknął dobrośliwy uśmiech.

Zabrałem maszynopisy opowiadań po raz drugi. Powiedziałem „do widzenia”. Nawet rąk sobie nie podałyśmy. Wyszedłem z PIW-u na ulicę Foksal z uczuciem podobnym, jak po wizycie w pałacu Mostowskich. Dałem się nabrać. Doszukiwałem się znowu dobrej woli, czegoś więcej ponad taktkę, ponad grę! Dopiero teraz zrozumiałem, że to dziwne zaproszenie do PIW-u było tylko taktycznym posunięciem. Próbą wyrwania niektórych z nas z kręgu tworzącego się niezależnego ruchu literackiego. Miałem w tym odegrać wyznaczoną rolę. Nie chodziło na pewno o moje opowiadania, co do których Wasilewski nie miał nic do powiedzenia. Kulturalny wydawca, miła rozmowa, szczerość za szczerość. A potem nagle — pałac Mostowskich!

Z PIW-em miałem później jeszcze jeden kontakt, ograniczony właściwie do wymiany korespondencji. Jeszcze raz złożyłem i zabrałem maszynopis książki. Po skończeniu „Trzeciego kłamstwa”, aby — jak sądziłem naiwnie — uniknąć zarzutu, że książkę wydałem za granicą, nie próbując w ogóle rozmowy na ten temat w kraju, złożyłem maszynopis w PIW-ie. Sam zaniósłem. Na kopii krótkiego pisma do wydawnictwa przystawiono mi pieczętkę z datą złożenia. Wyznaczyłem w tym piśmie termin, po którym będę czuł się zwolniony od czekania na odpowiedź.

„Trzecie kłamstwo” pisałem bez żadnej autocenzury. Starałem się pokazać w tej książce obraz gierkowskiej Polski drugiej połowy lat siedemdziesiątych, bardzo gorzki, bardzo pesymistyczny. Nie było w niej miejsca na dobroć, nadzieję. A więc złudzeń nie miałem, ale też nie spodziewałem się reakcji PIW-u takiej, jaka nastąpiła. Przysłano mi recenzję Witolda Nawrockiego — wówczas chyba docenta na Uniwersytecie Śląskim — prawdopodobnie specjalisty od „antysocjalistycznej literatury”. Widocznie za próbkę takiej literatury uznano „Trzecie kłamstwo”.

Aby wszystko było mniej zrozumiałe do miażdżącej recenzji Nawrockiego załączono list, w którym proponowano „dalsze pertraktacje”, gdybym skłonny był dalej pracować nad książką. Odpisałem, że wobec treści recenzji, a także zdania, że „lektorzy wydawnictwa dzielą opinię recenzenta” — nie widzę realnej możliwości wydania „Trzeciego kłamstwa” w PIW-ie, wobec czego maszynopis zabieram.

* Warto przytoczyć fragment tej recenzji — jest w niej zapowiedź stylu artykułów przyszłego kierownika Wydziału Kultury KC, atakującego po grudniu 1981 Związek Literatów i niezależną literaturę. Ten sam napastliwy ton:

„Motywacje moralne, intelektualne, najprostsze nawet motywacje psychologiczne w tym czarnym komiksie z życia sfer urzędniczo-inżynierskich nie istnieją, tak jak nie istnieją żadne argumenty dla moralnej dekompozycji środowiska robotniczo-szoferskiego. Intencja miała być jasna — na tej płaszczyźnie miał być ukazany przykład degrengolady moralnej, politycznej, zawodowej współczesnych Polaków. (...) Ta ponura baśń odbija po prostu pewien stan umysłu wyzwolonego z reguł logicznego myślenia, wyrasta z świadomości pozbawionej kontroli intelektualnej, z pisarskiego trudu, którego celem było stworzenie wizji odpowiadającej potocznemu, maglanemu myśleniu i wydanie ekskomuniki na ten świat z tego samego poziomu. Powieść Orłosa jest żalosnym efektem utraty samokontroli intelektualnej... (...) Każda patologia wymaga objaśnienia, zrozumienia mechanizmu, który umożliwił jej powstanie, z zawartością systemów patologicznych nie sposób polemizować. Starałem się tylko ukazać kulturową genezę tego utworu i opisać myślowe wiązania tej czarnej baśni ze światem, który nie istnieje”.

„Ze świata który nie istnieje”! A niechby towarzysz Nawrocki popracował kilka lat na budowach socjalistycznej ojczyzny i dopiero wtedy pouczał!

Kiedy Jacek Bocheński na nadzwyczajnym zebraniu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, zwołanym w sprawie obrony aresztowanego na początku roku 1980 Mirosława Chojeckiego, mówił o *Zapisie*, potrząsając trzymanym egzemplarzem naszego pisma — mieliśmy już za sobą trzy lata egzystencji. Wśród zgromadzonych niewielu było zapewne takich, którzy *Zapisu* nie czytali lub o *Zapisie* nie słyszeli.

Pierwszym redaktorem naczelnym, lub raczej koordynującym, ponieważ formalnie redaktora naczelnego nie mieliśmy — był Wiktor Woroszyński.

Woroszyńskiego widziałem przedtem kilkakrotnie, ale nie znałem bliżej. Z dawnych lat, wyniesiona z czasów stalinowskich, pozostała we mnie pewna rezerwa, jeśli nie niechęć, do całego pokolenia, które Woroszyński reprezentował. Do tych wszystkich ZMP-owskich poetów, prozaików, atmosfery tamtych lat, kiedy byłem bardzo młody i na całe życie pewne fakty zapadały w pamięć. Kilka osób z mojej rodziny siedziało w więzieniach stalinowskich albo przeszło przez sowieckie łagry. Mego ojca systematycznie wzywano na przesłuchania. Chodziłem do gimnazjum imienia Reytana w starym budynku na Rakowieckiej, obok czerwonych murów więzienia, w którym rozstrzeliwano AK-owców. A tu ci wszyscy płomienni ZMP-owcy-literaci deklamowali o Stalinie, leżeli plackiem przed Związkiem Sowieckim i tak dalej. Wiadomo jak było. Wprowadźcie stosunek i mój i wielu kolegów był sceptyczny do tego entuzjazmu — pamiętam np., jak podczas głośnego czytania fragmentów „Przy budowie” Konwickiego pokładaliśmy się ze śmiechu — ale przecież jednocześnie większość moich kolegów nosiła czerwone krawaty, brała udział w zebraniach, szła w pochodach krzycząc. I to kielkujące „dwójmyślenie”, ta trucizna zaszczipiona na lata... Otóż Woroszyński — i nie tylko on spośród moich starszych przyjaciół z *Zapisu* — kojarzył mi się z tamtym czasem. Z czasem czerwonego muru więzienia mokotowskiego i kłującej w oczy czerwieni sztandarów. Czasem skandowania i oklasków. I płaczu — autentycznego płaczu — po śmierci Józefa Stalina. Stąd moja rezerwa.

Ta rezerwa była irracjonalna przecież, bo w końcu — zwłaszcza po przeczytaniu „Dziennika węgierskiego”, wstrząsającego dokumentu — rozumiałem już, że Woroszyński, tak jak wielu innych z jego pokolenia, łudził się, błędził, zapewne szukał w swojej młodości naiwności wiary i nadziei na lepszy świat. I potem, być może w Budapeszcie, zrozumiał ostatecznie, że tamto wszystko było fasadą, czerwonym transparentem, makietą, jak wioska potiomkinowska. Za tą makietą były czołgi, dymy pło-

nącego Budapesztu, śmierć. Musiał przeżyć wstrząs — głęboki wstrząs. Oto moja teoria metamorfozy ludzi z pokolenia Woroszyńskiego. Być może zbyt upraszczam problem, ale przecież wierzę, że każdy z nich przeżył w pewnym momencie wstrząs i ten wstrząs był źródłem oczyszczającym. Zresztą późniejsze lata i doświadczenia potwierdzałyby tę teorię odchodzenia od komunizmu po wstrząsach: ilu zwątpiło po marcu 1968 roku, po grudniu 1970 roku, ilu dotrwało do teraz? Przełomy, wstrząsy, jakie przeżywalismy, z reguły rujnowały fasadę i ludzie ci nie mogli dłużej nie widzieć, co było za fasadą. Tylko najbardziej naiwni lub najbardziej cyniczni mogli udawać, że nic nie widzą.

Często zastanawiałem się, dlaczego żaden z nich — poetów i prozaików ery stalinowskiej — nie zdecydował się, z własnej inicjatywy, na szczere opowiadanie o tym, jak przychodzili i jak odchodzili. Na opisanie siebie z tamtych lat, kiedy skandowali „Stalin, Stalin!”, podczas gdy ich rówieśnicy z AK ginęli w więzieniach. Kiedy Kazimierz Moczański był torturowany na kilkadziesiąt różnych sposobów, a cichociemni umierali w łagrach. Dlaczego nie potrafili powiedzieć prawdy o sobie — bez niedomówień, bez przemilczeń, bez tego dziwnego ściskoszczęku? Marnowali wielki temat, ale mniejsza już o to: pozostawała zadra, która przy wielu okazjach dawała o sobie znać. Cięż, rezerwa, niechęć ukrywana za ich plecami.

Jeśli chodzi o Woroszyńskiego, moja rezerwa znikła wkrótce, kiedy — po kilku pierwszych zebraniach zespołu *Zapisu*, najczęściej w jego mieszkaniu — dostrzegłem, jak głęboko zaangażował się w to, co robiliśmy. Można chyba powiedzieć, że wszyscy wtedy braliśmy udział w walce przeciwko fasadzie pozorów naokoło. Chodziło o odślanianie prawdy, przywracanie właściwego znaczenia słowom, wypowiadanie słów zabronionych. Woroszyński, jak być może żaden z nas, głęboko przeżywał tę próbę. Był także, jak zorientowałem się wkrótce, bardzo dobrym redaktorem-koordynatorem, aby nie użyć określenia „redaktorem naczelnym”. Myślę, że pierwszy numer *Zapisu* — to, że w ogóle pismo rozwinęło się, przetrwało ten najbardziej niepewny okres początkowy — jest zasługą Woroszyńskiego. Przez wiele miesięcy, kosztem własnej twórczości (o czym zresztą kiedyś powiedział mi), pracował wyłącznie dla *Zapisu*.

Na zebrania przychodziło zwykle kilka tych samych osób: Barbara Toruńczyk (jako sekretarz redakcji), Adam Michnik, Tomasz Burek, Jacek Bocheński, Jerzy Ficowski, Jakub Karpiński. Czasem przyjeżdżali Barańczak i Krynicki z Poznania. Często burzliwe rozmowy, dyskusje na temat kontrowersyjnych tekstów,

powstające różnice zdań — wymagały głosowania. Ta demokratyczna zasada rozwiązywania spornych kwestii przestrzegana była do końca.

Od numeru ósmego funkcję redaktora koordynującego przejął Jacek Bocheński. Spotykaliśmy się w jego mieszkaniu na Ursynowie, w ogromnym bloku, przy którym — w miejscu dawnych, uprawianych „na dziko” ogródków — dziś są wykopy metra. Przychodziliśmy do Bocheńskiego już w szerszym składzie. Oprócz starych redaktorów pojawili się nowi: Andrzej Drawicz, Kazimierz Brandys, Zbigniew Herbert. Funkcję sekretarza od Barbary Toruńczyk przejęła Teresa Bogucka.

Bocheński, podobnie jak Woroszyłski, poświęcił cały swój czas dla pisma — również kosztem własnej twórczości. W latach 1979-1980 nakład wynosił od dwóch do trzech tysięcy egzemplarzy. Byliśmy czytani w kraju i na emigracji. W Londynie wydawała *Zapis* organizacja walcząca z cenzurą — „Index on Censorship”. Różnokolorowe egzemplarze, w błyszczących okładkach, na kredowym papierze, trafiały czasem do nas, wywołując zdumienie: czy to możliwe, aby tak wyglądało pismo, którego pierwszy numer, przepisany na maszynie, krążył z rąk do rąk?

Wydrukowałem w *Zapisie* kilka opowiadań z późniejszego tomu „Pustynia Gobi”, także kilka tekstów publicystycznych. Mój udział sprowadzał się do obecności na zebraniach (na których nie zabierałem zbyt często głosu), do różnych organizacyjnych działań — zbierania materiałów, redagowania niektórych tekstów. Jedno lub dwa zebrania redakcyjne odbyły się w moim mieszkaniu.

Zapewne byliśmy pod stałą obserwacją, jakkolwiek żadne z naszych zebrań nie zostało zakłócone. Dochodziły tylko sygnały ostrzegawcze. Od znajomego, który pracował niedaleko bloku, w którym mieszkalem, dowiedziałem się, że pewnego dnia zjawiała się SB rekwirując na kilka godzin pokój naprzeciwko okien mego mieszkania. Skojarzyłem to później z datą zebrania. Mieli dobry punkt obserwacyjny. Wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy z wszechobecnej kontroli. Dominowało poczucie bezpieczeństwa.

Na niektóre zebrania przychodzili najbardziej narażeni na represje — przedstawiciele „pionu technicznego”: Mirosław Chojecki i Konrad Bieliński. Były to lata, kiedy cały ciężar drukowania wydawnictw niezależnych niosło kilku ludzi: Chojecki, Boguta, Bieliński. Niezależna Oficyna Wydawnicza była wielkim monopolistą. Wydawało mi się, że w oczach tych ludzi, już wtedy

stałe żyjących w osaczeniu, dostrzegam to, co później widziałem w oczach działaczy „Solidarności”: zawziętą determinację.



Na wiosnę, w maju lub czerwcu, spotkałem na Krakowskim Przedmieściu Barbarę Toruńczyk. Niosła ogromnych rozmiarów torbę, jak wydało mi się ciężką i niewygodną do niesienia. Chciałem jej pomóc — proponowałem, że poniosę choć kawałek, ale ona nie zgodziła się. Dźwigała nadal, co nawet było niezręczne dla mnie. Podobno dawniej nosiła maszynopisy przygotowane do kolejnych numerów *Zapisu* — cały sekretariat w jednej torbie. Tak zapamiętałem naszą niebieskooką sekretarkę — na Krakowskim Przedmieściu, objuczoną ciężką torbą. Myślę, że wszyscy wtedy dźwigaliśmy takie torby, tyle że jeszcze objuczeni nadzieją. Zapamiętałem determinację w oczach Chojeckiego i Bielińskiego. I tę pewność, że przecież w końcu coś się stanie, musi się stać — jak długo można tak żyć? Jak długo nosić takie ciężkie torby? Był rok 1980.

ROZDZIAŁ IX

26 sierpnia wsiadłem do pociągu i pojechałem do Gdańska. Atmosferę niepewności i nadziei tamtych dni, przebieg strajku, dzień podpisania porozumień — wszystko opisano w niezliczonych relacjach. Wróć jednak do swoich „Notatek gdańskich” opublikowanych w 17 numerze *Zapisu**.

„26 sierpnia — wtorek. Pusty ekspres piąta czterdzieści z dworca Centralnego. Przyjazd do Gdańska po dziesiątej. Wcześniej patrzę z okna na miasta województwa: Malbork, Tczew, Pruszcz Gdański. Chyba w Tczewie trzepoczą na kominie fabrycznym cztery białoczerwone flagi. Nastrój święta. To samo wrażenie po przyjeździe do Gdańska: odświeżone miasto.

Idę wśród ludzi w stronę stoczni. Brama numer dwa. Przed skrzyżowaniem, już blisko, patrol milicji drogowej zatrzymują samochody. Słychać megafony. Przed bramą tłum gęstnieje. Ludzie stoją jakby w oczekiwaniu na wielkie wydarzenie.

Na metalowych prętach pęki kwiatów. Portret Jana Pawła II. Z lewej strony rozkopany plac, pośrodku krzyż — duży, drewniany. Także kwiaty. Płoną świece. Klęczy kobieta. To w tym miejscu w grudniu 1970 roku zginęło pierwszych czterech stoczników. Później dowiem się, że upadło sześciu — dwóch zostało doczołgać się do portierni.

Krótką rozmowa ze strażą przy bramie. Wpuszczają na teren stoczni tylko z przepustkami. Mówię, że przyjechałem z Warszawy: Związek Literatów, pismo niezależne. Dostają przewodnika.

Szokujące wrażenie: tłum mężczyzn w ubraniach roboczych. Wszędzie szaroniebieskie dreluchy. Stoją w grupach, idą, siedzą na belkach i deskach wzdłuż szerokiej alei.

W hallu budynku, w którym obraduje Międzyzakładowy Ko-

* Tekst znacznie skrócony.

mitet Strajkowy, dostaję przepustkę jednodniową. Później — dzięki pomocy przyjaciół z Koła Młodych ZLP — mam stałą. Ten hall — między dużą salą (gdzie siedzą przedstawiciele strajkujących załóg) a małą (gdzie zasiada prezydium MKS, obradujący eksperci i toczą się obrady plenarne) jest teraz miejscem gorących przygotowań kamerzystów i fotoreporterów przed przybyciem delegacji rządowej. Nastrój oczekiwania. O godzinie jedenastej rozpoczyna się po raz drugi rozmowy z komisją rządową.

Siedzę na skrzynce po butelkach z wodą sodową — w wielkim ścisisku, na końcu dużej sali. Rozmowy są transmitowane przez megafony, także na zewnątrz — na teren stoczni.

Wielka sala: cztery rzędy stołów, na których widać tabliczki z nazwami zakładów. Gęsty dym papierosowy. Dużo osób stoi. Dla wielu delegacji nie ma już miejsca przy stołach — siedzą na krzesłach pod ścianami, przy oknach. Uświadamiam sobie, że ci wszyscy ludzie są tutaj od wielu dni. Powinni być zmęczeni, ale nie widać znużonych twarzy.

Patrzę ponad głowami na statuetkę Lenina na drugim końcu sali. On jeden jakby obojętnie spogląda w okno. Pośrodku, nad stołem prezydyalnym, biały orzeł na czerwonym tle, dalej duży krzyż i dwie flagi: czerwona i biało-czerwona.

Rozmowy rozpoczyna Lech Wałęsa (nie widziałem go jeszcze — słyszę mocny, męski głos): „Nasze zakłady są własnością narodu polskiego. Wiele nam obiecywano. Musimy mieć cierpliwość i dobrą wolę. W związku z nową sytuacją — może pan premier coś przedstawi?”

Zabiera głos Jagielski. Ta i dalsze wypowiedzi wicepremiera nie są przyjmowane dobrze. Sala często reaguje śmiechem. Wobec krótkich wypowiedzi przedstawicieli MKS, przy prostych pytaniach Wałęsy — tu jeszcze mówi się językiem zbliżonym do nowomowy. Długo i niejasno. Omijając sedno sprawy. Często padają stwierdzenia: „tego nie wiem”, „o tym nie mogę decydować” lub „przekracza to moje kompetencje” itp. Czasem wicepremier pyta: „czy mnie słyszą?”. Sala odpowiada oklaskami. W pewnej chwili notuję rzucone mimochodem zdanie: „z okresu więzienia mam chore oczy”. W pierwszym wystąpieniu Jagielski omawia punkty dalsze: „Trzynasty i cztertnasty postulat, słuszne. Szesnasty, siedemnasty i osiemnasty — przyjmujemy do realizacji”. Itd.

Wałęsa proponuje załatwienie pierwszego postulatu: „Akceptacja niezależnych od partii i pracodawców wolnych związków zawodowych...”. Ta sprawa jest najważniejsza. Dalsze punkty „polecać szybko”. „Załatwmy sprawę związków, żeby co dziesięć lat nie strajkować”.

Kilka wypowiedzi przedstawicieli Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Andrzej Gwiazda, inżynier elektronik. Mówi o kryzysach, o skracających się cyklach. „Polacy mają już dość słuchania o błędach i wypaczeniach”. „Tylko jedną czwartą do

chodu narodowego przeznacza się dla społeczeństwa". „Panie premierze, jeszcze niedawno bułka za pięćdziesiąt groszy była większa od pięści. Teraz bułka za dziewięćdziesiąt groszy zmieści się w dłoni". „Po dwudziestu latach pracy dostają pieniądze o mniejszej sile nabywczej niż te, które dostawałem na początku pracy". Aby zdobyć zaufanie społeczeństwa, konieczne jest powołanie nowych związków. Te związki muszą mieć swoje wydawnictwa, aby pisać prawdę, niezależnie czy będzie to wygodne dla kierownictwa, czy nie. Muszą mieć prawo zgłaszania projektów ustaw. Społeczeństwo oczekuje od rządu obietnicy, że nowe związki nie będą napotykały na trudności przy rejestracji. Wolne związki gwarantują ratyfikowane przez Polskę konwencje nr 87 i 98 Międzynarodowej Federacji Pracy.

Florian Wiśniewski, starszy mistrz budowlany. Zaczyna od przypomnienia faktu, że przy podejmowaniu ważnych dla kraju decyzji brak reprezentacji ludzi pracy. Ludzie nie decydują o podziale dochodu narodowego. Plany są narzucane. Marnowane pożyczki. Brak energii, transportu — ogromne straty powodują stałe przestoje. Pada zdanie, które podkreślam grubą kreską: „Złe rządzenie kosztuje więcej niż strajki". I dalej: konieczna jest reforma gospodarcza. Władza nie ma poparcia wśród robotników. „Wyjście z kryzysu będzie możliwe tylko przy pomocy i udziale wolnych związków zawodowych".

Lech Sobieszek z „Siarkopolu". Mówi o zaniepokojeniu, jakie budzą sugestie zawarte w wypowiedziach przedstawicieli rządu, że rozmowy ograniczone są do terenu województwa gdańskiego. „Apeluję do panów serc, tu chodzi nie o dobro panów (podkreślam słowo „panów"), ale o dobro Polski, wszystkich Polaków". I ostrzeżenie: „Możemy doprowadzić do strajków w całej Polsce".

Po przerwie nowe spięcie między przewodniczącymi delegacji. Lech Wałęsa domaga się męskiej odpowiedzi: „Będą wolne związki, czy nie?". Po raz pierwszy wicepremier wypowiada zdanie, które być może znaczy dużo: „ja wcale nie obstaję przy starych związkach".

Ustalenia: sprawa punktu pierwszego będzie omawiana przez ekspertów. Zostanie sprecyzowane wstępnie (niezobowiązująco) wspólne stanowisko, które następnie zostanie przedyskutowane na spotkaniu plenarnym.

Na tym obrady zostają przerwane. Wałęsa prosi o „kontynuowanie rozmów w dniu dzisiejszym", ale rozmów już nie będzie. Delegacja rządowa opuszcza budynek wśród szpaleru stoczniovców. Odjeżdżają wielkim autobusem w kierunku pierwszej bramy — tej, przed którą nie gromadzi się tłum.

Po południu słucham wypowiedzi grupy stoczniovców — przypomina to zbiorowy wywiad. Nie ma tylko pytań (może były na początku rozmowy?). Podchodzę do dużej grupy — ludzie stoją stłoczeni — jeden kończy, drugi zaczyna. Ten zbiorowy wywiad nagrywany jest przez ekipę polskiego filmu dokumen-

talnego. Kieruje zespołem Bogdan Kosiński. Kamerzysta — Jacek Petrycki — filmuje twarze. Powtarzający się motyw wypowiedzi: nie ma powrotu do starego. Nie ustąpimy. Ile razy można zaufać? Słowa — obietnki dla naiwnych. Musimy mieć pewność, musimy mieć gwarancje, że nie powtórzy się to, co było.

Notuję niektóre zapamiętane zdania: „Mam trzydzieści dwa lata i trzydzieści procent utraty zdrowia". „Na mieszkanie czekam od dwunastu lat. Przed kilku laty byłem już trzeci na liście, teraz jestem dwudziesty. Jak to jest: zamiast być bliżej przydziału — cofam się?". „Niedawno wyładowywano ze statku Toyoty. Dla kogo te wozy? Dla nas?". „Ci co mają dobre układy, znajomości, koleżków — mają wszystko. A my?".

Kiedy stoję wśród nich i słucham, jak mówią, uświadamiam sobie, że ich protest jest ostateczny: nie cofną się, nie ustąpią.

O szóstej wieczorem msza — dzień święta Matki Boskiej Jasnogórskiej. Ołtarz ustawiono na terenie stoczni blisko głównej bramy. Szeroką aleję wypełnia szary tłum mężczyzn. Kolorowy tłum stoi za bramą — na ulicy, wokół drewnianego krzyża. Przychodzę pod koniec nabożeństwa. Jest kawałek miejsca na platformie wózka dostawczego. Daleki ołtarz wydaje się mały nad głowami tłumy stoczniovców. Wzdłuż alei rząd topoli — kiedy na chwilę cichną głosy modlących się lub milknie śpiew — słychać szum liści. Ksiądz zaczyna odmawiać „Wierzę w Boga", a tłum mężczyzn mówi dalej: „Ojca wszechmogącego, stworzyciela nieba i ziemi...". Później śpiewają „Ty nam błogosław". Na zakończenie długa litania do Matki Boskiej i „Boże coś Polskę" z prośbą „Ojczyźnie wolność racz przywrócić Panie!".

Patrzę na dwa wieżowce za bramą — podobno mieszkają tam specjaliści sowieccy, ci którzy odbierają budowane dla Związku Sowieckiego statki. Przez cały czas trwania nabożeństwa na wszystkich balkonach widać ludzi. Stoją w zapadającym zmierzchu, patrzą. Kilka tysięcy Polaków modli się. Wielki tłum po obu stronach bramy z napisem „Stocznia imienia Lenina".

27 sierpnia — środa. Rano brak wiadomości, czy rozmowy będą kontynuowane. Nikt nie wie, kiedy przyjedzie delegacja rządowa. W dużej sali, tak jest wieczorem we wtorek, odczytywane są listy, komunikaty, oświadczenia.

Przyjechała przedstawicielka duńskiej stoczni w Odensee. Odczytuje z trudem, ale po polsku, oświadczenie z wyrazami solidarności i poparcia. Wygląda jak uczennica. Długie oklaski.

Odczytanie oświadczenia dziennikarzy. Później wiele razy w rozmowach ze stoczniovcami i delegatami innych zakładów słyszałem pytania: czy napiszą prawdę? Czy dadzą im napisać? „Nie wpuszczać Trybuny Ludu!" — ten okrzyk słyszałem ostatniego dnia, kiedy tłum dziennikarzy i fotoreporterów szturmował do drzwi budynku, przed podpisaniem porozumienia. „U nas na zakładzie — opowiadała jedna z delegatek podczas przypadkowej

rozmowy — kobiety wychodzą z hali, kiedy nadają te ich radiowe artykuły i dzienniki. Albo krzyczą: Zamknąć głośnik! One nie mogą już słuchać tego języka, tej nieprawdy!”.

Oświadczenie (bez wyrazów solidarności z Międzyzakładowym Komitetem) zawierało protest przeciwko utrudnianiu rzetelnego informowania społeczeństwa o wydarzeniach. *Solidarność*, strajkowy biuletyn informacyjny, skomentował oświadczenie następująco: „Choć jeszcze ostrożne w formie i treści, może być zapowiedzią strajku dziennikarzy polskich”. Ironia adresowana do ludzi, których teksty jeszcze niedawno pisane były w atmosferze konformizmu i serwilizmu. Ktoś, kto pisał o wydarzeniach siedemdziesiątego szóstego roku z pozycji policjanta, nie powinien przyjeżdżać do stoczni.

28 sierpnia — czwartek. Rano dalszy ciąg rozmów. Notuję przebieg dyskusji na okiennym parapecie, w ścisku. Obok studentka-tłumaczka mówi po angielsku. Naokoło tłoczą się korespondenci zachodnich gazet.

Pytanie Wałęsy: czy komisja rządowa ustosunkowała się do postulatu pierwszego?

Z odpowiedzi Jagielskiego wynika, że nie. Wicepremier proponuje, aby przystąpić do omawiania punktów trzeciego i czwartego. Przedstawiciele MKS wyrażają zgodę.

Punkt trzeci („Przestrzegać zagwarantowanej w Konstytucji PRL wolności słowa, druku i publikacji, a tym samym nie represjonować niezależnych wydawnictw oraz udostępnić środki masowego przekazu dla przedstawicieli wszystkich wyznań”) omawia Lech Bądkowski. Zaczyna od kilku cytatów z październikowych przemówień Gomułki — sprzed dwudziestu czterech lat. Cytaty nie straciły aktualności. Może się wydawać, że są pisane wczoraj lub dziś. Notuję ostatni: „Przed prawdą uciec nie można. Jeżeli się ją skrywa, wypływa ona w groźnej postaci widma, które straszy, niepokoi, buntuje się i wścieka”. Do ukrywania prawdy służył wielki aparat cenzury, niekontrolowany, niepodlegający żadnym ograniczeniom ustawowym, powołany do życia dekretem prezydium Krajowej Rady Narodowej z 1946 roku (o czym Bądkowski wspomina trochę później). Konkluzja wystąpienia: problem cenzury wymaga uregulowania prawnego — ustawy. Od decyzji cenzorów każdy musi mieć prawo odwołania.

Jagielski, a także inni przedstawiciele ekipy rządowej, zgadzają się w zasadzie na takie postawienie sprawy.

Z dalszej dyskusji w sprawie postulatu trzeciego notuję już tylko poszczególne zdania lub krótko sens wypowiedzi.

Wałęsa: „Jedna godzina w radiu na mszę świętą musi być. Od tego nie odstępamy”.

Minister Andrzej Jędrzak: „Popełniano błędy, ale także był rozwój”. Trzeba o tym pamiętać, aby nikt nie zarzucił, „że myśli się tutaj tak jak nie trzeba”.

Wojciech Gruszecki z MKS: „Jak to się dzieje, że cenzura co pewien czas alienuje się?”.

Jagielski: „Będzie odwołalność”.

Tadeusz Fiszbach: „Instytucja cenzury i stopień jej ingerencji są pochodną systemu”. Notuję obok: „krótko i szczerze”.

Punkt czwarty: sprawa więźniów politycznych, przywrócenia do pracy zwolnionych w latach 1970 i 1976 oraz zaprzestania prześladowań za przekonania. Referuje Andrzej Gwiazda. Mówi o Zdrożyńskim, Marku Kozłowskim i Janie Kozłowskim. Składa listę zatrzymanych w 1976 roku studentów. Także listę obecnie zatrzymanych. Mówi o strachu, jaki zaszczepiono społeczeństwu. Ten strach trzeba zlikwidować.

Z odpowiedzi Jagielskiego notuję: „Jeśli zachodzą nowe okoliczności, to będzie można przeprowadzić rewizję procesu sądowego”. Ale więźniów politycznych nie ma: z punktu widzenia władzy ci, którzy siedzą, to kryminaliści.

O prześladowaniach za przekonania polityczne mówi Anna Walentynowicz. Niewysoka starsza kobieta — suwnicowa, której zwolnienie dyscyplinarne wywołało protest stoczniowców. Opowiada własną historię. Wielokrotnie zatrzymywana na ulicy, bita w czasie przesłuchań, straszona, szantażowana, zwalniana z pracy itd.

Jagielski: „Jeśli są fakty łamania praworządności — winni ludzie będą pociągnięci do odpowiedzialności”.

Dyskusja kończy się około czternastej. Ekspersi obu stron mają ostatecznie uzgodnić punkty: drugi, trzeci i czwarty. O siedemnastej ponowne spotkanie i dyskusja nad punktem pierwszym.

Patrzę na odjazd autobusu z Jagielskim. Oprócz wicepremiera przez szpaler stoczniowców przechodzi jeszcze dwóch panów. Fiszbach, Jędrzak? Reszta zostaje, aby uzgadniać. Autobus powoli rusza. Stoczniowcy podnoszą ręce — dwa palce tworzą literę „V”. Nie ma oklasków, uśmiechów. Wielki „Ikarus” otoczony milczeniem. Tylko te ręce. Patrzę na twarz Jagielskiego — jest skupiony. Unosi dłoń gestem pozdrowienia.

29 sierpnia — piątek. Wchodzę na teren stoczni w chwili, kiedy Wałęsa przemawia do tłumu przed bramą. Mówi o dotychczasowych wynikach rozmów, o nadziei — szybkie załatwienie spraw jeszcze nie uzgodnionych. Zapewnia: „Nie ustąpimy tym razem. Bądźcie spokojni! Wywalczymy nasze niezależne wolne związki zawodowe!”. Być może nawiązując do pytania rzuconego z tłumu mówi o sobie: „Nie jestem przewodniczącym — jestem waszym służącym”.

Stoi na platformie, otoczony ludźmi, jego donośny głos dudni w megafonach: „Teraz zaśpiewajmy razem: Jeszcze Polska nie zginęła...”. Ludzie podchwytyją słowa hymnu.

Później widzę, jak wraca otoczony grupą stoczniovców (tuż przy nim dwóch młodych ludzi z białoczerwonymi opaskami).

W sali nastrój mniej optymistyczny. Około jedenastej komunikat prezydium: rozmowy zostały przesunięte przez komisję rządową. Andrzej Gwiazda mówi o złej woli władz. Jest stosowana taktyka przedłużania rozmów, zmęczenia strajkujących załóg. Taktyka stosowana wbrew interesom społecznym.

Głośne czytanie projektu uzgodnienia postulatów pierwszego — to, co będzie przedstawione komisji rządowej ze strony MKS. Tu po raz pierwszy użyto słów: „samorządne, niezależne związki zawodowe”. Podstawa prawna: Konwencja Nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy, ratyfikowana przez PRL w 1952 roku (!). Zwracają uwagę sformułowania o kierowniczej roli PZPR, nienaruszalności sojuszy międzynarodowych i podstaw ustrojowych. Ale sala przyjmuje projekt bez zastrzeżeń.

O trzeciej obiad w stołówce koło bramy. Długa kolejka przed budynkiem, ale organizacja wewnątrz sprawna — kolejka posuwa się szybko. W środku przypominam sobie stołówki z dawnych lat na budowach: tace, okienka, z których odbiera się dymiące talerze. Stoliki w dużej sali. Czy i tu były osobne dla dyrekcji? Czy i tu dyrektorom podawały kelnerki? Dziś dyrektorów nie widać.

Znów przypadkowa rozmowa. Starszy człowiek w roboczym ubraniu narzeka na gorąco — ściera z twarzy pot. „Tu nic — mówi — można wytrzymać. Dopiero jak człowiek w taki upał pracuje zamknięty w blachach, tam czasem nie ma czym oddychać!”.

Pracuje w stoczni od wielu lat — jest już blisko emerytury. Ciężka praca, trujące farby, brak wentylacji — opowiada. Pytam, ile godzin dziennie pracuje? Okazuje się, że jedenaście. Miesięcznie dziewięćdziesiąt nadgodzin. Są tacy — mówi — którzy mają i po 110 i 120 miesięcznie. Mówi o tym jako o regule: ludzie pracują dłużej po to, aby lepiej zarobić. Ale lepszy zarobek, to po prostu konieczny zarobek. Potwierdzają się moje obserwacje z wielkich budów: nowa forma wyzysku. Ludzie, którzy zarabiają mało lub bardzo mało w czasie ustawowego ośmiogodzinnego dnia pracy, będą pracowali dziesięć, jedenaście i dwanaście godzin po to, aby zarobić więcej. Będą pracowali bez narzekania, że zmusza się ich do nadmiernej pracy. Nieprawda: nikt nie zmusza.

O dziewiętnastej trzydzieści w wielkiej sali uruchamiają telewizor. Podobno w Warszawie obraduje plenum KC, możliwe zmiany personalne — może już ustąpił Gierek? Ale dziennik telewizyjny jakby cofnął się o kilka dni. Znów wywiady na zamówienie, straszenie skutkami strajków (straty wyliczane w dolarach!). Ci sami ludzie, o których tutaj mówią: „Nie można już na nich patrzeć!”. Sala zaczyna reagować gwizdami. „Zamknąć pudło!”.

Późnym wieczorem oglądamy ostatnie wydanie dziennika TV. Spiker odczytuje krótki komunikat: „Załoga Zakładów Cegielskiego przeprowadziła dwudziestoczworgodzinny strajk solidarnościowy z załogami Wybrzeża, domagając się spełnienia słusznych żądań Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego — w interesie Polski Ludowej i socjalizmu”.

30 sierpnia, sobota. Rano, w hallu, który jest czymś w rodzaju giełdy wymiany wiadomości, trafiam na atmosferę plotek. Mówi się o komunikacie TASS-a o dojściu do głosu „elementów antysocjalistycznych w PRL” (co może zapowiadać interwencję), o masowych aresztowaniach w Warszawie, o braku wiadomości, że rozmowy będą prowadzone. Pojawia się widmo czołgów sowieckich.

Ale w kilka minut później słuchamy wystąpienia Wałęsy i nastrój paniki znika: eksperci uzgodnili treść punktu pierwszego — sprawę niezależnych związków zawodowych. Oprócz gwarancji, jakie będą w porozumieniu — mówi Wałęsa — dzień szesnastego grudnia będzie odtąd naszym dniem. „Pamiętajcie: zawsze będziemy spotykać się przy pomniku poległych stoczniovców. Jeśli mnie tam nie będzie — to wiadomo, gdzie jestem. Pytajcie wtedy o mnie. Tam też będziemy pytać o realizację postulatów!”.

O dziesiątej trzydzieści rozpoczyna się transmisja rozmów. Delegacja rządowa przyjechała wcześniej. Przez okna widać ruch na zewnątrz — ludzie tłoczą się, tworząc długi szpaler. Widać głowy przedstawicieli rządu. Idą gęsiego, szybko — w błyskach lamp fotoreporterów.

Wałęsa wita po raz czwarty komisję rządową. Punkt pierwszy, uzgodniony przez ekspertów obu stron, czyta Andrzej Gwiazda. „Działalność związków zawodowych w PRL nie spełniła oczekiwań pracowników...”. Itd. Ten tekst znajdzie się w całości w podpisanym w niedzielę porozumieniu. Nowe związki nie wejdą w skład CRZZ.

Jagielski mówi, że negocjacje były trudne, ale dotyczyły spraw zasadniczych. Jest to „kamień węgielny naszego porozumienia”. „W zasadzie uznajemy decyzję ekspertów”.

Komisja przystępuje do omawiania punktu drugiego: prawa do strajku. Jagielski: „Prawo do strajku będzie zagwarantowane w ustawie o związkach zawodowych. Zgoda”.

Następuje parafowanie dwóch pierwszych punktów porozumienia. Słychać pytanie wypowiedziane przy stole w małej sali: „Niezależne związki zawodowe, czy niezależne i samorządne?”. To drugie sformułowanie pozostawiono.

I jeszcze krótka rozmowa po podpisaniu uzgodnień. Wicepremier proponuje „dać komunikat o przerwaniu strajku”. Wałęsa nie godzi się: „Chcemy mieć wszystko czarno na białym. Kilka godzin nie robi różnicy. Poczekajmy”. Po raz pierwszy zostaje poruszona sprawa aresztowanych. — Mamy wiadomości o aresz-

towaniach w Warszawie i innych miastach. To niepotrzebne, zakłóca atmosferę, niepokoi. „Trzeba zaprzestać aresztowań” — mówi przewodniczący MKS.

Krótki komunikat końcowy o przebiegu rozmów. Mają być kontynuowane i zakończone wieczorem.

Mimo wszystko odczuwa się wielką ulgę, radość. Wałęsa przemawia do tłumu przed bramą: „Będziemy mieli nasze, niezależne, samorządne związki zawodowe”.

W dużej sali, około czwartej po południu, zaczynają się spory przy stołach. Niektórzy z delegatów nie są zadowoleni z użytych w porozumieniu sformułowań. Dlaczego uznaje się partię za „przewodnią siłę narodu”? „Dość mieliśmy tej przewodniej roli!” „Kto decydował?” Itd. Głosy podniesione, spory coraz gorętsze. Te głosy dochodzą zapewne do prezydium. Zjawia się Wałęsa.

Rozpoczyna się ogólna dyskusja. Przewodniczący MKS tłumaczy: „Związki będą wolne i niezależne od nikogo”. Czy damy sobie narzucić kierowniczą rolę — to się okaże. Ja myślę, że nie damy. A jeśli jakiś związek da sobie narzucić, to jego sprawa. Przed podpisaniem nikt nie protestował, dlaczego teraz? Mimo to głosujemy: kto jest przeciw podpisanym punktom jeden i dwa? Niech podniesie rękę.

Nikt nie podnosi. „Zrozumcie, w sumie więcej nie sżłoby zdobyć. Nie damy sobie narzucić żadnej kierowniczej roli. I będziemy mieli własne wydawnictwa. Będziemy drukować, czy to się komu podoba, czy nie”.

Ktoś pyta o stare związki. „Można należeć do dwóch: tam będzie pan klaskał, a tu bił pięścią w stół”.

Andrzej Gwiazda mówi, że zgadza się z głosami protestujących, ale „wynegocjowaliśmy tyle, ile było można. Najważniejsza sprawa: nie stracić więzi!”.

„Kiedy SB przestanie bruździć?” — pytanie z sali. „Co z aresztowanymi?”

„Tak jest — masa ludzi jest zatrzymanych. Wiemy o tym. Nie będziemy rozmawiać, póki więzieni nie wyjdą”.

Sprawa aresztowanych powraca tego wieczoru dwukrotnie. Dwie kobiety z prezydium MKS — Anna Walentynowicz i Henryka Krzywonos oraz młody człowiek (nazwiska nie zanotowałem) odczytują projekt rezolucji w sprawie zatrzymywanych. Długa lista nazwisk — najwięcej członków KOR-u, ale także Ruch Obrońny Praw Człowieka, Konfederacja Polski Niepodległej.

Wystąpienie tej trójki przerywa Wałęsa. Wydaje mi się, że robi to zbyt energicznie (być może w prezydium MKS były różnice zdań co do formy załatwienia sprawy): „Nie będziemy tu mówić o przynależności, ale o praworządności. Jeżeli zatrzymano ludzi niewinnych, muszą być zwolnieni!”.

31 sierpnia, niedziela. Rano wielkie trudności przy wejściu do budynku. Przed przyjazdem delegacji rządowej drzwi wejś-

ciowe do hallu szturmują tłum dziennikarzy, fotoreporterów, korespondentów, itd. Dwie linie kontroli: kilka metrów przed drzwiami i w drzwiach. Tłok nieprawdopodobny — trzeba energicznie rozpychać się łokciami, aby w tym tłumie przesunąć się kawałek do przodu.

Na parapetach wysokich okien (za którymi wielka sala) siedzą stocznioacy. Przyglądają się tej gorączkowej szarpaninie ludzi pióra, kamer filmowych i aparatów fotograficznych. Komentują z humorem. Słyszę okrzyk: „Miejsce dla ruskiej telewizji!”. Śmiech.

Udaje mi się przedrzeć przez pierwszą linię, ale utykam w drzwiach — moja przepustka nie uprawnia do wejścia. Sytuacja dramatyczna: nie mogę wejść i nie mogę cofnąć się (napierający tłum). Na szczęście działa jeszcze mechanizm protekcji: dzięki interwencji dwóch przyjaznych ludzi (eksperta i członka prezydium MKS) udaje mi się wejść do środka.

Wkrótce przybywa delegacja rządowa — przechodzą przez hall w nieopisanym ścisku, wśród błysku lamp i uniesionych w górę aparatów.

Dalszy ciąg trudności: do wejścia na dużą salę uprawniają tylko przepustki z dodatkowym stemplem na odwrocie kartonika. Nie mam takiego stempla, a w hallu nie działa głośnik. Kiedy uruchamiają, okazuje się, że rozmowy rzeczywiście „leczą szybko”, jak przewidywał Wałęsa. Omawiany jest punkt ósmy. „Podnieść wynagrodzenie zasadnicze każdego pracownika o dwa tysiące złotych”. Jagielski wylicza, ile taka podwyżka będzie kosztowała państwo. Wałęsa proponuje zabrać od tych którzy mają najwięcej i dać tym, którzy mają mniej. Ale idą na kompromis: stopniowe podwyższanie płac wszystkich grup pracowniczych.

Tempo dyskusji duże. Dalej notuję już tylko niektóre zdania, uwagi.

Punkty od trzynastego do dwudziestego pierwszego przyjmowane są właściwie bez zastrzeżeń. Słychać głos Jagielskiego: „Parafuję punkt dwudziesty pierwszy i ostatni”.

Przedstawiciele MKS wracają do sprawy aresztowanych. Bogdan Lis mówi, że muszą zorientować się, jaka sytuacja jest w Warszawie: czy aresztowani zostali wypuszczeni. Wałęsa proponuje dwadzieścia minut przerwy przed podpisaniem porozumienia i komunikatu końcowego.

Dzięki pomocy młodych przyjaciół wchodzę do dużej sali. Ludzi jakby przybyło. Przyjechały delegacje z różnych stron Polski. Śląsk, Łódź, inne miasta. Siadam na wolnym krześle pod ścianą wśród delegatów Krosna. Przyjechali wczoraj wieczorem. Delegat, z którym rozmawiam, opowiada, jak to dyrektor jego zakładu przez półtorej godziny błagał załogę, aby nie strajkowała. Mimo to strajk ogłoszono, powstał MKS i postanowiono wysłać delegację do Gdańska. Kiedy odjeżdżali z placu przed fabryką, w której pracuje — wszyscy robotnicy wyszli ich żegnać. Je-

chali czterema taksówkami. Autobus okazał się w ostatniej chwili niesprawny: ktoś przebił opony. Zatrzymywano ich po drodze kilka razy, sprawdzano numery dowodów, ale dojechali.

Przerwa kończy się. W małej sali znów zasiadają delegaci obu stron. Słychać pytanie Wałęsy: „Jak wygląda sprawa zatrzymanych?”. Odpowiedź Jagielskiego: „Jutro do godziny dwunastej będą zwolnieni. Sankcje prokuratorskie cofnięte. Podpisuję w tej sprawie oświadczenie, ale proszę jednocześnie o oświadczenie MKS, że strajk zostanie przerwany”.

Chwila rozmów — przygotowania do przejścia na dużą skalę. Tymczasem Wałęsa odczytuje tekst swojego krótkiego oświadczenia dla prasy i telewizji: „Panie premierze, cieszymy się, że nasze rozmowy, trudne na początku, przebiegały później w duchu coraz lepszego zrozumienia”. ... „Pokazaliśmy, że Polacy, jak chcą, mogą ze sobą zawsze porozumieć się. Jest to więc sukces obu stron. Będziemy o tym pamiętać. Liczymy, że to, co zostało podpisane, będzie dokładnie i w pełni przestrzegane. Jestem pewny, że to jest dobre dla kraju”. — I zwraca się do strajkujących: „Kochani, wracamy do pracy pierwszego września. Wszyscy wiemy, co ten dzień nam przypomina, o czym w tym dniu myślimy. O ojczyźnie, o sprawie narodowej, o wspólnych interesach rodziny, która nazywa się Polska...”.

Czyta trochę niepewnie, wolno, z przerwami, ale czuję, tak samo pewno wielu z nas naokoło — w sali i poza salą a później w całym kraju — wielkie wzruszenie. Ten ucisk w gardle, który nie znika tak długo. Śpiewamy hymn narodowy. „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Wszyscy stoją, ale widzę, że nie wszyscy mogą śpiewać.

Najważniejszy moment jeszcze nie nadszedł: dopiero teraz obie delegacje przechodzą między stołami — długi wąż ludzi — wszyscy przedstawiciele prezydium MKS, przedstawiciele rządu, eksperci obu stron. Zasiadają przy stole prezydialnym na podium. Pośrodku Jagielski i Wałęsa. Nad nimi orzeł, hasło na niewielkim plakacie „21 x tak”, krzyż i Lenin spoglądający w okno.

Wałęsa jeszcze raz krótko przemawia. Dziękuje, że załatwiono wszystko bez użycia siły. Zasługa to Jagielskiego i „pozostałej dość rozsądnej grupy”.

Zabiera głos wicepremier. „Rozmowy były trudne, żmudne, wymagające wielkiego wysiłku”. ... „Rozmawialiśmy tak, jak Polacy. Jak Polak z Polakiem powinni rozmawiać”.

Po raz pierwszy sala przyjmuje wystąpienie przewodniczącego delegacji rządowej burzliwymi oklaskami.

Następuje moment podpisania dokumentów. Znów błyski lamp fotoreporterów, kamery, aparaty. Zwraca uwagę wielki długopis Wałęsy. W chwilę później na podium zjawia się Konrad Bieliński z NOW-iej. Wręcza Wałęsie plik egzemplarzy *Solidarności*. Przewodniczący MKS rozdaje *Solidarność* siedzącym w

prezydium delegatom — także członkom ekipy rządowej. Biuletyny strajkowe znikają w teczkach.

Wymiana dokumentów. Ekipa rządowa opuszcza salę. Delegacje zakładów jeszcze zostają: „Na pół godziny, aby omówić kilka spraw”. „Mamy nasz dom związkowy — ogłasza przewodniczący MKZ (można już zmienić nazwę: Międzyzakładowy Komitet Związkowy). Adres: Wrzeszcz, Marchlewskiego 13. Jutro od dziesiątej rano — pracujemy”.

Sala pustoszeje. Kiedy w godzinę po podpisaniu dokumentów opuszczamy teren stoczni — wydaje się, że nikogo już nie ma. Nie ma ludzi na trawniku przed budynkiem, idziemy w kierunku bramy pustą aleją. Zniknęły kwiaty, portrety, transparenty. Tylko stara tablica na baraku naprzeciw portierni — „Rada Zakładowa Stoczni imienia Lenina” — przekreślona czerwoną farbą.

ROZDZIAŁ X

Przez szesnaście miesięcy po sierpniu, podobnie jak wielu moich przyjaciół, żyłem nadzieją, że „Solidarność” przetrwa. Wszyscy byliśmy opanowani gorączkowym pragnieniem naprawiania zła, demaskowania kłamstw, burzenia fasady.

Grudniowy zjazd Związku Literatów Polskich, na przełomie 1980 i 1981 roku, w sali Związku Nauczycielstwa Polskiego przy ulicy Spasowskiego w Warszawie, odbywał się już po pierwszych wstrząsach: zmaganiach o rejestrację „Solidarność”, najpoważniejszym zagrożeniu sowiecką interwencją w listopadzie i na początku grudnia. Władze jakby pogodziły się z istnieniem niezależnego związku, ale prasa partyjna, aparat biurokratyczny, propaganda, nie ustawały w walce przeciwko „Solidarności”. Świadomość toczącej się walki, ścierania się postaw, przekonanie, że na naszych oczach dokonuje się niezwykła przemiana, jakby trwało cudowne powstanie narodowe — to wszystko dominowało nad zjazdem i tworzyło atmosferę. Podobna atmosfera panowała zapewne na wielu zjazdach stowarzyszeń twórczych, naukowych i zawodowych w tamtym okresie szesnastu miesięcy. Czytając w kilka lat później specjalny numer *Palestry*, poświęcony obradom i uchwałom zjazdu adwokatury polskiej w roku 1981 — znajdowałem wiele podobieństw, ten sam ton wystąpień, podobne głosy i uchwały. I tu — słuchając w ciągu trzech dni delegatów — miałem wrażenie, że powiedziano o wszystkich niesprawiedliwościach ostatnich lat, zaprotestowano przeciwko całemu złu i podjęto same słuszne uchwały. Patrząc wstecz widać, jak niewiele te głosy znaczyły. Jak niewiele znaczyła suma wszystkich głosów rozlegających się wtedy w kraju i domagających się „uspocznienia państwa”, jak to określił w swoim wystąpieniu Andrzej Szczypiorski, oraz zaprzestania dalszego „upaństwowiania społeczeństwa”. O to toczyła się walka.

Drugiego dnia obrad, wywołany przez Artura Międzyrzeckiego, wszedłem na trybunę i po raz pierwszy w życiu wygłosiłem przemówienie do tak liczного audytorium. Mówiłem o KOR-ze, o zasługach tego Komitetu, o ludziach którzy pierwsi w 1976 roku zaprotestowali przeciwko prześladowaniom robotników i przez wiele lat byli jedyną grupą czynnie przeciwstawiającą się bezprawiu. Aby uprzytomnić słuchaczom, zwłaszcza tym skłonym do złudzeń, jakimi metodami „władza ludowa” mogła się posługiwać, przeczytałem z wydanej przez NOW-ą broszury „Grudzień 1970” kilka autentycznych relacji o biciu i torturach, jakim poddawano robotników wybrzeża w 1970 roku. Były to wszystko autentyczne relacje, utrwalone przeważnie na fotokopiach podań o zasiłki, kierowanych do zakładów pracy. Dlaczego atakuje się ludzi, którzy pierwsi w kraju zaprotestowali przeciwko podobnym metodom bicia i znęcania się nad robotnikami Radomia i Ursusa? Jak można mówić o szczerości intencji, dialogu i pojednaniu narodowym? — pytałem.

W Nowym Zarządzie Głównym znalazłem się razem z grupą ludzi, których władza od lat uważała za przedstawicieli „antysocjalistycznej opozycji”. Partia zareagowała oburzeniem: ośmieszono się nie zachować proporcji, wybrać nie tych, których należało, ekstremistów itd. Wszystkie te zarzuty wróciły w momencie rozwiązania Związku w latach 1982-1983. Wtedy nie zwracaliśmy na nie uwagi.

Na pierwszym zebraniu Zarządu zaproponowaliśmy z Markiem Nowakowskim zorganizowanie i poprowadzenie Komisji do Współpracy ze Związkami Zawodowymi. W praktyce miała ona organizować współpracę z „Solidarnością”, choć formalnie, już później, wystąpiliśmy do branżowych i autonomicznych związków z propozycją nawiązania współpracy. Nie otrzymaliśmy na te oferty odpowiedzi.

Przez szereg miesięcy, aż do końca — do stanu wojennego — kierowaliśmy pracą naszej komisji związkowej. Oficjalnie przewodniczącym został Lech Bądkowski, był jednak tylko honorowym przewodniczącym z uwagi na udział w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym w Stoczni Gdańskiej. Z powodu licznych zajęć, jakim poświęcił się w trójmieście — my dwaj, jako zastępcy, na miarę własnych wyobrażeń i możliwości, nawiązaliśmy kontakty, angażowaliśmy ludzi do współpracy, organizowaliśmy zebrania i spotkania. Ukoronowaniem tej działalności była pierwsza, podpisana między „Solidarnością” a związkiem twórczym, umowa o współpracy w dziedzinie kultury.

Zebrania Komisji od początku stały się terenem cichej wojny między większością, reprezentującą sympatie prosolidarnościowe, a mniejszością reprezentującą linię partii. Było to bardzo widoczne i prowadziło do sporów śmiesznych czasem, drobiazgowych, w owych czasach jednak i w naszym mikrośrodku, jak w lustrze, odbijała się wielka wojna i wielki spór, jaki obejmował kraj. Ponieważ do Zarządu Głównego weszło kilku przedstawicieli partii (wszyscy po wprowadzeniu stanu wojennego oddali legitymacje partyjne) — konflikt rozpoczął się natychmiast, w momencie tworzenia Komisji i zgłaszania kandydatur. Partyjni zgłosili swoją listę, którą my w dobrej wierze przyjęliśmy. Chodziło im także bardzo o podkreślenie, że jest to Komisja nie tylko do kontaktów z „Solidarnością”, ale również z pozostałymi związkami. Przyjęliśmy i tę zasadę zaraz na wstępie. Z kolei obecność członków partii w Komisji (m.in. ówczesnego sekretarza organizacji partyjnej przy ZLP, Jerzego Piórkowskiego) stwarzała dalsze okazje do sporów. Dyskutowaliśmy na temat zasad działania komisji, i my i oni staraliśmy się poszerzać skład o „swoich ludzi”, toczyliśmy spory o treść umowy z „Solidarnością”, a przede wszystkim o prelegentów odwiedzających zakłady pracy.

Umowa z „Solidarnością” była największym osiągnięciem. Napisałem krótki projekt, później w niewielkim stopniu zmieniony. Z tym projektem poszliśmy z Markiem do zarządu Regionu „Mazowsze”, jeszcze do lokalu przy Szpitalnej. Naprzeciw bramy, nad jezdnią, kołował się transparent: „Niezależny Samorządny Związek Zawodowy 'Solidarność'”. Ci, którzy byli na Szpitalnej, pamiętają nieopisany tłok — przez ciasne korytarze i ciemne pokójki przewijały się setki ludzi. Zwłaszcza w pierwszym okresie przyjeżdżało tu wielu delegatów z całego Regionu, z tych wszystkich zakładów, w których „Solidarność” powstawała. Przychodzili ludzie do Komisji Interwencyjnej, dziennikarze, korespondenci.

Rozmawialiśmy ze Zbigniewem Bujakiem i Sewerynem Jaworskim. Obaj poparli projekt. W ogólnym rozgardiaszu, wobec lawiny spraw wymagających szybkich decyzji — Bujak i Jaworski wydawali się (w przeciwieństwie do wielu młodszych działaczy, już zniecierpliwionych) spokojni i pogodni. Ustaliliśmy, że projekt umowy omówię z Janem Olszewskim — prawnym doradcą Regionu.

Z mecenasem Olszewskim widziałem się później dwukrotnie. Nie zgłaszałem zasadniczych uwag. Mój projekt pozostał niezmie-

niony, dopiero później, podczas głośnego czytania na zebraniu Zarządu Głównego ZLP, wprowadzono korekty. Uwagi zgłaszali partyjni — zastrzeżenia te koncentrowały się na punkcie piątym, mówiącym o współpracy Związku Literatów i „Solidarności” w sprawach dotyczących „całokształtu polityki kulturalnej państwa” w celu „korygowania tej polityki oraz prowadzenia jej dla dobra społeczeństwa i jego wszechstronnego rozwoju duchowego”. Po słowie „korygowania” było słowo „błędów”, przeciwko czemu partyjni protestowali w myśl zasady, że państwo komunistyczne błędów nie popełnia.

Spotkania w zakładach pracy były naszą kolejną inicjatywą, jak wydaje się dobrze przyjmowaną i rozumianą przez „Solidarność”. W toczącej się wojnie na słowa obecność po stronie związku ludzi, którzy w zakładach pracy mogli polemizować z propagandą, odkłamywać, wyjaśniać, była nieodzowna. Jeśli Michał Głowiński mówił o „nowomowie do sierpnia i po sierpniu 1980 (czyli o języku gazet, radia i telewizji)”, Piotr Wierzbicki o „prawdzie i kłamstwie w życiu publicznym”, Stefan Kisielewski o „epoce socrealizmu w PRL” — to wszystkie te wypowiedzi polemizowały i demaskowały cele propagandy. Wśród odwiedzających zakłady pracy znaleźli się m.in.: Tomasz Burek, Andrzej Drawicz, Marta Fik, Marek Nowakowski, Andrzej Szczypiorski, Władysław Bartoszewski, Andrzej Werner, Stanisław Barańczak, Marian Brandys i Andrzej Kijowski.

Listy autorów i tematów rozesłaliśmy gdzie tylko można — przede wszystkim złożyliśmy w Regionie „Mazowsze”. Były potem wielokrotnie publikowane w biuletynach związkowych, trafiając do zakładów pracy. Równoległe z naszym „bankiem prelegentów” działały podobne grupy w innych środowiskach: naukowych, dziennikarskich, aktorskich. To był wielki ruch świadczący o masowym nawiązywaniu kontaktów.

W moich sprawach zawodowych, jak zapewne dla wielu ludzi dyskryminowanych latami i zapomnianych niemal, otworzyła się nagle perspektywa powrotu do „obiegu oficjalnego” bez podstępnie dyktowanych warunków. Napisałem list do Radia, przypominając o swoich słuchowiskach i wkrótce dwa z nich zostały przez Polskie Radio nadane, w tym jedno — w reżyserii Helmuta Kajzara — po raz pierwszy. Minęło siedem lat od publikacji „Meliny”. Teraz dwa zespoły filmowe zainteresowały się tą książką. „Trzecie kłamstwo” wybrano do kilku pierwszych pozycji, od których miano zacząć serię „Biblioteka Solidarności” w Insty-

tucie Wydawniczym Związków Zawodowych. Ale przede wszystkim myślałem o wydaniu w kraju „Cudownej meliny”.

Napisałem w tej sprawie do Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. W 1972 „Czytelnik” ustąpił pod presją z zewnątrz. Jak zachowa się teraz — zastanawiałem się — w nowych warunkach, w sytuacji, kiedy wielu autorów nieobecnych wraca, kiedy coraz częściej mówi się o „zakazanych książkach”?

Prezes Stanisław Bębenek zapewne przewidywał kłopoty. Moja propozycja została odrzucona. Odmowę uzasadniał, jak powtórzone mi, zdezaktualizowaniem się książki i zbyt łagodnym obrazem rzeczywistości. Nie mogłem uwierzyć: jak to, najpierw mówili, że książka zbyt ostro atakuje rzeczywistość PRL, utrzymana jest w zbyt czarnych barwach — minęło kilka lat i już jest za łagodna? Biorąc pod uwagę ujawnione nadużycia na centralnych szczeblach, a nie gdzieś na dole, w małym miasteczku powiatowym — „Melina” była rzeczywiście opowieścią dla dzieci. Ale przecież chodziło o przedstawienie mechanizmów działania tego systemu — mechanizmów, które, jak okazało się, od dołu do góry funkcjonowały na podobnych zasadach. Ja to opisałem w roku 1972 — dość wcześnie. Wszystkie moje obserwacje potwierdziło życie. Pracując na kolejnej budowie, obserwując wydarzenia w kraju, czytając i słuchając relacji setek ludzi — mogłem powiedzieć, że „Cudowna melina” nie tylko nie straciła na aktualności, ale przeciwnie: aktualność tej książki z biegiem lat rosła. To właśnie te mechanizmy i te zjawiska, o których pisałem, doprowadziły do kryzysu i sierpniowego przełomu.

Napisałem „list otwarty” do Stanisława Bębena i rozesłałem do kilku adresatów, między innymi do *Tygodnika Powszechnego* z prośbą o publikację. Jednocześnie opowiedziałem o moich kłopotach Janowi Józefowi Szczepańskiemu, który zbierał dokumentację w podobnych sprawach — niewydawanych latami książek — aby interweniować w Ministerstwie Kultury*.

* W „liście otwartym” do prezesa Bębena pisałem m.in.: „Uważam, że odmowa wydania mojej powieści obecnie, w roku 1981, w sposób istotny dotyczy powrotu do tzw. „obiegu oficjalnego”. Poddaje w wątpliwość szczerść intencji. Jakże mam teraz pisać i drukować, jeśli książka, od której wszystko zło w moim wypadku zaczęło się — nadal nie może być wydana w kraju? Nie jest to na pewno powieść dla koneserów literackich krzywiących się na realizm w literaturze, ale przecież to co nas otaczało, czym żyliśmy i żyjemy, domaga się właśnie realistycznego opisu: nie bajek, ale prawdy i nie popisów lingwistycznych, ale prostych słów.

Z „Cudowną meliną” łączy się kilka lat mego życia. Lat niełatwych, związanych z utratą pracy, utratą możliwości druku, różnymi drobnymi szkamanami, które razem tworzyły tę nieznośną atmosferę, w jakiej musieliśmy żyć. Czy mam teraz o tym wszystkim zapomnieć?”.

Nie wiem, czy echo listu (zatrzymanego przez cenzurę w *Tygodniku Powszechnym*), czy interwencja Jana Józefa Szczepańskiego — myślę, że raczej ta ostatnia — pomogły i umowę wydawniczą z „Czytelnikiem” o wydanie powieści pt. „Cudowna melina” podpisałem po raz drugi. Nosi datę 19 lutego 1981 roku i ma numer 78/81. W punkcie trzecim paragrafu pierwszego zaznaczono: „materiał złożony — strony uznają za dzień złożenia datę zawarcia umowy”. Zgodnie z paragrafem trzynastym tej umowy „Melina” została przyjęta przez wydawnictwo z dniem 5 kwietnia 1981 roku. Ponieważ paragraf dwudziesty mówi „Wydawca obowiązany jest zakończyć druk utworu w ciągu jednego roku, licząc od przyjęcia utworu” — powinna ukazać się w księgarniach w pierwszych dniach kwietnia 1982 roku. Mija pięć lat. Nikt ze mną tej umowy do dziś nie rozwiązał. Formalnie obowiązuje nadal, będąc w gruncie rzeczy bezwartościowym świstkiem.

W październiku 1980 roku fragment „Meliny” wydrukowało *Życie Warszawy*. Wówczas to rozmawiałem z Jerzym Wójcikiem — nowym redaktorem *Życia*. Powiedział, że dla wielu ludzi druk fragmentu mojej książki może być sygnałem, że tacy jak ja włączają się ponownie w nurt oficjalnego życia.

Dziś wydaje mi się, że wszystko trwało dłużej niż szesnaście miesięcy. Czas był wypełniony wydarzeniami — intensywność życia i tempo przeżyć miały wpływ na obraz zachowany w pamięci.

Jeździłem na spotkania w zakładach pracy. Mówiłem o „literaturze niezależnej” i „o cenzurze w PRL”. Powstanie *Zapisu* przedstawiałem jako przełomowy moment w sytuacji dyskryminowanych pisarzy. Opowiadałem o stopniowym rozwoju niezależnego ruchu wydawniczego, o NOW-iej, książkach jakie wyszły do sierpnia 1980 roku. Zawsze starałem się powiązać tamte wydarzenia, naszą działalność, z kwestią praw człowieka — wolności słowa, swobody wypowiedzania poglądów. Powoływałem się na akty prawa międzynarodowego, takie jak „Powszechna Deklaracja Praw Człowieka”, Układ Helsiński i ratyfikowane przez PRL w 1977 roku „Pakty Praw Człowieka”. Cytowałem artykuł dwiętnasty Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych*.

* „Každy człowiek ma prawo do posiadania bez przeszkód własnych poglądów. Každy człowiek ma prawo do swobodnego wyrażania opinii; prawo to obejmuje swobodę poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania wszelkich informacji i poglądów, bez względu na granice państwowe, ustnie, pismem lub drukiem, w postaci dzieła sztuki, bądź w jakikolwiek inny sposób według własnego wyboru”.

Starałem się zawsze o tym mówić, aby uświadomić słuchaczom, że to nie my naruszaliśmy prawo, ale władze łamały od początku prawa ludzkie. Zawsze robiłem krótki przegląd tych praw. Mówiłem o prawie do swobodnego zrzeszenia się, o prawie do nieskrępowanego wyboru miejsca zamieszkania, do swobodnych podróży, do nietykalności życia osobistego. Prawie ludzi aresztowanych do natychmiastowego kontaktu z adwokatem i szybkiego procesu. Każda z tych zasad była i jest łamana.

Byłem w kilku zakładach w Warszawie, później w Krakowie, w Nowym Targu, Zakopanem i Tarnowie. W listopadzie, okresie strajku na uczelniach, pojechałem do Kielc. Ostatnie spotkania, już w grudniu, miałem w Sanoku.

Wszystkie wieczory, głosy w dyskusji, twarze ludzi, są dla mnie wspomnieniem jednej wielkiej sali, na którą patrzę z podium, jak ze sceny na widownię. Mało pamiętam szczegółów. Raczej salę, jak tę w domu parafialnym w Zakopanem, lub salę wykładową na politechnice krakowskiej. I pamiętam niepowtarzalny nastrój — otwarcia i życzliwości. Przychodziłem jak wysłaniec z innego świata. Moi słuchacze żyli codziennym życiem obywateli PRL — ja od wielu lat byłem opozycjonistą, jak mówiono — dysydem, żyłem w niewielkiej grupie ludzi próbujących przeciwstawić się systemowi, wyrażać sprzeciw i głośno o tym mówić. Jeszcze niedawno naruszało to powszechnie przyjęty pogląd, że komuniści miażdżą każdy przejaw oporu („z komuną nie wygra”) i jakkolwiek protest jest daremny. Dlatego pytano o moje własne doświadczenia, jakim szykanom i represjom podlegałem? Na każdym spotkaniu byli czytelnicy lub słuchacze moich powieści nadawanych w odcinkach przez RWE. Myślałem wtedy, że przecież mimo tych wszystkich barier, tej zmywy milczenia, zapisów cenzury — nie ma skutecznej tamy przeciw książkom.

Przed wrześniowym zjazdem „Solidarności” wstąpiłem do Związku. Przy Regionie „Mazowsze” powstała wtedy sekcja zrzeszająca członków stowarzyszeń twórczych. Była to furka dla tych, którzy nie pracowali zawodowo, nie mieli możliwości wstąpienia do Związku przez ogniwa zakładowe, a jednocześnie ideały „Solidarności” były im bliskie i chcieli należeć. Ta sekcja międzyzwiązkowa zrzeszała ludzi z różnych środowisk, jednak przede wszystkim byli tam widoczni plastycy.

Chodziłem na zebrania sekcji i do Komisji Kultury, prowadzonej przez Teresę Bogucką. Wchodząc do budynku przy ulicy Mokotowskiej zwykle przeżywałem wstrząs. Podobne wrażenia,

jak z pierwszego okresu — wizyt jeszcze na Szpitalnej i w Alejach Jerozolimskich. Huczący ul, gorączkowy pośpiech, tłok. Jakby trwał wyścig z czasem. Między pierwszym a drugim piętrem, na podeście schodów, tablica informacyjna Komitetu Budowy Pomnika Katyńskiego. Zdjęcia odkrytych grobów. Na korytarzach zdjęcia z ostatnich aktualnych wydarzeń: Bydgoszcz, pobicie działacze związkowi, strajki na uczelniach, oblężenie wyższej szkoły oficerów straty pożarnej na Żoliborzu. W październiku i listopadzie atmosfera protestu, zniecierpliwienia taktyką władzy, zmęczenia społeczeństwa — były szczególnie widoczne. Krzyczące ściany na Mokotowskiej. Czy długo mogło tak trwać?

We wrześniu pojechaliśmy na Zjazd „Solidarności”, aby wziąć udział w podpisaniu umowy między NSZZ „Solidarność” a Związkiem Literatów Polskich. Był Jan Józef Szczepański, wiceprezesi Andrzej Braun i Tadeusz Drewnowski, sekretarz Kubikowski, chyba Andrzej Kijowski, Marek Nowakowski i ja.

Przylecieliśmy z Markiem samolotem do Gdańska — późno — na lotnisku czekał prezes Oddziału Gdańskiego ZLP Bolesław Fac. Pojechaliśmy jego samochodem do miasta — przez Wrzeszcz do Sopotu i pamiętam, że trójmiasto wydało mi się inne. Może dlatego, że był wieczór, mniejszy ruch i mniej ludzi na ulicach? Pamiętałem wybrzeże z okresu sierpniowego strajku, niepowtarzalny nastrój tamtych dni. Teraz to wszystko poszarzało. Nieodborne wrażenie zniknęło następnego dnia, kiedy po raz pierwszy znaleźliśmy się w hali „Olivii” i staliśmy się obserwatorami wielkiego spektaklu, jakim był Zjazd.

I tu kolejność dni, wysłuchanych wystąpień, spotkań, twarzy, głosów zlewa się w barwny film. Byłem na tym jeździe dwukrotnie: raz z delegacją ZLP, aby wziąć udział w podpisaniu umowy i potem, po kilku dniach powtórnie, już „prywatnie”, aby tylko popatrzeć i posłuchać. Kilka wystąpień z obu tych pobytów zapadło w pamięć. Pamiętam generała Borutę-Spiechowicza na podium — w mundurze, przy orderach — przemawiającego prosto i krótko. Sala wstała z miejsc. Także wystąpienie profesora Lipińskiego i odczytany przez niego komunikat o rozwiązaniu KOR-u. Zwięzłe, precyzyjne wystąpienia Karola Modzelewskiego. Przemówienie Jana Józefa Szczepańskiego, kiedy niespodziewanie zgłoszono z sali zastrzeżenie co do uprawnień podpisywania umowy ze Związkiem Literatów przez prezydium Zjazdu. Delegat zgłaszający to zastrzeżenie — z formalnego punktu widzenia — zapewne miał rację, ale my, delegaci ZLP — byliśmy na sali, czekaliśmy na ten moment od wielu dni. Niepodpisanie umowy w czasie Zjazdu byłoby głębokim zawodem i rozczarowa-

niem. Miała być przypieczętowaniem więzi, jaką udało się stworzyć. Szczepański mówił o tym imponując opanowaniem i taktem. Sala urządziła mu owację, podobnie jak profesorowi Lipińskiemu i generałowi Borucie. Umowę podpisał z naszej strony Szczepański — w imieniu „Solidarności” przewodniczący Prezydium Zjazdu Jerzy Buzek*.

Tak, to wszystko nie mogło trwać długo. Łatwo o taki wniosek dziś, ale wtedy? Kiedy wzruszeni patrzyliśmy na generała Borutę-Spiechowicza, kiedy Wałęsa przemawiał po wyborze na przewodniczącego Związku, kiedy żyliśmy w atmosferze niespodziewanej wolności, wśród plakatów, gazetek i zdjęć krzyczących ze ścian na ulicy Mokotowskiej?

Pamiętam ostatnią rozmowę z Lechem Bądkowskim, którego spotkałem w czasie przerwy obiadowej. Staliśmy w długiej kolejce przed stołówką. Bądkowski, lekko utykający, z łaską — był

* Oto jej treść, bez ostatnich, zawierających formalne ustalenia, punktów:
„Porozumienie między Związkiem Literatów Polskich a Niezależnym Samorządnym Związkiem Zawodowym 'Solidarność' w sprawie współpracy w dziedzinie upowszechnienia i rozwoju kultury.

Obie strony dostrzegają pilną potrzebę nawiązania wszechstronnej współpracy w dziedzinie upowszechniania i rozwoju kultury we wszystkich środowiskach reprezentowanych przez NSZZ 'Solidarność'.

W związku z powyższym uzgodniono następujące zasady współpracy:

1. ZLP i NSZZ 'Solidarność' podejmą wspólną inicjatywę stworzenia sieci bibliotek związkowych i kompletowania księgozbiorów. ZLP deklaruje wszechstronną pomoc w tym zakresie.

2. ZLP deklaruje pomoc w organizacji i realizacji programów wszechnie robotniczych.

3. Obie strony współpracować będą w organizowaniu spotkań autorskich w zakładach pracy, organizowaniu cyklicznych prelekcji na tematy związane z literaturą i tym podobnych inicjatywach.

4. ZLP deklaruje gotowość do pośredniczenia w pozyskaniu współpracy pisarzy przy tworzeniu pism i wydawnictw kulturalnych NSZZ 'Solidarność'. Podobną pomoc ZLP deklaruje przy tworzeniu programów telewizyjnych i radiowych NSZZ 'Solidarność'.

5. Obie strony deklarują chęć współpracy w sprawach dotyczących całokształtu polityki kulturalnej państwa (wydawnictw, pism społeczno-kulturalnych, teatru, filmu, radia, telewizji), a to w celu korygowania tej polityki i prowadzenia jej dla dobra społeczeństwa i jego wszechstronnego rozwoju duchowego. Zostaną powołane w tym celu doraźne wspólne grupy robocze.

6. W razie potrzeby obie strony będą współdziałać we wszelkich innych, nie określonych w niniejszym porozumieniu, sprawach dotyczących rozwoju kultury narodowej.

7. Obie strony uznają za celowe stworzenie funduszu stypendialnego 'Solidarności', z którego mogliby korzystać utalentowani młodzi twórcy. W skład rady tego funduszu wejdą przedstawiciele ZLP.

8. Obie strony uznają za celowe stworzenie dorocznej nagrody literackiej 'Solidarności'. ZLP deklaruje konsultacje krytyków literackich w tym zakresie". (...)

sceptyczny. Mówił, że za dużo naokoło optymizmu, szarżowania, nieliczenia się z rzeczywistością. Był, jak się zorientowałem, rzecznikiem rozsądnego kompromisu, ostrożnego posuwania się na przód, nielekceważenia przeciwnika. Patrzyłem na tego starszego pana, słuchałem jego sarkastycznych uwag i myślałem, pamiętam, że ma rację, tak jak na ogół mają rację wszyscy chłodno, bez emocji oceniający sytuację ludzie. Lech Bądkowski już wtedy dostrzegał chmury, przeczuwał niebezpieczeństwo. My wszyscy, zagrożeni w dyskusjach, spotkaniach, odkłamywaniu rzeczywistości, zajęci usuwaniem atrap, bez reszty oddani tej gorączkowej walce o „uspołecznienie państwa” — niebezpieczeństwa jeszcze nie widzieliśmy.

Dziś wczorajszym sceptykom można tylko powiedzieć: „Solidarność” to była młodość, wiara i nadzieja. Żywioł. Zamiast umiaru — entuzjazm, zamiast realnej oceny — romantyczny zryw. Nic nowego w polskiej historii.

ROZDZIAŁ XI

Rano, w niedzielę 13 grudnia, zbudziły mnie żona i córka wiadomością, że przed kościołem Jezuitów na rogu Rakowieckiej i Chodkiewicza stoi czołg, na mieście wszędzie patrole wojska i milicji — wprowadzili stan wojenny!

Poprzedniego dnia wróciłem do domu przed północą — przyjechałem pociągiem z Krakowa. Z Sanoka, gdzie miałem spotkania autorskie w Klubie Inteligencji Katolickiej i z grupą działaczy „Solidarności” — pojechałem do Myślenic i Krakowa. Obładowany żywnością, którą wiozłem na święta Bożego Narodzenia z Myślenic, od krewnych żony (był to okres największych kłopotów zaopatrzeniowych od czasów drugiej wojny) — usiłowałem dodzwonić się z dworca do domu z prośbą, aby córka wyszła na moje spotkanie. Telefon milczał, ale pomyślałem tylko, że trzeba będzie zgłosić uszkodzenie do biura napraw. W niedzielę rano okazało się, że wszystkie telefony są nieczynne. Chciałem zaraz wyjść z domu, żeby zobaczyć miasto, kiedy pojawiło się dwóch przedstawicieli SB z propozycją podpisania „karty lojalności”. To wtedy powiedzieli, że wojowałem tylko z cenzurą, o czym wiedzą. Jak mogłem domyślać się, uznali to za nieszkodliwą manię prześladowczą. Wyszli po krótkiej rozmowie mówiąc, że jeszcze możemy się zobaczyć, ponieważ odmówiłem podpisania „karty lojalności”. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że dzieją się rzeczy, o których nie wiem — że być może aresztują ludzi, wywożą. Przyjechał mój syn z wiadomościami potwierdzającymi te obawy. Wiedział już o aresztowaniach znajomych, przede wszystkim działaczy „Solidarności”, o wyłamywaniu drzwi do mieszkań w nocy, rewizjach, budach, patrolach...

W telewizji, z nieruchomą twarzą, przemawiał generał w czarnych okularach. „Rodacy...”.

Mój syn był jednym z organizatorów Niezależnego Zrzeszenia Studentów na uczelni i delegatem na krakowski zjazd. W PWST, gdzie studiował na Wydziale Aktorskim, wybrano go przewodniczącym Komitetu Strajkowego w czasie ostatnich studenckich strajków solidarnościowych. W domu, w jego pokoju — wielka biblioteka wydawnictw niezależnych. Prowadził punkt kolportażu książek — przychodzili do nas ludzie z wielu bibliotek zakładowych i szkolnych po ostatnie wydawnictwa NOW-ej — książki, pisma, gazetki. Zaczęliśmy z Maćkiem wynosić to wszystko, spodziewając się w każdej chwili rewizji (której wtedy nie było).

Jak wszyscy, nie mogłem jeszcze uwierzyć: oto zdecydowali się na ten krok. Spodziewaliśmy się Rosjan, Czechów i Niemców, tak jak w roku 1968 Czesi zobaczyli Rosjan i Polaków. To była ich metoda. Teraz okazało się, że mogą i potrafią inaczej: rękami Polaków. Mimo symptomów, ostrzeżeń i sygnałów — przeżyliśmy ogromny szok. Przypomniałem sobie, jak w 1968 roku w sierpniu, zastanawiając się nad sytuacją w Czechosłowacji, wmówiłem sobie, że przecież niepodobna, aby zaatakowali ten kraj. Na oczach Europy, świata, jak ładnie mówiono — czy zdecydują się? A jednak zajęli. Podobnie było teraz, tyle, że to polskie samochody pancerne stały na ulicach, Polacy wyłamywali drzwi i wywozili aresztowanych („internowanych”, jak poprawił mnie w czasie rozmowy funkcjonariusz SB). Niewiarygodne!

W Sanoku, na placu przed koszarami, widziałem wspólne ćwiczenia wojska i milicji. Za drucianą siatką, na pokrytym szarym śniegiem placu, ćwiczyli marsze, zwroty, biegali. Był to widok, na który zwróciłem uwagę: dlaczego w hełmach? Dlaczego ćwiczą razem?

Moja kuzynka, miesiąc lub dwa wcześniej, opowiadała o przypadkowej rozmowie z podpitym, wysoko postawionym funkcjonariuszem, którego akurat zastała w mieszkaniu swojej znajomej. Kuzynka nosiła znaczek „Solidarności”. Ten wysoko postawiony funkcjonariusz wpatrywał się długo w znaczek, patrzył na kuzynkę, znów na znaczek, a potem powiedział podobno: „Co 'Solidarność', 'Solidarność'? Już niedługo, zobaczcie! Zginie dwa miliony, zginie trzy, ale będzie w tym kraju porządek!”. — I pogroził kuzynce palcem. Był październik lub listopad i ona, bardzo przejęta pogrozkami, prosiła mnie, aby zawiadomić kogoś z Regionu. Zbagatelizowałem jej opowiadanie, choć nazwisko tego człowieka było znane i mógł po pijanemu powiedzieć to, czego nie wolno mu było mówić. Nie poszedłem do Regionu — czy chcieliby zresztą słuchać? A jednak to także był sygnał.

W Sanoku przewodniczący „Solidarności” z „Autosanu” zapytał mnie — a było to dziewiątego lub dziesiątego grudnia: „Jak pan sądzi, wprowadzą stan wyjątkowy?”. Wtedy jeszcze mówiliśmy o „stanie wyjątkowym” — licząc się z wprowadzeniem tego stanu przez Sejm, na co odpowiedział miał być strajk powszechny. Powiedziałem, że moim zdaniem nie. Na oczach Europy, świata? Co powiedzą komuniści w krajach zachodnich? Kilka godzin wcześniej widziałem na placu przed koszarami żołnierzy i milicjantów w hełmach, a jednak naiwnie wierzyłem, że do tragedii nie dojdzie. Przewodniczący z „Autosanu” był mniej naiwny: „A ja myślę, że wprowadzą”. Rano, 13 grudnia, przypomniałem sobie rozmowę z tym młodym człowiekiem. Był już pewno w Uhercach, niedaleko Soliny — w barakach po starym osiedlu robotniczym.

Z Sanoka do Krakowa jechałem w dobrym nastroju. To tam spotkałem grupę czytelników „Cudownej meliny”. Oni tę książkę znali i pamiętali, ponieważ to w Sanoku właśnie działał „gang czosnkowy”. Byli przekonani, że postacie sekretarza i dyrektora szpitala — dwóch głównych organizatorów przemytu — to postacie autentyczne, właśnie ci z Sanoka, o których mówili wymienając nazwiska. Byli zdziwieni, kiedy wyjaśniłem, że tylko echo samej sprawy dotarło do mnie. Ktoś prosił, żebym wysłał „Melinę”, kiedy wyjdzie w „Czytelniku”, bo tam, w Sanoku, mogą być trudności z kupieniem. Zapisałem adres.

Przed podróżą do Krakowa pojechałem na kilka godzin do Soliny. Pod oknami domu, w którym mieszkaliśmy z żoną i małym Maćkiem rosły jeszcze jałowce, posadzone przeze mnie w roku 1964. Przyniosłem je wtedy w wiaderku wykopane na stoku Jaworu nad osiedlem. Były małe, tak samo jak krzak dzikiej róży, który wtedy posadziłem. Różę wycięto, ale te jałowce rozrosły się i były widoczne z daleka. Wróciły wszystkie wspomnienia z tamtych lat. Wilk przemykający między drzewami na tym samym Jaworze. Wycieczki na nartach zimą. Kąpiele w ciepłym Sanie latem. Orzeł zrywający się z drzewa niedaleko Sokola, ludzie z tamtych lat. Wszyscy powyjeżdżali, odeszli, poumierali — Solina, jaką widziałem w ten grudniowy przeddzień stanu wojennego, była zupełnie innym, obcym miejscem. A jednak, kiedy jechałem autobusem do Krakowa, myślałem o Solinie.

Dopiero na dworcu w Krakowie wróciła rzeczywistość. Wielki napis białą farbą nad przejściem podziemnym wołał: „ZOMO won za Ural!”.

Ale oni ani myśleli się wynosić.

W południe pojechałem na Krakowskie Przedmieście do

Związku. Dopiero tam naprawdę zorientowałem się, co rzeczywiście się dzieje, jaka jest sytuacja. Wszyscy obecni w pokojach, na korytarzach i schodach, przekazywali sobie wiadomości. Gorączkowo, szybko, każdy opowiadał, co wiedział. Zaczęła powstawać lista internowanych kolegów. Przychodzili inni ludzie, spoza Związku — głównie uczestnicy przerwane Kongresu Kultury Polskiej. Zrezygnowałem z obecności na tym Kongresie, aby pojechać do Sanoka. Teraz dowiadywałem się, kogo z uczestników aresztowano. Doszukiwano się związku między ostrymi wystąpieniami a internowaniem. Tak mówiono o Kijowskim. Wielu z obecnych, podobnie jak ja, miało już kontakt z SB — w domach lub wożonych było na przesłuchania. Między innymi Marek Nowakowski i Wiktor Woroszyński — obaj byli na Rakowieckiej. Wiktora jeszcze wtedy puścili. Tam, na Krakowskim Przedmieściu, dowiedziałem się o internowaniu Piotra Wierzbickiego, Jacka Bocheńskiego, Andrzeja Drawicza. Kiedy siedzieliśmy w kilku pierwszych rzędach sali konferencyjnej, próbując wspólnie zastanowić się, co można zrobić, jak protestować, jak zachować się — pojawił się sekretarz naszego Związku, Zbigniew Kubinowski. Po kilkugodzinnym przesłuchaniu na Rakowieckiej. Opowiedział o tym przesłuchaniu.

Byli wtedy wśród nas Jan Józef Szczepański (przyjechał z Krakowa na Kongres), Andrzej Braun, Andrzej Jarecki, Jerzy Sito, Artur Międzyrzecki. Z innych osób obecnych na tym pierwszym, nielegalnym już spotkaniu w siedzibie ZLP, pamiętam aktorów — Łapickiego i Szczepkowskiego. Był chyba Olbrychski. Do minowały uczucie żalu i świadomość bezsilności. Mimo to przez następnych kilkanaście dni nasz Związek stał się miejscem spotkań, nawiązywania kontaktów, zbierania wiadomości — pisania pierwszych list internowanych, które potem poszły na Zachód. Ustaliliśmy kolejność codziennych dyżurów.

Już wtedy, w niedzielę, zastanawiano się, jak długo dadzą nam się tu spotykać? Związek Dziennikarzy rozwiązali i zamknęli od razu — zapewne nasza kolej teraz. Ale przez pierwszy tydzień stanu wojennego Związek Literatów jeszcze żył, nawet tętnił życiem. Przede wszystkim zbierano wiadomości o internowanych, próbowano organizować akcję pomocy ludziom szczególnie dotkniętym przez stan wojenny: starym, chorym, pozbawionym opieki. Przez kilka pierwszych dni nie wiadomo było, gdzie są internowani. Dopiero od pierwszych zwolnionych dowiedzieliśmy się, że byli w Białołęce pod Warszawą, później helikopterem przewieziono ich do Jaworza. Mówię o naszych kolegach, przyjaciółach i znajomych z tak zwanych środowisk twórczych. Traktowani byli z pewną kurtuazją, delikatnie, a warunki w jakich zna-

leżli się w Jaworzu były nieporównanie lepsze od warunków, w jakich trzymano internowanych działaczy robotniczych.

Kiedy ZLP rzeczywiście zamknięto (formalnie zawieszono do połowy 1983 roku) — miejscem spotkań, kontaktów i zbierania wiadomości stał się klasztor na Piwnej przy kościele świętego Marcina. Mówiło się: „Idę do Marcina”, „Byłem dziś u Marcina”, „Spotkamy się u Marcina”. Święty Marcin przejął funkcję opiekuna internowanych i prześladowanych na wiele lat. Pełni tę funkcję do dziś. Ale pierwszym miejscem był Związek Literatów i tam właśnie powstawały niekompletne i stale uzupełniane listy internowanych. Pamiętam jak w związkowej stołówce witaliśmy zwolnionych po kilku dniach — Jacka Bocheńskiego i Andrzeja Wernera. Jan Józef Szczepański opowiadał o swojej rozmowie z generałem Kiszczakiem, kiedy to uzyskał zgodę na dostarczenie paczek do Jaworza. Podania, wnioski, prośby o zwolnienia były później składane bez przerwy. Wiele razy byliśmy z Markiem u pani Skibniewskiej w Sejmie, znosząc jej listy tych, którzy ze względu na wiek, stan rodzinny, choroby — przede wszystkim powinni być zwolnieni. Niewiele to skutkowało. Wicemarszałek Skibniewska wkładała je do teczki pęczniejszej od podobnych podań. Na pewno jednak próbowała pomóc ludziom.

Zastanawialiśmy się często — także wiele osób mnie o to pytało — dlaczego właściwie i mnie i Marka nie internowali? Byliśmy organizatorami Komisji do Współpracy z „Solidarnością”. Z naszej inicjatywy podpisana została umowa o współpracy w dziedzinie kultury — ja sam ułożyłem tę umowę. Zorganizowaliśmy i rozkręcili „bank prelegentów” — byliśmy naprawdę zaangażowani w tworzenie więzi między ludźmi kultury, żeby raz użyć tych kilku górnołotnych słów, a klasą robotniczą zrzeszoną w „Solidarności”. Było to wszystko na pewno bacznie obserwowane i musiało budzić niepokój. Na ten rodzaj kontaktów i działalność na pewno byli uczuleni. A jednak nie internowali.

Zabrzmi to humorystycznie, ale faktem tym obaj byliśmy rozczarowani. To było tak, jakby zlekceważono nas i naszą działalność, pominięto układając listy najbardziej niebezpiecznych dla reżimu ludzi, zaliczono do drugiej kategorii. Pozostając na tak zwanej wolności — wtedy, w grudniu i styczniu 1982 roku — wystawialiśmy sobie nienajlepsze świadectwo: widocznie nie byliśmy tacy aktywni. Najlepsi siedzieli w obozach internowania, w więzieniach i aresztach całego kraju. Pozostawiono gorszych — drugi rzut, trzeci garnitur. Internowanie nobilitowało, dodawało splendoru, powagi, siły. Wiele razy później słyszałem lub czytałem wypowiedzi, w których istotnie było coś z tej dumy, zadowolenia

z siebie, poczucia własnej wartości. Internowani tworzą dziś jakby nową grupę kombatanów — tych, którzy naprawdę nadstawiali głowy. A reszta? Oto w jednym zyciorysie jest zaznaczone „internowany”, a w innym nie ma. Puste miejsce, plama i nic na to nie można poradzić.

Dlatego wtedy obaj byliśmy zmartwieni, choć nie rozmawialiśmy na ten temat nigdy. Zostawiając na boku żartobliwy ton — w końcu internowanie nie było pobytem w „domu pracy twórczej”, a dla wielu (zwłaszcza ze środowisk robotniczych, przetrzymywanych w zupełnie innych warunkach) często początkiem życiowej tragedii, rozstań z rodziną, utraty pracy, przymusowych wyjazdów za granicę — zapewne był powód owego „nieinternowania” nas. Tym bardziej jeśli przyjąć, że nic, co robia, nie dzieje się bez kalkulacji. Mogli przecież przeznaczyć pewną liczbę osób, teoretycznie „zasługujących” na internowanie, do odegrania roli ludzi, którzy „spokojnie spacerują na wolności”. Skąd wzięła się potem, kilkakrotnie powtórzona przez rozgłosnię RWE, wiadomość o internowaniu i Marka i mnie? Ktoś im tę wiadomość podsunął, było zapewne więcej szerzonej dezinformacji — podrzucania fałszywych danych po to, aby sprawę internowań, liczby internowanych, nazwisk — zaciemnić. Oczywiście wszystko to w sferze domysłów. Dowodów nie ma. Listy internowanych układane były, jak wiadomo, wcześniej, mógł decydować przypadek. A może istotnie nie byliśmy niebezpieczni?

Piotr Wierzbicki przysłał list z Jaworza, w którym napisał: „Zdajemy sobie sprawę, że być teraz tu jest znacznie łatwiej niż na zewnątrz”. I chyba tak było. To „spokojne spacerowanie na wolności” oznaczało w rzeczywistości gorączkową bieganie — podejmowanie beznadziejnych prób pomocy ludziom, o których nawet nie było wiadomo, gdzie są. Oglądanie skotów z białoczerwonymi szachownicami na blachach, żołnierzy w czapkach przypominających „ruskie papachy”, grzejących zmarznięte ręce przy koksowych piecykach, rosnące z dnia na dzień poczucie bezradności i bezsilności. Żyliśmy w świecie zupełnie zmienionym, w ciemnym, jakby wymarłym mieście, patrząc na spikerów w mundurach czytających telewizyjne komunikaty w wieczornych dziennikach, jak na upiorne zjawy. Wszystko czym żyliśmy od wielu miesięcy, nasze nadzieje, cały nasz świat — wszystko leżało teraz w gruzach i żadnych złudzeń nie można już było mieć. To jedno było pewne.

Tymczasem świat protestował. Codziennie dowiadywaliśmy się z Wolnej Europy, Głosu Ameryki i BBC o nowych protestach,

oświadczeniach, wypowiedziach — wydawało się, że Zachód po raz pierwszy od lat zjednoczył się w obronie „Solidarności”. Ogłoszono sankcje — widać było, że są naprawdę oburzeni — „Solidarność” była nie tylko naszą nadzieją. W tym chórze potępień — oświadczeń różnych rządów, organizacji, związków, stowarzyszeń twórczych, wybitnych osobistości — w pierwszych tygodniach po 13 grudnia zastanawiający musiał być brak jakiegokolwiek protestu w kraju, tu gdzie na oczach świata deptano ludzkie prawa (aby znów użyć patetycznych słów). To milczenie mogło być oczywiście usprawiedliwione niecodzienną sytuacją — zerwaniem więzi społecznych, brakiem możliwości ogłoszenia takiego protestu itd. W pewnej chwili zacząłem myśleć o tym w czasie codziennego słuchania audycji zachodnich. Dlaczego cały świat protestuje, a tu, w Polsce, głucha cisza? Do podobnego wniosku doszło kilka innych osób — postanowiliśmy napisać coś w rodzaju oświadczenia, zebrać podpisy i złożyć taki protest w Sejmie. Było to działanie na miarę naszych możliwości, związane ze starymi nawykami — wywodzącymi się z czasów „gierkowskich” i tamtej „jawnej opozycji”, kiedy protestowało się, zbierając podpisy pod wspólnymi oświadczeniami, przeciwko polityce ekipy Gierka i jej bardziej oburzającym poczynaniom. Tym razem sytuacja była zupełnie inna: na ulicach stały czołgi. Czy wobec tego warto było protestować w ten sposób? Co taki protest znaczył? Podobne wątpliwości, jak okazało się później, miało wiele osób — poza innymi motywami odmowy przyłączenia się do naszej akcji, ten motyw był najczęstszy. Zupełnie inna sytuacja! Wydawało się jednak, że wojna, jaką ekipa Jaruzelskiego wypowiedziała społeczeństwu, toczy się nie tylko na ulicach. Poza faktem, że jedna strona siedziała w czołgach i była uzbrojona po zęby, a druga była bezbronna — toczyła się wojna na słowa. Byliśmy znów poddawani bezustannie działaniu prymitywnej propagandy — dzień w dzień „Solidarność”, jej działacze, jej wszystkie dokonania i plany, idea „Solidarności” — wszystko było mieszane z błotem, oczerniane, oskarżane i obarczane winą za stan, w jakim znalazł się kraj. Czy można było milczeć? Czy nasze milczenie — tych wszystkich, którzy zostali, nie byli internowani, którzy jednocześnie czuli się głęboko związani z „Solidarnością”, z tym wielkim, wspaniałym ruchem, z nadzieją jaką niósł — nie oznaczało poddania się, biernej postawy wobec wydarzeń? Jak długo może trwać milczenie? Byłem przekonany, że oświadczenie potępiające stan wojenny, internowania i prześladowania działaczy „Solidarności” trzeba ogłosić. Im więcej będzie pod takim oświadczeniem nazwisk wybitnych, znanych i liczących się — tym oczywiście lepiej.

W pośpiechu, nieudolnie, zapewne ulegając emocjom i zacieźwieniu, napisałem projekt. Podobny projekt napisał Janusz Anderman. Były jeszcze inne propozycje. Po dyskusji i poprawkach wybrano mój tekst, który później ulegał kolejnym, coraz to istotniejszym zmianom i modyfikacjom. Z tym tekstem poszedłem na zebranie Zarządu Głównego ZLP. Na tym pierwszym „nielegalnym” zebraniu mieliśmy omawiać sytuację ogólną, sytuację Związku, kierunki ewentualnych działań. Ale przede wszystkim mieliśmy zastanowić się nad wydaniem wspólnego oświadczenia zawierającego nasz protest przeciwko przemocy. Chciałem przeczytać gotowy projekt takiego oświadczenia i uzyskać poparcie dla naszej inicjatywy.

W umówionym mieszkaniu zastałem przede wszystkim kolegów z Zarządu Głównego, ale także kilka osób spoza tego gremium. Idąc na zebranie byłem przekonany, że nasz projekt uzyska poparcie i zebrani bez zastrzeżeń przyłączą się do akcji. Dyskusja i poszczególne wypowiedzi wskazywały jednak, że obecni są zdecydowanie przeciwni wystąpieniu z podobnym protestem. Przeciwny owego wieczoru był nawet mój przyjaciel Marek. Motywowano takie stanowisko różnie. Powtarzano argument o zupełnie nowej sytuacji, w której stare formy, do jakich zaliczano oświadczenia i pisemne protesty, przeżyły się i nie mają żadnego znaczenia. Jakie nowe formy stosować? Na to pytanie nikt nie szukał odpowiedzi. Obawiano się represji, wzmożenia prześladowań. Jakby złożenie tego jednego oświadczenia w Sejmie miało spowodować lawinę odwetowych posunięć ze strony władz. Przypuszczano zapewne, że wszyscy sygnatariusze niezwłocznie zostaną internowani. Nie pamiętam już konkretnych wypowiedzi ani tego, kto i co mówił — zapamiętałem ogólny ton. Mój jedyny głos „za” niewiele znaczył, tym bardziej, że nie mam daru przekonywania ludzi i nie potrafię ostro bronić stanowiska. Mówiłem o tej wojnie na słowa, o milczeniu jakie zapadło w kraju, o lawinie protestów, ale tylko za granicą. Jakie wrażenie odniosą internowani, pytałem, jeśli słuchają radia (okazało się później, że w Jaworzu rzeczywiście słuchali): protestuje cały świat, a my tutaj siedzimy cicho? Moje argumenty wypadły blado — nikt nawet nie zaproponował, abym przeczytał projekt „Oświadczenia”, z jakim przyszedłem. Opuściłem zebranie głęboko poruszony. Żegnając się z Markiem, gdzieś na Freta, powiedziałem, że jednak „Oświadczenie” będzie — jeśli jedni nie podpiszą, to inni nie będą się bali. Nie myliłem się.

W kilka osób, w niewielkiej grupie, zaczęliśmy w ciągu następnych dni zbierać podpisy. Spotykaliśmy się w mieszkaniach prywatnych, w korytarzach klasztornych „u świętego Marcina”,

na ulicach w ruchliwych punktach miasta. Spośród organizatorów tej akcji pamiętam Teresę Bogucką, niedawno zwolnioną z Jaworza, Janusza Andermana przed internowaniem. Byli Maciej Prus, Maciej Karpiński, Zyta Oryszyn, muzyk Tadeusz Kaczyński, dziennikarka Marta Miklaszewska. Kilku filmowców: Jacek Petrycki, Tomasz Pobóg-Malinowski, Szymon Bojko. Oświadczenie było adresowane do Sejmu PRL. Kopię oraz oryginały podpisów mieliśmy złożyć na ręce prymasa Glempa.

Był styczeń 1982 roku — minęło kilka tygodni od wprowadzenia stanu wojennego. Wydawać by się mogło, że pierwszy szok minął, a jednak przekonałem się, jak wielu ludzi, skądinąd godnych szacunku i podziwu, było po prostu przestraszonych i bało się złożyć swój podpis. „Bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy”... — pisał w poruszającym „Przesłaniu pana Cogito” Zbigniew Herbert. Od słów do czynów, nawet jeśli chodzi o kilka literek na papierze, daleka droga. Opuszczam zastronę na nazwiska — pamiętam jednak wielkie rozczarowania, zaskoczenia, jakie w ciągu tamtych kilku dni przeżywałem, krążąc po mieście i zachodząc do różnych znanych osób niespodziewanie, bo przecież inaczej nie mogłem tego robić.

Kiedyś Wiktor Woroszyński powiedział mi, że zbieranie podpisów pod protestami jest zajęciem wyjątkowo przykrym — w brutalny, nie pozostawiający wątpliwości sposób demaskuje ludzkie postawy i charaktery. Miał rację.

Zbierałem podpisy głównie wśród literatów i stopniowo, kiedy miałem już kilkanaście, m.in. Mariana Brandysa, Juliana Strykowskiego i Tadeusza Konwickiego — zacząłem nabierać pewności, że oświadczenie złożymy. Akcja trwała zaledwie kilka dni — chodziło o szybkie działanie. Kiedy podpisali aktorzy: Daniel Olbrychski, Danuta Szaflarska, Krzysztof Kolbelger i Mieczysław Voit, reżyserzy: Antoni Krauze, Feliks Falk, Krzysztof Kieślowski, Jan Łomnicki i Marcel Łoziński, adwokaci Jan Olszewski i Stanisław Szczuka, plastycy — profesor ASP Waldemar Świerzy i prezes Zarządu Głównego Związku Plastyków Jerzy Puciata, Aleksander Wojciechowski — przewodniczący Polskiej Sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki, profesorowie Edward Lipiński i Jan Kielanowski i w końcu Andrzej Wajda — wiedzieliśmy, że „Oświadczenie” będzie zauważone i spełni swoją rolę.

Wieczorem, jednego z tamtych dni, niedługo przed godziną policyjną, przyjechał do mnie Marek Nowakowski i także złożył podpis. W sumie mieliśmy tych podpisów 102. W dwa dni

potem wysyłaliśmy z Markiem szarą kopertę — list polecony do Sejmu. Kopię, wraz z listą sygnatariuszy, daliśmy także do rąk pani Skibniewskiej — wicemarszałkowi Sejmu, korzystając z naszych przetartych ścieżek do jej gabinetu. Następnego dnia spotkał się z Jackiem Petryckim w sekretariacie Kurii na Miodowej. Przywiózł teczkę z oryginałami podpisów. Kopię „Oświadczenia” i te wszystkie oryginalne podpisy na kilkunastu kartach złożyliśmy „na ręce Prymasa”. Przyjmował nas młody ksiądz, życzliwy i uśmiechnięty. Tego samego dnia dostali tekst „Oświadczenia” zagraniczni korespondenci.

„Wszystkie narody mają prawo do samostanowienia. Z mocy tego prawa swobodnie określają one swój status polityczny i swobodnie zapewniają swój rozwój gospodarczy, społeczny i kulturalny’.

Zasada powyższa, wyrażona w Międzynarodowych Paktach Praw Człowieka, ratyfikowanych przez Radę Państwa PRL w 1977 roku — jest podstawową zasadą prawa międzynarodowego, wielokrotnie potwierdzaną w dokumentach Organizacji Narodów Zjednoczonych, a także wyrażoną w Akcie Końcowym Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Helsinkach, podpisanym przez przedstawiciela Polski w 1975 roku.

Stwierdzamy, że zasada ta leżała u podstaw ruchu odnowy w naszym kraju po sierpniu 1980 roku. Z jej respektowaniem, zarówno przez siły zewnętrzne, jak i władze PRL, społeczeństwo polskie wiązało nadzieje na trwałość i nienaruszalność demokratycznych przemian. Dlatego oświadczamy, że decyzją o wprowadzeniu 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego w Polsce złamała podstawową zasadę prawa międzynarodowego do samostanowienia narodów. Złamała także inną zasadę prawa międzynarodowego: o powstrzymaniu się od użycia siły przy rozwiązywaniu wszelkich konfliktów.

Nasze oburzenie i sprzeciw budzą metody stosowane w celu zastraszenia i zniewolenia społeczeństwa. Oburzenie budzą próby rozbicia narodu: przeciwstawianie robotników — żołnierzom i milicjantom, gorsze traktowanie internowanych robotników i chłopów, szeregowych członków 'Solidarności', niż internowanych przedstawicieli inteligencji, blokada łączności w całym kraju. Protestujemy przeciwko brutalnemu łamaniu strajków robotniczych przez milicję i wojsko, strzelaniu do ludzi, biciu, internowaniu wielu tysięcy osób w więzieniach i obozach. Protestujemy przeciwko rozbijaniu rodzin, oddzielaniu dzieci od rodziców, więzieniu ludzi chorych, starych i niepełnoletnich.

Najwyższy niepokój budzi paraliżowanie życia kulturalnego, nauki, oświaty, obozwładnianie środków informacji.

Za haniebną i bezprawną uważamy: łamanie ludzkiej godności przez zmuszanie do podpisywania tak zwanej deklaracji lojalności.

ci, stosowanie różnego rodzaju nacisków i szantażu oraz wyrzucanie z pracy tych, którzy odmawiają podpisu.

Domagamy się od władz położenia kresu konfrontacji z własnym narodem: zniesienia stanu wojennego, zwolnienia internowanych, zaprzestania represji wobec członków NSZZ 'Solidarność'. Domagamy się podjęcia dialogu z legalnie wybranymi władzami 'Solidarności' i Kościołem.

Zwracamy się z apelem do wszystkich postów do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, do Organizacji Narodów Zjednoczonych i powołanego przy tej Organizacji Komitetu Praw Człowieka — o podjęcie wszelkich dostępnych kroków w celu doprowadzenia do zniesienia stanu wojennego w naszym kraju.

Jesteśmy przekonani, że wyrażamy wolę całego społeczeństwa polskiego: robotników i chłopów, inteligencji a także żołnierzy i milicjantów, zmuszonych do bezsensownego stania z bronią gotową do strzału w miastach i wsiach. Poza okresami okupacji hitlerowskiej i stalinizmu nie było na naszej ziemi tyłu i tak licznie zapełnionych więzień i obozów, jak dziś, w styczniu 1982 r.

Ktokolwiek dotąd próbował zniewolić nasz naród, napotykał na opór i gniew. Przypominamy to tym, którzy stan wojenny wprowadzili".

Warszawa, 15 stycznia 1982 roku.

Tak brzmiało nasze „Oświadczenie 102”. Było od razu odnotowane w audycjach radia zachodniego. Wszystkie rozgłośnie przez kilka dni mówiły o nim, odczytując po kilka razy tekst i wymieniając nazwiska znanych sygnatariuszy. Mówił mi potem Piotr, że w Jaworzu też słuchali. Było sygnałem, że ktoś na zewnątrz protestuje, że nie wszyscy umilkli. W kraju sparaliżowanym przez czołgi i patrole, kraju przepełnionych więzień i innych „miejsc odosobnienia”, wobec trwającej nieprzerwanie ofensywy komunistycznej propagandy, ten głos protestu, dzięki zagranicznym rozgłoszonom słyszany w całym kraju, przez całe społeczeństwo — był chyba ważny. I nie warto odbierać mu znaczenia tylko dlatego, że nie wszyscy chcieli lub mogli podpisać.

Władze zareagowały milczeniem. Później, odpowiadając na pytania korespondentów lub w wewnętrznych raportach o nastrojach społecznych w Polsce — bagatelizowały je i starały się pomniejszyć znaczenie. Żadnych represji w stosunku do sygnatariuszy, o ile wiem, nie było.

Jeszcze przez wiele tygodni później — w Warszawie, potem w innych miastach i w różnych środowiskach — prowadzono akcję zbierania podpisów pod tym protestem. Podpisało oświadczenie, w tej drugiej fazie, wiele znanych osób, między innymi aktorzy Jacek Fedorowicz i Jerzy Radziwiłłowicz, Jerzy Sthur i Teresa

Budzisz-Krzyżanowska, poetka Wisława Szymborska, prorektor KUL-u ks. Henryk Wojtyska, profesor Janusz Sławiński i lekarz Marek Edelman. Jerzy Turowicz i Józefa Hannelowa z *Tygodnika Powszechnego*. Wszystkie obowiązujące bariery wprowadzone przez stan wojenny — zakaz podróżowania bez zezwolenia, gozdina policyjna, sprawdzanie dokumentów i rewidowanie przez patrole na ulicach — miały skutecznie przeciwdziałać takim jak nasza inicjatywom. A jednak przez kilka jeszcze miesięcy co pewien czas składaliśmy w Sejmie, lub inni wysyłali, listy nowych sygnatariuszy, solidaryzujących się z „Oświadczeniem”. W końcu akcja objęła zasięgiem wiele miast w kraju i pobiegła już własnym torem, wymykając się naszej kontroli.

Kiedy zaczynaliśmy tę akcję widziałem wielu ludzi sparaliżowanych strachem, bo w końcu był to strach, jakichkolwiek usprawiedliwień szukać lub jakichkolwiek słów zastępczych użyć. To, że potem znalazło się tak wielu, którzy nie bali się złożyć swego podpisu pod tekstem zdecydowanie potępiającym stan wojenny i że w większości były to osoby nieznane opinii publicznej, których nie mogły chronić przed represjami środowiska lub nazwiska — było pokrzepiające. Świadczyło o głębokim, powszechnym pragnieniu wyrażenia własnego sprzeciwu wobec wielkiej niesprawiedliwości, jaka spadła na kraj.

Jak powszechna była to akcja i jakie mogły być jej konsekwencje, przekonałem się, kiedy Teresa Bogucka zawiadomiła mnie, że u pewnego studenta, zatrzymanego przez patrol na ulicy, znaleziono tekst naszego „Oświadczenia” i listę podpisów. Został postawiony pod murem, z rękami do góry, później odprowadzony do Komendy Garnizonu na Krakowskim Przedmieściu i zapewne jest teraz w więzieniu.

Była to wyjątkowo przykra wiadomość. Jakaś część odpowiedzialności za los młodego człowieka spadała na nasze głowy. W końcu to my układaliśmy to „antywojenne” oświadczenie, my rozkręcaliśmy akcję zbierania podpisów i my teraz spokojnie siedzieliśmy w domach, podczas gdy młodzi ludzie za nas nadstawiają głowy. W tym duchu mogła zacząć trąbić propaganda — był to jeden z chętnie wysuwanych zarzutów.

Rozpoczęliśmy starania o uwolnienie zatrzymanego studenta polonistyki, jak okazało się Marka S. — sympatycznego młodego człowieka, piszącego pracę dyplomową o Tadeuszu Micińskim. Wszystkich tych szczegółów dowiedziałem się trochę później, kiedy udało mi się dostać na salę Sądu Wojskowego przy ulicy Nowowiejskiej, gdzie odbyła się pierwsza rozprawa. Uzналиśmy,

pamiętam, że nasza obecność na tej rozprawie jest konieczna — chcieliśmy pokazać, że ktoś jednak zwraca uwagę na tego typu procesy oparte na absurdalnych zarzutach. Jakim przestępstwem było zebranie 13 podpisów kolegów na kartce papieru, pod „Oświadczeniem” oficjalnie złożonym w Sejmie i podpisanym przez wiele znanych osobistości? Dlaczego to my wszyscy, pierwsi sygnatariusze, organizatorzy akcji, nie ponosiliśmy odpowiedzialności, a ten młody człowiek, przypadkiem zatrzymany na ulicy, miał za to odpowiadać? Oskarżono go z artykułów 46 ust. 2 i 48 ust. 2 „dekretu o stanie wojennym” (organizowanie protestów i rozpowszechnianie fałszywych wiadomości). Groził mu wyrok do trzech lat więzienia.

Na rozprawę w Rejonowym Sądzie Wojskowym wpuszczano tylko najbliższą rodzinę i świadków, ale jakimś cudem udało mi się wejść po okazaniu legitymacji Związku Literatów. Zaskoczony żołnierz w okienku wypisał, po chwili wahania, przepustkę. Weszła także Marta Miklaszewska, z którą wspólnie prowadziliśmy akcję w obronie aresztowanego. Nasz kilkugodzinny pobyt w Rejonowym Sądzie Wojskowym przy ulicy Nowowiejskiej kojarzy mi się z niezachwianą, solidarną postawą świadków-studentów, kolegów i koleżanek oskarżonego. Wszyscy otwarcie mówili, że solidaryzowali się z treścią „Oświadczenia” i dlatego je podpisali. Wiedzieli, że było złożone w Sejmie, nie przypuszczali więc, że może być „nielegalne”, a zbierania podpisów przez koleżę nie uważają za przestępstwo. Taki mniej więcej był ton wszystkich wystąpień — dziewcząt i chłopców, studentów polonistyki. Przypominałem sobie zachowanie wielu moich znajomych, którzy złożenia podpisu odmówili. Ci młodzi ludzie nie tylko podpisali, ale otwarcie solidaryzowali się z „Oświadczeniem” na sali sądu wojskowego, w obecności prokuratora i sędziów w mundurach. Wobec ich postawy i argumentacji umundurowani przedstawiciele nowego wojskowego ładu nie znajdowali dostatecznie mocnych kontrargumentów. To wszystko było naprawdę budujące, ale z drugiej strony kilkugodzinny pobyt na rozprawie Marka S. mówił o bezwzględności ogromnego aparatu „wymiaru sprawiedliwości”, o całkowitej dezorientacji świadków-żołnierzy z patrolu, który zatrzymał Marka S.

Zamieniłem w czasie przerwy kilka słów z małym prokuratorem w mundurze, z gwiazdkami kapitana lub porucznika. Robił sympatyczne wrażenie i zdawało się, że chce z nami rozmawiać. Powiedziałem, że jesteśmy sygnatariuszami „Oświadczenia”, mówiłem o naszym zaskoczeniu tym procesem, że w takim razie

należałoby aresztować i skazać innych ludzi, bardzo wielu ludzi, jeśli sąd tego studenta skaze. Wysłuchał moich uwag z pobłażliwym uśmiechem i nic nie powiedział.

Marek S. musiał jednak budzić sympatię nie tylko tych, wśród których żył na wolności. Wzbudzał sympatię nawet u tych biurokratów w mundurach — sędziów i prokuratorów wojskowego sądu. Mówił mi później, że również eskorta — żandarmi — odnosiła się do niego życzliwie.

Tego samego dnia wieczorem sąd ogłosił wyrok: półtora roku z zawieszeniem. Miano go zwolnić następnego dnia, bo w dniu ogłoszenia wyroku było już za późno. Pamiętam ogólną radość i odprężenie na małej sali sądu wojskowego przy ulicy Nowowiejskiej. Nawet uśmiechy żandarmów z eskorty: dwóch z pozoru całkowicie obojętnych dryblasów w hełmach, siedzących po dwóch stronach oskarżonego. Wyszliśmy na ciemną Nowowiejską około dziewiątej lub dziesiątej wieczorem i pamiętam, że był to jeden z miłszych wieczorów w czasie pierwszych kilku miesięcy stanu wojennego: świadomość, że krzywda, do jakiej nasza akcja zbierania podpisów mogła się przyczynić nie będzie się działa. Chmura przeszła bokiem.

Było to, jak okazało się wkrótce, złudzenie. Po kilku dniach prokurator — ten sam mały kapitan, uśmiechnięty i unikający odpowiedzi na moje zasadnicze pytania — złożył rewizję do wojskowego sądu wyższej instancji. Sprawę miała w rękach, oczywiście, SB i mały prokurator wykonywał tylko jej polecenia. Marek S. był wprawdzie na wolności, ale w razie zmiany wyroku przez sąd rewizyjny i skasowania zawieszenia groził mu powrót do więzienia na Rakowieckiej, gdzie już przesiedział kilka tygodni. Naszą akcję obrony studenta musieliśmy prowadzić dalej.

Okręgowy Sąd Wojskowy istotnie skasował zawieszenie. Nie zostałem tym razem wpuszczony na salę. Czekałem na wiadomość w umówionym miejscu — przyszła Marta Miklaszewska, bardzo przygnębiona. Marek S., o ile pamiętam, ukrywał się przez pewien czas, aby uniknąć „doprowadzenia” do więzienia. Wydeptaliśmy wiele ścieżek szukając możliwości przyjścia mu z pomocą.

Mam wrażenie, że ostatecznie pomogła interwencja pani Skibniewskiej — obiecała osobiście wręczyć do rąk Jabłońskiemu pismo w sprawie Marka S. To pismo podpisał adwokat. Była to jedna z nielicznych, jak dowiedziałem się później, skutecznych interwencji.

Napisałem na kanwie tej historii krótkie opowiadanie „Stań

pod murem". Wiele osób zarzucało mi jednostronność czy jedno-wyniarowość tego opowiadania, podobnie jak zarzucano jedno-stronność Markowi Nowakowskiemu, oceniając jego „Raport o stanie wojennym”. Być może, że tego typu literatura — doraź-na, sama spełniająca rolę oskarżycielki systemu, bliższa reporta-żowi, niż tradycyjnej „literaturze pięknej” — jest dla pewnych ludzi gatunkiem poślednim. Ale przecież ktoś musiał i takie rzeczy pisać. Mówić o tym, co się działo. Myślę, że motywem była impulsywność, intensywność przeżywania tego, co było nao-kółko nas, niecierpliwość. Nie można było czekać i milczeć.

Kiedy dziś czytam opowiadanie „Stań pod murem”, dostrzegam raczej naiwność mojego jednowymiarowego protestu, ale jedno-cześnie odnajduję w tym opowiadaniu atmosferę tamtego okresu. Te piecyki z koksem na ulicach, zmarznięci żołnierze, nagle obo-jętni i obcy ludzie naokoło. Ten chłopak postawiony pod mu-rem z rękami do góry i dziewczyna usiłująca powoływać się na „prawa człowieka” — jak bardzo byli słabi i bezbronni. Dramat był w różnicy postaw studentów i żołnierzy. Czy chłopak w mundurze, rówieśnik postawionego pod murem, kiedy krzyczał „ręce do góry!” i trzęsły mu się przy tym wargi, był winien? Wobec kogo? To wszystko chciałem wyrazić, ale stan, w jakim opowiadanie pisałem, presja chwili, emocje — wycisnęły na nim ślad. Mimo to włączyłem opowiadanie do tomu „Pustynia Gobi”. Jest pewnym świadectwem i dokumentem tamtego czasu. Nie-wiele więcej napisałem. Nie mogłem swobodnie pisać. Stan wo-jenny, to wszystko co się działo, było jak wielki ciężar. Dlatego pamiętam podziw i jednocześnie trochę tej ludzkiej kłującej za-zdrości, kiedy patrzyłem na Marka Nowakowskiego w tamtych dniach.

Na początku chodziliśmy z Markiem często do różnych oso-bistości, uczciwych i jeszcze nie wyłączonych z życia oficjalnego, znosząc im listy internowanych i podania o zwolnienia. Chodzi-liśmy także w sprawie naszego „Oświadczenia”, potem w sprawie Marka S. W pewnym momencie zorientowałem się jednak, że Marek stracił zainteresowanie dla tej działalności. Zaczął wyłączać się, unikać wspólnych odwiedzin „uczciwych prominentów”. Później powiedział mi, że pisze — dużo pisze. Pamiętam także poruszenie, jakie wywołało jego opowiadanie z przyszłego „Ra-portu o stanie wojennym”, wydrukowane w pierwszym numerze podzielnego *Tygodnika Mazowsze*. Fakt, że podpisał to opowia-danie imieniem i nazwiskiem, dla wielu osób, zwłaszcza z naszego środowiska, był niezrozumiały. Uważano to za niepotrzebne szar-zowanie, prowokowanie „czerwonych”, podstawianie się itp.

Było to, oczywiście, uproszczone i niesprawiedliwe myślenie. Zawsze ci, których nie stać na odważny gest, są wyrazicielami tak zwanego zdrowego rozsądku, poddają krytyce i pomniejszają znaczenie wydarzenia. Dla wielu ludzi jednak, zwłaszcza ze śro-dowisk robotniczych, fakt, że jest pisarz, który nie bał się pod-pisać swego opowiadania imieniem i nazwiskiem, że w takich okolicznościach urąga „czerwonym” i prowokuje „czerwonych” — miał ogromne znaczenie. Nikt nie powinien mieć wątpli-wości co do tego. Rzeczywiście wiele osób później usiłowało pomniejszyć ten fakt, obniżyć rangę twórczości Marka — sprowa-dzić „Raport o stanie wojennym” do wymiaru doraźnej, jedno-wymiarowej literatury, pisanej na zamówienie, bez niezbędnego dystansu. Jako poddanie się emocjom i naciskom chwili. Nie zgadzam się z tymi ludźmi. Uważam „Raport o stanie wojen-nym” za doskonałą książkę oddającą stan ducha, atmosferę i kli-mat owych kilku dramatycznych miesięcy naszej historii. Nie powstała żadna podobna książka w tamtym czasie, tak precyzyjnie opisująca to, co się w Polsce działo. Było tam, jak zresztą w każ-dym zbiorze opowiadań, kilka rzeczy słabych, ale były przede wszystkim opowiadania doskonałe, jak „Kanarek”, „Nocny ront”, „Paw”, „Gadzio” — opowiadania o wymiarze nie odnoszącym się do chwili i miejsca, ale o wymiarze głębszym, ogólnoludzkim. Gest z jakim stary Cygan schyla się po rulon upuszczonych pie-niędzy, a potem mówi do młodego żołnierza: „dobry z ciebie gadzio” (co znaczy obcy), sposób w jaki kolorowo ubrany Mu-rzyn kopie walizkę na kółkach, idąc przez halę Dworca Central-nego w Warszawie — to są zachowania, sceny i słowa, które opisać może tylko ktoś z głęboką wiedzą o człowieku, z wielkim zmysłem obserwacyjnym i umiejętnością selekcji. Kłuło mnie pod żebrami ludzkie uczucie zazdrości.

Z Markiem znamy się od czasów pierwszych naszych opo-wiadań drukowanych w *Twórczości*. Był początek lat sześćdzie-siątych. W jakimś wywiadzie, czy ankiecie drukowanej w *Nowej Kulturze* pochwalił moje opowiadanie „Dziecko ojca i matki”. Napisałem do niego oficjalny list z podziękowaniem, zaczynając od słów: „Wielce Szanowny Panie!”. „Wielce szanowny pan” okazał się człowiekiem w moim wieku, bezpośrednim i dowcip-nym, ale jednocześnie z innego jakby wymiaru, z innej części świata. Jego świat „Tego starego złodzieja” i „Benka kwacia-rza”, świat peryferyjnej Warszawy powojennej, był mi zupełnie obcy i nieznany. Skończyłem wtedy pracę w Turossowie, wy-bierałem się do Soliny. Ten kraj to było dla mnie przede wszyst-kim, to, co działo się w życiu politycznym, społecznym, w moim

własnym życiu rodzinnym, w miejscach, gdzie pracowałem. Jeszcze wierzyłem Gomułce i komunistom. Żyłem trochę na powierzchni, płytko. Marka te sprawy jakby nie interesowały. Tylko ludzie, ludzkie zachowania, to wszystko co można było przeżyć i zobaczyć. Zawsze szukał drugiego dna. Myślę, że od tamtych czasów stopniowo, niedostrzegalnie obaj przejeżdżaliśmy trochę od siebie — z tych dwóch krańcowych postaw. Marek zainteresowanie polityką, czasem w jakim żyliśmy, powierzchnią życia — ja ludźmi, ludzkim zachowaniem, tym drugim dnem. Upłynęło wiele wody od tamtych dni. Byłem oczywiście mniej zauważany przez krytykę i czytelników, mniej znany, ale zastanawiające jak często, od początku, od tamtych pierwszych lat, doszukiwano się pokrewieństwa między tym co on i ja pisaliśmy. Przeglądając niedawno stare recenzje z lat sześćdziesiątych, trafiałem na to łączenie sposobów, w jaki opisujemy rzeczywistość, dość często. Byłem zaskoczony: przecież jasne i widoczne powinny być raczej różnice. Inne spojrzenie na ludzi, inna ocena. Może fakt, że pisaliśmy o tej samej PRL-owskiej rzeczywistości (a w końcu tak niewielu próbowało to robić) był powodem doszukiwania się pokrewieństwa? Wiele razy buntowałem się przeciwko spojrzeniu Marka — zwłaszcza nurt jego psychologiczno-obsesyjnych opowiadań i to, co tam było, nie odpowiadał mi. Podobnie on reagował na to, co ja pisałem — często ostro, krytycznie. Z tych krańcowo różnych postaw, różnej oceny ludzkich zachowań, różnych spojrzeń — czy mogły powstać pokrewieństwa?

Myślę, że sprawa „Meliny” była tym, co nas zbliżyło. Był jednym z kilku ludzi, którzy nie wahali się okazać mi pomocy ponosząc ryzyko i narażając siebie. Starałem się, na miarę swoich sił i możliwości, pomóc Markowi, kiedy aresztowano go w roku 1984 i kiedy przesiedział kilka miesięcy na Rakowieckiej. Ale to już inne czasy i inny wymiar oporu.

Niedługo przed stanem wojennym szliśmy ulicami Warszawy, trochę na rauszu, po jednym lub dwóch kieliszkach wódki wypitej w restauracji na Poznańskiej. Na Mysiej Marek nagle powiedział: „Przepraszam, zaczekaj chwilę”. Zaskoczony zobaczyłem, że wchodzi do Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Przez uchylone drzwi widziałem, że zatrzymał się na schodach za kotarą. Była godzina piąta lub szósta po południu — szaro, chyba październik lub listopad. Zastanawiałem się, czego szuka o tej porze w głównym urzędzie cenzury, a on wyszedł po chwili zapinając spodnie. Za nim wyrzwał zaskoczony strażnik — popatrzył w jedną stronę, drugą, machnął ręką i wszedł z powrotem. W taki to prosty sposób Marek potraktował cenzurę: jak publiczny szalec.

W styczniu 1983 roku o szóstej rano zbudził nas dzwonek do drzwi. Kiedy żona spytała „kto tam?”, usłyszała krótkie wyjaśnienie: „Służba Bezpieczeństwa”. Leżałem w łóżku, kiedy do pokoju, na czele czterech młodych mężczyzn, wkroczyła tęga kobieta ze słowami: „Mamy nakaz przeszukania”.

Nad moją głową, pod adapterem na półce, leżały wciśnięte gazetki. Wśród książek na regałach stało wiele tomów wydanych we Francji, także przez podziemne oficyny w kraju. Pomyślałem o tym, ale przede wszystkim o pliku gazetek — około trzydziestu sztuk tego samego numeru — które ktoś przywiózł z Gdańska. Leżały wciśnięte pod stos starych gazet obok biurka. Człowiek wyrwany ze snu niewiele zapewne więcej może pomyśleć. Ubierałem się w łazience, do której przede mną zajrzał jeden z funkcjonariuszy. Kobieta — porucznik Leszczyńska, jak później podpisała się na protokole, spytała (zapewne zgodnie z regulaminem przeszukań) czy przypadkiem nie zdecyduję się wydać tego, co nielegalnie posiadam, czyli wszelkich wydawnictw bezdebitowych. Powiedziałem, żeby szukali sami. Później, siedząc pośrodku pokoju w fotelu, usiłowałem czytać „Sachalin” Czehowa — o podróży pisarza na wyspę zesłańców. Nie pamiętam, niestety, jaki fragment zacząłem czytać i czy na pewno od miejsca, w którym skończyłem? Naokoło mnie czterech młodzi funkcjonariusze w cywilu rozpoczęli „wykonywanie czynności służbowych”. Polegało to na przetrząsaniu półek z książkami, biurka, szafy i sekretarzyka. Pamiętam moment, kiedy jeden z młodych — ten, który, jak potem okazało się, miał taką samą kurtkę zimową typu wojskowego, jak ja — znalazł plik gazetek pod adapterem. Były to egzemplarze KOS-a, *Tygodnika Wojennego* i *Tygodnika Mazowsze* z kilku ostatnich miesięcy. Zaniósł to wszystko i położył z uśmiechem na stole, przy którym siedziała kobieta-porucznik. Ten jeden z całej ekipy wydał mi się naprawdę gorliwy. Później, stopniowo, stos druków, książek i pism rósł na stole, podczas gdy ja ciągle usiłowałem czytać „Sachalin”. Najstarszy spośród czterech funkcjonariuszy, jak później domyśliłem się również najstarszy szarż, jednak dyskretnie trzymający się z boku — przedstawiciel MSW — w dużym, granatowym berecie, który nałożył, kiedy wychodziliśmy z mieszkania, stał cały czas przy moim biurku i czytał papierek po papierku. Obok, pod stosem starych gazet leżało trzydzieści egzemplarzy gdańskiej gazetki. To ten funkcjonariusz, dzwoniąc później do kogoś, kto zapewne kierował akcją, powiedział krótko: „Nic specjalnego, trochę pojedynczych egzemplarzy”. Te słowa zapamiętałem. I to, że nasz jamnik okazał się kolaborantem — zupełnie nie chciałem szczebać i machać ogonem. Atmosfera była właściwie przez cały

czas na granicy czegoś poważnego i niepoważnego. Ten w berecie, kiedy wychodziliśmy i młody gorliwy zastanawiał się chwilę, która kurtka jest jego, a moja żona powiedziała, że „na oko można nas nie odróżnić” — uśmiechnął się i machnął, jakby z rezygnacją, ręką. Nie znalazł pliku gdańskich gazetek. Wychodzili z moją maszyną do pisania (przeciwko czemu bezskutecznie protestowałem), maszynopisami kilku opowiadań, z książkami i plikiem gazetek znalezionych przez gorliwego pod adapterem.

Pojechaliśmy do pałacu Mostowskich. I ten moment — jazdy między funkcjonariuszami z dwóch stron — pamiętam dobrze. Na korytarzu, na drugim lub trzecim piętrze w dalszej części budynku, siedział Wiktor Woroszyński, jakby czekał na mnie. Zostawiono nas samych na jakiś czas i wtedy, podczas tego czekania, zobaczyliśmy Marka w towarzystwie kilku cywilów. Przeszedł obok, unosząc gestem pozdrowienia rękę. Piotr Wierzbicki, o czym dowiedziałem się później, przesłuchiwany był niżej — na pierwszym piętrze, może na parterze? To była cała akcja, kierowana przez MSW — przeszukań i przesłuchań — wymierzona w kilku opozycyjnych pisarzy, dziwnym zbiegiem okoliczności samych moich przyjaciół.

Pałac Mostowskich jest wielką budowlą — długość i szerokość korytarzy mogą robić na nowicjuszach wrażenie. Pamiętam, jak „cywil w ciemnych okularach” z „Meliny”, idąc ze mną korytarzem powiedział na pewnej chwili: „Mamy tu dość miejsca, prawda?”. Była w tym odezwaniu się przestroga i pogrożka, ale ja, wówczas nowicjusz, uprzejmie przyznałem mu rację. I teraz siedząc obok Wiktora na ławce w korytarzu myślałem o tym wielkim gmachu, pełnym zaaferowanych młodych ludzi, wypełnionym krzątaniem, pośpiechem, tętniącym życiem. Kim byli ci wszyscy ludzie — z jakich pochodzili środowisk, z jakich rodzin? Wielu z nich wyglądało sympatycznie. Przypominali studentów, działaczy „Solidarności” — tak samo nosili brody i wąsy. Byli podobnie ubrani. W cztery oczy, sam na sam, w kręgu bliskiej rodziny, często pewno przyznają rację tym, których aresztują, internują, przesłuchują i przeszukują. Mam nadzieję, że znają fakty. Mam nadzieję, że nie jest tylko tak: my biali, oni czarni. Wszyscy jesteśmy ludźmi.

Leszek Płazewski, mój przyjaciel, prozaik, twierdzi, że pracownicy ogromnego aparatu na usługach władzy — policjanci, ludzie zatrudnieni w aparacie PZPR niższych szczebli, dziennikarze prasy partyjnej — to w przeważającej liczbie oportuniści. W innych warunkach, w innej sytuacji służyliby komu innemu. Nie wiem. Leszkowi zazdrościłem zawsze kontaktów z ludźmi

z różnych środowisk. Tego otwarcia na świat i ludzi. Zazdrościłem zwłaszcza „gigantów” koczujących na dworcu Wschodnim, wśród których czułem się tak swobodnie. Ja sam trudno kruszyłem lody — często nie potrafiłem rozmawiać.

Wezwano nas na przesłuchanie. Mnie zadawała różne dziwne pytania ta sama kobieta-porucznik — dowódca ekipy. Pytała o kontakty z pewnym aktorem, u którego znaleziono w tamtych dniach — w domku letniskowym pod Warszawą — powielacz lub drukarnię. Wymieniała inne nazwiska. Aktora nie znałem, nazwiska były obce. Patrzyłem przez okno na park Krasińskich za ulicą Nowotki. Obok, przy sąsiednim biurku siedział mój dawny znajomy o wyglądzie działacza związkowego — ten, który trzynastego grudnia przyszedł z propozycją podpisania „karty lojalności”. Uśmiechnął się przyjaźnie na mój widok.

Później znów siedzieliśmy z Wiktorem w hallu i znów, przegnębiony, obserwowałem młodych funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych. Milczeliśmy uparcie siedząc obok siebie, na ławeczce pod ścianą, kiedy zza oszklonych drzwi najbliższego korytarza wyjrzał „opiekun” Wiktora. Zapewne sprawdzał, gdzie się podzieliśmy, ponieważ, jak łatwo można było domyśleć się, obok nas był mikrofon. Przyszedł potem elektryk z kombinerkami i śrubokrętem — coś za naszymi plecami majstrował, w małej wnęcie za żelaznymi drzwiczkami. Ale my milczeliśmy nadal. Kiedy dziś myślę o tym oczekiwaniu, w hallu na skrzyżowaniu korytarzy w pałacu Mostowskich, o elektryku i funkcjonariuszach-opiekunach, o milczącym Wiktorem — przypomina mi się „Rok 1984”, jakbym przeżył kawałek tej książki w styczniu 1983 roku. Był to, oczywiście, bardzo łagodny Orwell.

Maszynę zwrócili przed trzecią. Obcy funkcjonariusz sprawdził mnie na dół. Przeszliśmy przez hall z popiersiem Feliksa Edmundowicza. Patron wszystkich funkcjonariuszy zatrudnionych na terenie „obozu pokoju i postępu” stał na tle czerwonej draperii. Zwróciłem uwagę na wielką głowę, wypukłe oczy i dużo czerwieni.

Pod koniec stycznia lub w lutym 1982 roku niespodziewanie otrzymałem korektę „Meliny”. Pojawiła się także oficjalnie w planach wydawniczych „Czytelnika”. Wszystko było niezrozumiałe: skoty na ulicach, godzina policyjna, wstrząs jaki przeżywał kraj — i w tych warunkach moja książka uzyskuje perspektywę druku. Dopiero później dowiedziałem się, że wielu spośród internowanych korespondowało w tym czasie z wydawnictwami: otrzymywali korekty złożonych książek, umowy do podpisu, wiado-

mości o wznowieniach. Było to grą pozorów, taktycznym posunięciem i miało świadczyć o tym, na czym władzy zależało: „jeszcześmy zdecydowani bronić 'zdobycy socjalizmu' nawet wprowadzając stan wojenny, ale jednocześnie zachowujemy kierunek na reformę, demokrację, odnowę. Będziemy przestrzegać wszelkich swobód — m.in. swobody wyrażania własnych poglądów, wolności słowa, byle by nie naruszały zasad konstytucyjnych, podstaw ustrojowych i sojuszy”. To mniej więcej można było wyczytać z różnych wypowiedzi w pierwszych miesiącach stanu wojennego i to miała wykazać ta niespodziewana „odwilż” w literaturze — wydawanie książek niezależnych pisarzy. Myślę, że ja również znalazłem się wśród tych, których książki zamierzano wykorzystać dla ilustracji oficjalnie głoszonej tezy. Rzeczywiście w ciągu 1982 i 1983 roku ukazało się szereg rzeczy „zakazanych” w czasach gierkowskich. Na tej fali wyszła m.in. „Miazga” Andrzejewskiego, poezje Miłosza, książki Woroszylskiego, Kijowskiego i Bocheńskiego, opowiadania Marka Nowakowskiego itd. Ukazała się również książka Bohdana Madeja wydana w 1977 roku w Instytucie Literackim w Paryżu — tom opowiadań „Maść na szczury”. Z tej odwilżowej polityki wydawniczej wycofano się szybko, ale wtedy — w roku 1982 i 1983 — mogła budzić nadzieję, że i „Cudowna melina” będzie wydana w kraju. Taka nadzieja istotnie zaświtała mi.

W 1983 moje nazwisko zaczęło pojawiać się w napastliwych artykułach zamieszczanych w *Trybunie Ludu* i w *Życiu Literackim*, wśród nazwisk innych atakowanych pisarzy. W znanym dwuczęściowym artykule opublikowanym w *Trybunie Ludu* — „Literaci i literatura w antysocjalistycznej opozycji” — niejaki Marcin Kowalski wymieniał mnie kilkakrotnie, pisząc m.in.: „żałosny jest poziom prozy Kazimierza Orłosa, który Balzakiem podziemia na pewno nie zostanie”. *Nota bene* po raz pierwszy obie moje powieści („mierne utwory literackie”) — „Cudowna melina” i „Trzecie kłamstwo” — zostały wymienione w prasie oficjalnej PRL.

Jeszcze jednak zachodziłem do „Czytelnika”, pytając co pewien czas o los książki. Najczęściej rozmawiałem z moją miłą redaktorką panią Hrehorowicz, czasem z wiceprezesem Bidakowskim. Prosił o cierpliwość. Ciągle mieli nadzieję, że „Melina” ukaże się. W czasie jednej z takich wizyt, pod koniec 1983 roku, dowiedziałem się niespodziewanie, że cenzura kwestionuje tylko „Copyright”, o co specjalnie poprzednio zabiegałem. Był tam dosłownie przepisany z pierwszego wydania paryskiego zwrot „Copyright by Institut Littéraire, S.A.R.L., 1973”. Kwestionowali widocznie istnienie Instytutu Literackiego. Ale innych za-

strzeżeń nie było. Moi rozmówcy w „Czytelniku” sugerowali, abym zgodził się na zwrot zastępczy: „Pierwsze wydanie — Paryż 1973”. Powoływali się na Bohdana Madeja — w jego książce, wydanej niedawno, „copyright” zastąpiono właśnie takim zwrotem: „Pierwsze wydanie — Paryż 1977”. Po namyśle zgodziłem się na ten kompromis i zaraz zawiadomiłem wydawcę w Paryżu, prosząc również o zgodę. Inaczej, argumentowałem, książka w kraju nie ukaże się. Podobnego zdania byli życzliwi ludzie w „Czytelniku”, a w końcu zwrot „Pierwsze wydanie — Paryż 1973” dla wszystkich będzie jasny. Któż nie domyśli się, że „Melina”, napisana w 1971 roku, na co wskazywała data na końcu książki, nie mogła wtedy w kraju ukazać się i była wydana we Francji przez „Kulturę”? Po kilku dniach otrzymałem pismo z „Czytelnika”, które do dziś przechowuję, jako świadectwo „słów rzuconych na wiatr”: „Szanowny Panie, w odpowiedzi na list z 16 listopada br. miło mi powiadomić Pana, że druk Pańskiej powieści pt. 'Cudowna melina' zostanie ukończony na początku II kwartału 1984 roku. Z poważaniem Kazimierz Bidakowski”.

Niezwykłe uradowany obnosiłem się z tą wiadomością długo. Do czasu, kiedy w sprawie „Meliny” ponownie zapadła cisza.

W roku 1983 rozwiązano Związek Literatów. Ataki na literaturę niezależną nie ustawały. Jakby im mało było, że rozpedzili Związek, skazali Zdzisława Najdera na śmierć, wstrzymali lub opóźniali druk książek opozycyjnych pisarzy, rozwiązali szereg umów i wydali „dzieła zebrane” Przymanowskiego i Dobrowolskiego. Mimo tych wszystkich symptomów — jeszcze miałem nadzieję. W *Tygodniku Powszechnym* i w innych pismach katolickich zaznaczano ingerencje cenzury, powołując się na „Dekret o stanie wojennym”, później za „Ustawę o cenzurze” z 1981 roku. To podtrzymywało nadzieję, że przecież ta władza honoruje własne prawa. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że pod względem swobody wypowiedzi, w porównaniu z okresem gierkowskim, zmieniło się wiele. Decydowała jednak, zapewne jak zawsze, zasada *divide et impera*. Dzielenie, rozdzielanie, dozowanie, dawanie jednym, odbieranie drugim — różna taktyka w różnych momentach, krok naprzód, krok do tyłu. W tej ekipie na pewno byli inteligentni ludzie. Ale kierunek marszu od roku 1983 był wyraźnie widoczny: stopniowy odwrót przy zachowaniu pozorów.

Różne zjazdy i konwentykle partyjnych pisarzy wzywały do ograniczenia tolerancji, zaprzestania wydawania książek autorów związanych z „antysocjalistyczną opozycją”. Domagano się

zielonego światła dla tak zwanej „literatury zaangażowanej”. Zaczynało straszyć widmo socrealizmu*.

Tymczasem termin wyznaczony przez wiceprezesa Bidakowskiego minął dawno. Minęło wiele miesięcy. Z końcem 1984 roku zacząłem ostatecznie tracić nadzieję. I wyzbywać się złudzeń. W pytaniach znajomych i przyjaciół znowu doszukiwałem się ironii. Dla wielu ludzi mogłem być typem pieniacza: koniecznie chciałem wydać powieść w kraju, od tylu lat bezskutecznie usiłowałem dokonać tego, miałem nadzieję i złudzenia, wydeptałem własną ścieżkę do „Czytelnika”, napisałem mnóstwo listów... Przez cały czas biłem głową w mur.

W październiku poszedłem jeszcze raz, żeby porozmawiać z prezesem Bębenkiem. I znów ta rozmowa, w przestronnym gabinecie na ulicy Wiejskiej, rozjaśniała gasnący płomyk. Prezes sprawiał miłe wrażenie. Jakby zatroskanego i zmartwionego moją sprawą. Nie wyczuwałem w jego słowach nieszczerości, podstępnej gry i nie patrzył na mnie wzrokiem policjanta. To była zwyczajna, prosta rozmowa — pytania i odpowiedzi. Kilka informacji. Dowiedziałem się, że „Melina” już miała wyjść i zapewne teraz, w czasie kiedy rozmawiamy, leżałaby w księgarniach, być może rozeszła się szybko i o całej sprawie zapomnielibyśmy. „Ale pan znów naubliżał władzy ludowej — powiedział prezes. — Tylko dlatego „Meliny” nie ma w księgarniach. Proszę zrozumieć, jest pan autorem trudnym dla władzy, nie kochanym, nie wydawanym chętnie. Sprawa nie jest prosta”.

Jak domyśliłem się „naubliżałem władzy ludowej” w moich opowiadaniach zebranych w tomie „Pustynia Gobi”, który w roku 1983 ukazał się nakładem londyńskiego „Pulsu” i „NOW-ej”. Powiedziałem o tym prezesowi i zapytałem, czy oznacza to, że znów zostałem „ukarany” zakazem druku „Cudownej meliny”? Nie udzielił jasnej odpowiedzi, ale z innych jego słów wynikało,

* O zmianie kursu mogły świadczyć także zmieniające się akcenty w rozmowach z wydawcami, które *Polityka* drukowała w ciągu tych kilku lat. W roku 1982 Stanisław Bębenek, prezes „Czytelnika”, mówił, że wydawca „może być wszakże i powinien być — cierpliwym mediatorem w konfliktach, zwłaszcza sztucznych, zatruwających atmosferę twórczą i polityczną. W tym duchu staramy się działać...” (*Polityka* nr 10). W roku 1983 odpowiadając na pytanie „czy dużo jest takich książek, których nie mogą panowie wydać?”, odpowiada: „Zacznijmy od tego, że w ogóle brakuje rewelacyjnej książki. Są książki średnie, dość przyzwoite. I te wydajemy. Teraz są dwa tytuły, z którymi są problemy natury politycznej, nie cenzuralnej” (nr 42). W roku 1984 na podobne pytanie: „Są takie tytuły w ‘Czytelniku’, które nie mogą się ukazać?”, prezes Bębenek powtórzył: „Dwie książki znajdują się, jak mówimy, w fazie dyskusji” (nr 42).

Lata mijały, a oni ciągle byli „w fazie dyskusji”!

że istotnie sam sobie jestem winien: to ja nawymyślałem władzy (jakby tylko władza zawsze mogła nam wymyślać — my władzy nigdy!), ja wydałem „Pustynię Gobi” w Londynie, a teraz jeszcze dziwię się?

Mimo wszystko prezes nie tracił nadziei: „W odpowiednim momencie pana książka ukaże się. Trzeba jeszcze poczekać, trzeba jeszcze poczekać” — powtórzył. Co do terminu rozumiałem, że z końcem roku — listopad-grudzień — „Melina” znajdzie się w księgarniach. A potem, na pożegnanie, już w drzwiach, padło zdanie najistotniejsze, chociaż rzucone mimochodem: „Gdybyśmy teraz musieli zrezygnować, wydawnictwo straciłoby dwa miliony”.

Wyszedłem na ulicę Wiejską przekonany, że nakład „Meliny” gdzieś leży i czeka „na odpowiedni moment”. Jakże inaczej mogłem to zdanie rozumieć? Jeśli nakład, zgodnie z umową, miał dwadzieścia tysięcy, a cenę jednego egzemplarza ustalono na sto złotych — rachunek był prosty: dwa miliony.

Bilans moich zawodowych spraw, licząc od 13 grudnia 1981 roku, był wówczas następujący: umowa o wydanie „Trzeciego kłamstwa”, podpisana z Instytutem Związków Zawodowych w 1981 roku — rozwiązana. Skład książki rozsypany. Rozmowy z filmem przerwane. Scenariusz napisany przez Pawła Piterę na podstawie opowiadania „Ostatnie polowanie na grubego zwierza” — wycofany przed produkcją filmu. O słuchowiskach i o sztuce „Piranie” nie było mowy. Została tylko „Melina” w „Czytelniku” i zalecana przez prezesa Bębenka cierpliwość.

Czekałem do grudnia. Potem napisałem jeszcze jeden list. Nie było odpowiedzi*.

* Moja korespondencja z „Czytelnikiem” to osobny rozdział. W piśmie z 16 listopada 1983 roku pisałem: „Od blisko dwóch lat nie wiem, jakie będą dalsze losy mojej książki i czy w ogóle ukaże się drukiem. Mogę przypuszczać, że ‘Cudowna melina’ znów budzi sprzeciw obecnej cenzury. Nie rozumiem tego, ponieważ książka dawno straciła ostrzejszą wymowę polityczną, a wobec ujawnionych nadużyć władzy na najwyższych szczeblach może być uważana jedynie za łagodny zapis lat sześćdziesiątych. Mogę również przypuszczać, że podlegam dyskryminacji jako autor, ale przecież zapewniano wielokrotnie, że tzw. ‘zapisy’ na nazwiska zostały cofnięte”. W piśmie złożonym na ręce prezesa podczas rozmowy 9 października 1984 roku pisałem: „Przypominam, że zgodnie z umową z dn. 18 lutego 1981 roku — § 20 w zw. z § 13 — Wydawca powinien zakończyć druk utworu w kwietniu 1982 roku. Minęło już dwa i pół roku od tego terminu. Uważam, że sprawa mojej książki powinna być ostatecznie załatwiona: pozytywnie lub negatywnie i w tym wypadku jasno powinny być podane przyczyny uniemożliwiające druk. Dalsze pozostawienie sprawy w zawieszeniu jest nie tylko sprzeczne z umową i prawem autorskim, ale podważa, jak sądzę, dobre imię Wydawnictwa”.

W ostatnim liście, wysłanym do prezesa Bębenka w grudniu 1984 roku,

Rok wcześniej, w *Tygodniku Powszechnym* w rubryce „Obraz tygodnia”, przeczytałem z rozbawieniem informację o książce Jerzego Urbana „Samosady”, która wyszła w ciągu trzech miesięcy. Notatka była żartobliwie dedykowana „malkontentom narzekającym na długi cykl produkcji książek w Polsce”. Wysłałem do redakcji następujący list: „Szanowny Panie Redaktorze, nawiązując do notatki w rubryce 'Obraz tygodnia' (*Tygodnik* nr 42) dotyczącej rekordowego tempa wydania książki Jerzego Urbana pt. 'Samosady': marzec 1983 - maj 1983 (a więc w ciągu trzech miesięcy!) chciałbym zawiadomić Pana, uzasadniając niejako 'narzekania malkontentów na niezmiernie długi cykl produkcji książek w Polsce', że 'cykl produkcyjny' mojej powieści pt. 'Cudowna melina' trwa już jedenaście lat. Książkę tę złożyłem po raz pierwszy w Spółdzielni Wydawniczej 'Czytelnik' w 1972 roku. Książka została przez wydawnictwo przyjęta. Niestety, na skutek interwencji ówczesnej cenzury, umowę ze mną rozwiązano. Po dziewięciu latach, w lutym 1981 roku, wydawnictwo odnowiło umowę. Po upływie następnego roku książka znalazła się w drukarni, czyli została przekazana do składania. Otrzymałem szrotki i wykonałem pierwszą korektę. Widziałem również gotowy projekt okładki. Od tego czasu, czyli od blisko dwóch lat — mimo licznych interwencji — nie mogę się dowiedzieć, kiedy się ukaże drukiem. Pozostaje jedynie satysfakcja, że 'Cudowna melina' pobiła zapewne wszelkie rekordy długości trwania 'cyklu produkcyjnego'. Jeśli ktoś zna wypadek dłużej trwającego 'cyklu' — będę wdzięczny za wiadomość”.

W jednym z następnych numerów *Tygodnika* znalazłem tylko ślad po tym liście: „Kazimierz Orłoś — Ustawa o cenzurze...”. I tak dalej.

Kończyły się żarty, z powrotem zaczynały się „zapisy”. A mimo to jeszcze przez rok ulegałem złudzeniom. W wywiadzie pt. „Kwestia cierpliwości” (*Polityka* nr 42/1984), po wypowiedzi pytającego: „W ostatnim czasie 'Czytelnik' wydał dwa tytuły szczególnie poszukiwane, 'Apelację' Andrzejewskiego i 'Maść na szczyry' Madeja. Rzecz w tym, że obie książki ukazały się naj-

piśalem: „...powołując się na naszą rozmowę z pierwszych dni października pozwalam sobie przypomnieć o 'Cudownej melinie'. O ile pamiętam, powiedział Pan wtedy, że książka ukaże się mniej więcej w terminie, jaki podałem w złożonym piśmie — koniec listopada-grudzień 1984. Niestety, książki nadal nie ma. (...) Może się przecież zdarzyć, że jeśli 'Melina' teraz nie wyjdzie, to nie wyjdzie już wcale lub przez wiele lat. (...) Dlatego raz jeszcze apeluję i proszę Pana: jeśli ma Pan istotny wpływ na zwolnienie 'Cudownej meliny' — proszę to zrobić”.

pierw w Paryżu, a dopiero potem w Warszawie. Precedens tylko, czy zapowiedź zmiany podejścia?” — przeczytałem ze zdumieniem odpowiedź prezesa: „Osobiście wolałbym, żeby autorzy najpierw nie próbowali szczęścia za granicą, a dopiero później u nas. Ale wydaliśmy te dwie pozycje, bo na to zasługiwały i naprawdę nic strasznego się nie stało. To dobry prognostyk na przyszłość”.

Niewiarygodne! Któż zaczynał od „szukania szczęścia za granicą”? Wszyscy zaczynaliśmy od szukania szczęścia w kraju — ja sam w „Czytelniku” w 1972 roku i prezes Bębenek powinien o tym pamiętać. To odezwanie się mogło wzbudzać nie tylko zdziwienie lub wesołość, ale i gniew. Było stawianiem sprawy na głowie. Świadczyło o hipokryzji lub całkowitym lekceważeniu faktów.

W lutym 1985 roku w *Życiu Literackim*, w dwuczęściowym artykule „Krajobraz literatury”, Witold Nawrocki pisał m.in. o mnie, że ulegam „szczególnej schizofrenii pisarskiej” podejmując próby „publikowania najzupełniej przeciwstawnych ideologicznie tekstów w dwu obiegach: oficjalnym oraz poza państwowymi ośrodkami wydawniczymi”.

A więc byłem nie tylko chytry, usiłując wydawać jednocześnie książki i tu i tam, ale na dodatek cyniczny i nieuczciwy: pisałem książki „najzupełniej przeciwstawne ideologicznie” dla dwóch różnych obiegów! W jednym szkalowałem ustrój, w drugim chwaliłem. Oto jakim byłem graczem, lisek, podwójnym agentem! Dopiero po artykule Witolda Nawrockiego zrozumiałem, że „Cudownej meliny” ci ludzie, o mentalności postaci z mojej powieści, nie wzięli na pewno.

Podjąłem próbę wyjaśnienia na własną rękę, jaki był los książki? W zimie 1985 roku, dzięki życzliwym osobom z „Czytelnika”, dowiedziałem się, że „Melina” trafiła do Zakładów Graficznych w Toruniu. Później inne życzliwe osoby powiadomiły mnie, że prawdopodobnie gotowy nakład skierowano na przemiał. Taką wiadomość uzyskałem z dwóch źródeł.

Dwadzieścia tysięcy egzemplarzy zniszczono. Czy to możliwe? Któż podjął taką decyzję? Ileż ludzkiej złości i nietolerancji leżało u podstaw tej decyzji? I nie byli to mityczni „oni” — ktoś musiał pierwszy powiedzieć. „Na przemiał”. Chciałem tę sprawę wyjaśnić — chciałem wiedzieć: kto?

Mimo wszystko nie mogłem uwierzyć. Czy naprawdę byliby zdolni? W jakiej scenerii palili książki uczniowie Hitlera i Stalina? W jakiej scenerii odbywa się przemiał książek w Polsce Ludowej? Przemiał bywa zapewne wstydliwie ukrywany nawet

przed najbliższym otoczeniem. Anonimowi wykonawcy — dwóch, trzech ludzi. Łoskot maszyn puszczonej w ruch, później biurokratyczne formalności. Nie ma stosu, ognia, fanatyków rzucających książki w ogień. Ale kieruje wykonawcami ta sama ślepa nietolerancja.

Myślałem o tym, jadąc do Torunia z adresami ludzi, którzy mieli mi pomóc. Istotnie tak było. Dzięki ogromnej życzliwości dotarłem do źródła. I była krótka rozmowa z człowiekiem zatrudnionym w drukarni. Znał sprawę „Meliny”. Skład był gotowy do druku od dwóch lat. Czekali, co pewien czas pytając, co ze składem robić? Sami drukarze chcieli rozrzucać — tyle ołowiu leżało bezczynnie. Myśleli, że książkę wycofano z planu. Ale nagle przyszła wiadomość: drukować! Wszystko przygotowali. W dniu, kiedy mieli zacząć, ktoś odwołał decyzję. Mój rozmówca nie wiedział kto — był telefon z Warszawy...

Przedstawiłem drugą wersję końca „Meliny”: przemiał. „Jest pan pewien, że książki nie wydrukowano? Może część nakładu, może kilka tysięcy? Dlaczego w Warszawie mówiono mi o zniszczeniu nakładu? Może ocalał choć jeden egzemplarz?” — pytałem. Człowiek z drukarni patrzył na mnie z uśmiechem, ale powtarzał, że był tylko skład. Nie zdążyli zacząć. Telefon kończył sprawę.

Wyszedłem przygnębiony. Ten człowiek nie przekonał mnie. Jakby wiedział więcej, niż chciał lub mógł powiedzieć. W oczach miałem okładkę „Meliny” — ta okładka była także w drukarni. Miałem nadzieję, że dostanę w Toruniu książkę w tej okładce, ale trafiłem znów na mur, za którym nie wiadomo, co było? Nie dowiem się zapewne nigdy.

Wracałem po tej rozmowie ulicami Torunia, obok mojej uroczej przewodniczki i zastanawiałem się nad tą zagadką: jeśli skierowali na przemiał, to przecież nikt tego nie potwierdzi tutaj. Nikt.

Tak skończyło się moje „prywatne” śledztwo. I tylko to było pewne, że „Meliny” nie wydadzą. Mogli zniszczyć nakład lub rzeczywiście w ostatniej chwili wstrzymać druk. Później rozsypano skład. Zostały szczotki po korekcie, okładka, trochę papierów w teczkach w „Czytelniku”. Korespondencja — przeważnie moje listy. Minęło czternaście lat od chwili, kiedy po raz pierwszy zaniósłem maszynopis do wydawnictwa. „Cykl produkcyjny” skończył się po czternastu latach z jedną niewiadomą: w jaki sposób przekreślono życie tej książki? Rozsypano skład, czy zniszczono nakład? Skłaniam się do przyjęcia tej drugiej wersji, choć zdaję sobie sprawę, że nikt mi w oczy nie powie: „Tak, 'Cudowna melina' poszła na przemiał”.

ROZDZIAŁ XII

Pisząc „Przechowalnię”, moją ostatnią powieść, wiele razy zastanawiałem się, czym jest pisanie o polskiej rzeczywistości — tu i teraz? Jak mamy pisać? My, nieliczni realisci, żyjący w krajach realnego socjalizmu drugiej połowy dwudziestego wieku? Opisywać tylko skutki, czy pisać również o przyczynach? Przemawiać tradycyjnym językiem literatury pięknej, czy językiem jaki znamy z doświadczenia, którym komuniści posługują się od lat?

Doświadczenie uczy, jak łatwo przymknąć oczy na rzeczywistość. Niedosłyszeć, niedowidzieć. Zgodzić się na grę, którą rządzący proponują — na świat pozorów.

W styczniowym numerze *Literatury* z 1986 roku przeczytałem opowiadanie sowieckiej pisarki Wiery Tokariewej. W notatce umieszczonej na wstępie podano kilka informacji o autorce: Wiera Tokariewa (ur. w 1937 r.), jedna z najpopularniejszych sowieckich pisarek średniego pokolenia. Jest autorką takich powieści i tomów opowiadań, jak „O tym, czego nie było”, „Latająca huśtawka”, „Gdy się ociepliło” i wielu innych. Opowiadanie „Między niebem a ziemią” ukazało się w miesięczniku *Nowyj Mir*.

Jest to historia młodej kobiety, która w czasie lotu samolotem z Moskwy do Baku rozmawia z młodszym od niej człowiekiem, chłopcem niemal jeszcze, choć wysokiego wzrostu i szerokim w ramionach. W ciągu kilku godzin lotu tworzy się więź między tą parą, powstaje uczucie — trochę z pożądania, trochę z powodu niezwykłości spotkania, świadomości, że oboje żyją w odległych, zupełnie innych światach. Młoda kobieta jest naukowcem, pracuje w instytucie — młody człowiek zajmuje się sportem, jest koszykarzem. Ona, patrząc na niego, myśli o swoim niezdarzym, niezaradnym narzeczonym czy kochanku, profesorze z tego samego instytutu. Porównuje go z młodym, pięknym mężczyzną siedzącym obok niej i przeżywa to wszystko, co zapewne przeży-

wają w takich momentach młode, sentymentalne kobiety. Koszykarz jest również zafascynowany sąsiadką. Zapomina o swojej dziewczynie, opowiada o matce, która umarła. Oboje przeżywają to niezwykle spotkanie w ciemnym samolocie, delikatne muśnięcia rąk, potem pocałunki. Ale podróż kończy się — samolot ląduje, niezwykle nastrój mija. Jest ziemia, na której czeka niezdarny-niezaradny profesor. Chłopak w ostatniej chwili proponuje spotkanie, chce zatrzymać piękną sąsiadkę, ale ona wie, że to byłoby nierozsądne, że żyją przecież w innych światach. Odchodzi szybko i chłopak o „oczach Cyganiątka” zostaje sam ze swoim żalem i buntem.

Przeczytałem to ładne opowiadanie — można powiedzieć opromienione serdecznym ciepłem dobrotliwego spojrzenia pisarki opisującej ludzkie charaktery, słabości i marzenia — i pomyślałem, że to literatura adresowana do pewnego typu czytelników, rzecz do czytania tylko — o co więc chodzi? A jednak był w tym opowiadaniu oddech prawdziwej literatury i jednocześnie przegnębiające wrażenie niedopowiedzenia czegoś. Przemilczeń. Było skomponowane jakby z półprawd, przedstawiało ludzi, którzy grali role wyznaczone przez Wierę Tokariewą.

Tak się złożyło, że niedługo potem znajomy opowiedział mi o swoim pobycie w Związku Sowieckim. Był w Baku i w innych miejscach, znanych zapewne młodej kobiecie z opowiadania „Między niebem a ziemią”. Urlop spędzał w ośrodku dla turystów polskich niedaleko Jałty. Luksusowy to był ośrodek, prawdopodobnie tylko dla wybranych „turystów” z peerelowskiego *establishment'u*. Doskonałe jedzenie, piękna plaża, wygodny hotel. Ale jednocześnie od początku byli pod strażą starszyny Petra i kilku jego podwładnych-milicjantów, dzień i noc urzędujących w dyżurce przy bramie. Niektórzy wczasowicze znali Petra z poprzednich turnusów — zaraz poszli odnowić znajomość. Chodziło o to, aby dobrze z Petrą żyć. Wydawał się miłym człowiekiem, mówił mój znajomy. Zawsze uśmiechnięty, pogodny. Chętnie pił polską wódkę z Polakami.

Mój znajomy z przyjacielem poznali dwie dziewczyny-Rosjanki. Pracowały jako ekspedientki w miejscowym domu handlowym. Zaprośili je na wieczorek taneczny do polskiego ośrodka. Te ekspedientki bały się z początku iść. Obywatelom sowieckim nie wolno wchodzić na teren zastrzeżony dla zagranicznych gości, jak choćby na plażę obok hotelu. Przy wejściu, na podwyższeniu w rodzaju ambony, siedziała stara kobieta, jak nastroszony, czarny ptak, pilnując, by obywatele ZSSR nie przedostali się nielegalnie na plażę. — Niewiele się od nas różnili — opowiadał mój

znajomy. — Podobnie ubrane dziewczyny, chłopcy w dzinsach kupionych od Polaków, ale ta stara potrafiła wytropić każdego. „A ty kuda?” — pokazywała kijem. I obywatele ZSSR potulnie zawracali.

Z tego samego powodu dwie ekspedientki bały się iść do polskiego ośrodka. Znajomy z przyjacielem nie mogli zrozumieć: dlaczego? Co w tym złego? Potańczyć nie można? Przecież jesteśmy na wczasach, jak w rodzinie, wśród przyjaciół? Dziewczyny w końcu dały się namówić. Otoczone grupą polskich turystów przeszły przez bramę. Petro ze swoją ekipą zachowali całkowitą obojętność. Odwrócenie plecami opalali się przed dyżurką.

Zaczęła się potańcówka. Rosjanki — z początku spięte i przestraszone — powoli zapomniały o zakazach. Tańczyły, śmiały się, żartowały. Były ciastka i wino. I oto niespodziewanie, po godzinie, może niecałej — do stolika, przy którym siedział mój znajomy z przyjacielem i dziewczynami — podszedł Petro i dotykając palcem jednej, potem drugiej, zapytał dwukrotnie: *A ty, chto zdzieś diełajesz?* Zażądał, aby natychmiast opuściły salę i poszły z nim do dyżurki. Znajomy opowiadał, jak bardzo było mu przykro. Próbowali wytłumaczyć starszynie cokolwiek, spierali się, nawet krzyczeli. Nic nie pomagało. Dwie speszone dziewczyny musiały wyjść z sali na oczach bawiących się Polaków. Potulnie szły za milicjantem.

Dalsza historia tych dziewczyn: tego samego wieczoru, z pomocą polskiego starosty, udało się je „odbić” z dyżurki Petra (pisano tam protokół, dziewczyny płakały). Wyproszono nawet godzinny jeszcze udział w zabawie. Ale już nie potrafiły bawić się, nie chciały tańczyć. Przestały śmiać się. Następnego dnia znajomy z przyjacielem poszli odwiedzić je w miejscowym domu handlowym — obawiali się, czy aby nie straciły pracy. Ale były — opowiadał — tyle, że zmienione, przestraszone i zapłakane. Grozono im wyrzuceniem z Komsomołu. „Czy to takie ważne?” — spytał, a one popatrzyły na niego smutno, jak na kogoś, kto nic nie rozumie.

Później chodzili do dyrektora ośrodka ze skargą na Petra. Przyjął ich życzliwie, ale bezradnie rozłożył ręce: — „Każdy ma swoją robotę” — powiedział. — „Ja mam swoją robotę, on ma swoją. On się nie wtrąca do moich spraw, ja się nie wtrącam do jego! Nic nie mogę pomóc, *druzja!* A *diewoczki?* Popłaczą, popłaczą i zapomną”.

Inny obrazek: podróż do Jałty. Nielegalna, bo nie mogli swobodnie poruszać się po okolicy bez pozwolenia. Ale pojechali

rano autobusem. W południe, kiedy chcieli wracać, okazało się, że wszystkie bilety powrotne są sprzedane. Mogli wracać tylko taksówką. Mniejsza o koszt — 25 rubli, które mieli. Okazało się, że kierowcy boją się jechać: nie wolno wozić cudzoziemców, którzy nie mają pozwolenia na pobyt w Jałcie. W końcu jeden zgodził się, ale postawił warunek: „Kiedy powiem 'chować głowy!', będziecie kłaść się na siedzeniach z tyłu i czekać, póki nie powiem: 'siadać z powrotem!'”. Zgodzili się, oczywiście.

Jechali rozmawiając wesoło — kierowca okazał się pogodnym gadułą-kombinatorem. Przy pierwszym, widocznym z daleka posterunku KAJ-a — milicji drogowej — powiedział przerywając rozmowę: „chować głowy!”. Skulili się za jego plecami i w milczeniu jechali jakiś czas. Kiedy powiedział „siadać z powrotem”, wrócili do przerwanej rozmowy. Przy następnym skrzyżowaniu historia powtórzyła się. „Chować głowy!”, jazda w milczeniu i znów „siadać z powrotem!”. Tak kuląc się co pewien czas, dojechali na miejsce. To ten kierowca, chwalać się, opowiadał, jak co roku dostarcza do punktu skupu dwie tony moreli, chociaż ma tylko dwa drzewka koło domu. „Jedną morelę z mego drzewka — dwadzieścia z kołchozowych” — śmiał się. — „I tak zbierają się dwie tony!”. Mówił, że ma w życiu wszystko, co trzeba: lodówkę, kolorowy telewizor, pralkę. Tylko nowego wozu nie może kupić: — „Zaraz by spytali, skąd pieniądze? Worek pieniędzy możesz trzymać w domu — złoto, drogie kamienie, ale jak zechcesz wydać, zaraz pytają: skąd?”.

Do Jałty jeździli potem jeszcze dwa lub trzy razy. Raz legalnie, na dansing do hotelu. Pojechała z nimi znajoma Estonka, tłumaczka przy grupie niemieckich turystów. — Wolała trzymać się z nami — opowiadał mój znajomy. — Z Niemcami w ciągu dnia, praca, obowiązek, a wieczorami przychodziła do nas. Lgnęła po prostu do grupy polskiej. Łatwo dała się namówić na dansing w Jałcie. Koledzy, przed wyjazdem, namawiali Petra: „Jedź, Petro, z nami! Popijesz, potańczysz!”. A on poważnie odpowiadał, że przyjedzie na pewno służbowym gazikiem i znajdzie towarzystwo na dansingu w hotelu...

Pojechali mikrobusem wypożyczonym z ośrodka — w dobrych humorach, zadowoleni, ze śmiechem. „Jałta” dla nich wszystkich to był tylko luksusowy hotel nad morzem, orkiestra, wino i wódka. Plaża pod tarasem hotelowym w pomarańczowym świetle księżyca. Petro, oczywiście, nie przyjechał.

Wrócili rozbawieni nad ranem. Estonka poszła do siebie i po chwili przybiegła z płaczem: jej pokój cały przetrząśnięty, wszystko w nieładzie, rzeczy rozrzucone na podłodze. Petro, w czasie

nieobecności lokatorki, zrobił kipisz. — „Czego szukał? Czego on chce?” — powtarzała zapłakana.

Może coś pomyliłem i dopiero wtedy poszli ze skargą na Petra, a dyrektor powiedział bezradnie rozkładając ręce: — „Każdy ma swoją robotę, *druzja*”.

Z Jałty jeszcze jeden obrazek zapamiętał mój znajomy: był tam parking przed domem partii lub gmachem urzędu miejskiego. Pilnowała parkingu, podobnie jak plaży dla *inostranców* starucha z kijem. Plac był zastrzeżony tylko dla samochodów służbowych. Znajomy widział, jak wjechał na ten parking samochód prywatny — kilku młodych ludzi chciało wysiąść z wozu. Starucha podbiegła do nich z krzykiem, żeby zaraz odjeżdżali. Tamci nie chcieli — może gdzie indziej nie było miejsca? Zaczęli coś tłumaczyć, próbowali dyskutować i wtedy ta stara zaczęła kijem tłuc po dachu wozu. Mój znajomy zapamiętał głuchy łomot. Młodzi szybko odjechali.

Opowiadał mi jeszcze o pijanych Finach w luksusowym hotelu w Leningradzie, ale to już inna historia. Ci Finowie przyjeżdżają do Leningradu na trzydniowe wycieczki statkami przez Zatokę Fińską. Nie zwiedzają miasta: cały ich pobyt to picie w hotelach, w towarzystwie dziewczynek. Piją, rozbijają meble, niszczą wszystko z determinacją, cokolwiek wpadnie im w ręce. Całą noc słychać wrzaski, śpiewy i przekleństwa. Służba hotelowa wlecze pijanych za ręce po korytarzach. Płacą dolarami — zapewne dlatego wszystko wolno im robić. Poza tym: ilu wpada w ręce agentów sowieckich, ilu potem jest szantażowanych, nakłanianych do współpracy? — Nigdy i nigdzie — opowiadał mój znajomy — nie widziałem ludzi pijących tak dużo, tak zachłannie i potem zachowujących się w taki sposób. Leningrad, Newa, pomniki, zwiedzanie Ermitażu, białe noce — wszystko blakło wobec wspomnienia tych pijanych Finów w luksusowym hotelu, budowanym, zdaje się, przez Japończyków.

Myśląc o wrażeniach mojego znajomego ze Związku Sowieckiego, przypomniałem sobie opowiadanie „Między niebem a ziemią”. To porównanie dwóch światów! Lepszej rzeczywistości, o której wolno pisać i gorszej, o której nie wolno. Tak jest w PRL i ZSSR, w NRD i na Kubie. Cały spór o kształt współczesnej literatury na obszarach realnego socjalizmu sprowadza się do przyjęcia lub odrzucenia tego faktu. Mając do wyboru dwie rzeczywistości — tę z powierzchni, płytką — i to, co bystry obserwator może dostrzec bez specjalnego wysiłku — musimy wybierać. Nie chodzi nawet o ekstremalne spojrzenie — na obozy, więzienia, terror, ale o to, co jest widoczne w codziennym życiu,

na powierzchni: nienormalność tego świata. Jest to więc kwestia wyboru. Jeśli przymkniemy oczy na tę nienormalność, na drugą rzeczywistość — zostaniemy z tą pierwszą, jak widzowie w teatrze, z mniej lub bardziej wymyślonym światem na scenie. Twierdzę, że obowiązkiem pisarzy-realistów żyjących tu, w krajach dławionych przez komunizm, jest opisywanie tej prawdziwej rzeczywistości. Próba odpowiedzenia na pytanie: jak można w tych warunkach żyć? Świat, który nas otacza, jest światem niezwykłym, jeśli zastanowić się głębiej. Los ofiarował nam szansę. Nigdy w historii ludzkości nie było tak kunsztownie rozbudowanej fikcji, tak wielkiej atrapy rzeczywistości obok tej, w jakiej człowiek naprawdę żyje. Nigdy nie zbudowano tak ogromnego aparatu przemocy tylko po to, aby zmusić ludzi do życia w tym świecie pozorów. Dostrzeżenie tego, opisanie, protest — oto w czym widzę obowiązek piszących realistów. Wszystko poza tym może być tylko zabawą w literaturę. I leży w interesie komunistów. Oni chcą, żebyś przyjął tę grę, zaczął się bawić. Abyś potem na zawołanie „chować głowy!” kulił się, jak tamci dwaj za plecami kierowcy.



Nienormalność komunistycznego świata. Conrad, w powieści „W oczach Zachodu”, mówi o „ślepej zaciekłości poglądów” ludzi, którzy przy pomocy rewolucji chcą zbawiać świat.

Myślę, że moich kłopotów trwających latami — tych bezskutecznych wysiłków podejmowanych w celu wydania krytycznej książki we własnym kraju — przeciętny mieszkaniec Zachodu nie zrozumie. Któż przekona Francuza lub Włocha, że komuniści w Polsce do dziś odmawiają wydania powieści zawierającej łagodną krytykę pseudokomunistów w małym miasteczku za rządów Gomułki, podczas gdy w ich krajach krzyczą z murów plakaty z sierpem i młotem, wychodzi prasa komunistyczna, książki, a rząd i rządzące partie każdy może do woli krytykować?

Historia mojej powieści, mój własny los związany z decyzją sprzed kilkunastu lat, mogą wydać się błahe, zwłaszcza wobec ostatnich polskich doświadczeń. Być może „Cudowna melina” jest rzeczywiście „miernym utworem literackim”, jak napisano w *Trybunie Ludu*. Ale u źródeł tej historii leży „ślepa zaciekłość poglądów” i tylko o tym chciałem opowiedzieć.

1985 - 1986

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

	Stron	F.
Beauvois Daniel: <i>Polacy na Ukrainie 1831-1863</i> (Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie)	296	120,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania	272	20,00
Broński, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (Eseje literackie)	272	75,00
Bugajski, Ryszard: <i>Przestuchanie</i> (Scenariusz filmowy)	112	45,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Pont-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1973-1980), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1973-1980), <i>Działalność Wydawnicza</i> (1973-1980)	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Giełżyński, W.: <i>Budowanie Niepodległej</i>	336	100,00
Głós („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. I, <i>Ferdynand</i>	296	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956) ..	304	75,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961) ..	256	70,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966) ..	224	60,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. II, <i>Trans-Atlantyk</i> ..	130	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia polskie. — Wędrówki po Argentynie</i>	256	65,00

	Stron	F.
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Heller, M.: <i>Polska w oczach Moskwy</i>	208	75,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą (1980-1983)</i> ..	346	95,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i>	256	65,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hłasko, M.: <i>Piękni dwudziestoletni (wydanie III)</i>	210	75,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas (Poezje)</i>	80	8,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść? (Seria „Dokumenty”)</i>	80	25,00
Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i>	424	120,00
Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i>	140	45,00
Karpiński, W.: <i>Amerykańskie cienie</i>	192	65,00
Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Korybutowicz, Z.: <i>Grudzień 1970</i>	160	55,00
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: <i>„Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury</i>	392	15,00
Kowska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Kraśniewska, W.: <i>Po wyzwoleniu... (1944-1956)</i>	272	95,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie rośnie (Wiersze). (Seria „Bez Cenzury”)</i>	104	25,00
Kuśmerek, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipski, J. J.: <i>Szkice o poezji</i>	200	95,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Dwie książki</i>	108	45,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury (Seria „Bez Cenzury”)</i>	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i> ..	104	25,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Michnik, A.: <i>Z dziejów honoru w Polsce. Wypisy węglenne</i> ..	286	95,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)</i>	196	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Nieobjęta ziemia</i>	148	55,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)</i>	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje, t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)</i>	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje, t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)</i>	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje, t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11)</i> ...	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)</i> ..	256	60,00

	Stron	F.
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa („Dzieła Zbiorowe”, t. 6)</i>	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco („Dzieła Zbiorowe”, t. 9)</i>	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zaczynając od moich ulic („Dzieła Zbiorowe”, t. 12)</i>	364	120,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)</i>	160	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)</i>	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł („Dzieła Zbiorowe”, t. 3)</i> ..	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mrozek, Sł.: <i>Alfa (Sztuka sceniczna)</i>	84	40,00
Mur, J.: <i>Dziennik internowanego</i>	200	85,00
Newerly, I.: <i>Zostało z uczty bogów</i>	324	120,00
Nowakowski, M.: <i>Dwa dni z Aniołem</i>	154	55,00
Nowakowski, M.: <i>„Grisza, ja тебе skażu...”</i>	176	70,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zabezpieczanie śladów</i>	128	45,00
Orłowski, K.: <i>Historia „Cudownej meliny”</i>	160	70,00
Orłowski, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i> ..	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim (Seria „Dokumenty”)</i>	64	10,00
<i>Prawa człowieka i obywatela w PRL (13.12.1981-31.12.1982). Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie (Seria „Dokumenty” Nr 49)</i>	224	75,00
<i>Przeciw niewolnictwu (Seria „Dokumenty”)</i>	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL (Seria „Dokumenty”)</i>	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946 (Seria „Dokumenty”)</i> ..	288	18,50
Rekalski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Na Wyspie</i>	168	65,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrutki</i>	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i>	246	75,00
Rymkiewicz, J. M.: <i>Żmut</i>	288	110,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Siewierski, H.: <i>Spotkanie narodów</i>	144	55,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00

	Stron	F.
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	65,00
Szczypiorski, A.: <i>Początek</i>	160	65,00
Ślaska, E.: <i>Dochodzenie</i>	128	50,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
<i>Teksty cywilne przez Leopolię</i>	176	55,00
Trznadel, J.: <i>Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami</i>	319	120,00
Unger, L.: <i>Orzeł i reszta</i>	388	150,00
Wandycz P.: <i>Polska a zagranica</i>	294	100,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia, t. II/III</i>	968	66,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Zagajewski, A.: <i>List — Oda do wielości</i>	96	35,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939, t. I i II, str. 238 i 342</i>	670	170,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znaszli ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> , poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 łącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.		
Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 9, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 43, 45, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57, 68 są wyczerpane. (Te <i>Zeszyty Historyczne</i> mamy w wydaniu miniaturowym po F.10,00 za <i>Zeszyt</i> + koszty przesyłki). Ukazał się <i>Zeszyt</i> 80 (maj 1987). Cena pojedynczego <i>Zeszytu</i>		
		70,00

Prosimy Czytelników, by przy zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki. Koszt przesyłki we Francji minimum F.12,00.

Prenumerata *KULTURY* na rok 1987:
rocznie — F.440,00, półrocznie — F.230,00.

Prenumerata *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* na rok 1987:
rocznie — F.280,00 (pojedynczy *Zeszyt* — F.70,00)
(dla prenumeratorów *KULTURY* rocznie — F.250,00).

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 29 MAI 1987
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 2^e trim. 1987.
N° d'imprimeur 8232.

F. 70

KAZIMIERZ ORŁOŚ - HISTORIA «CUDOWNEJ MELINY»